



ZENON BORKOWSKI
ZBRODNIARZ SZUKA ALIBI



WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektował WITOLD CHMIELEWSKI

Redaktor

WANDA STEFANOWSKA

Redaktor techniczny ZOFIA SZYMAŃSKA

Motto: *Zbrodnia, nawet nic ukarana, słaże się no-woty-orowym znamieniem na sumieniu przestępcy.*

Gł autor

Książka ta składa się z ośmiu rozdziałów, a każdy z nich traktuje o konkretnej, autentycznej sprawie prowadzonej przez prokuraturę w Polsce Ludowej. Jest to rezultat reporterskiego badania działań podjętych przez prokuratorów w celu wykrycia sprawców tajemniczych zabójstw lub innych zbrodni: Były to sprawy, o których mówiło się w całym kraju; niektóre z nich weszły do literatury kryminalistycznej. Wprawdzie nie wszystkie zakończyły się zwycięstwem nad przestępcą, ale mimo to stanowią ilustrację wysiłków podjętych w obronie praworządności. Przedstawione Czytelnikowi reportaże, w których głównym bohaterem jest prokurator, różnią się w sposób zasadniczy od bogato reprezentowanych edycji, zajmujących się przestępstwami. W odróżnieniu od reportaży milicyjnych, ukazujących sposób ujęcia prawdopodobnego sprawcy, lub sądowych, zajmujących się oceną dowodów zgromadzonych w śledztwie, reportaże prokuratorskie (tak je chyba należy nazwać) prezentują działania podjęte przez organ oskarżycielski dla zabezpieczenia wszystkich dowodów obciążających podejrzanego i udo-

1

wodnienia mu drogą naukowych ekspertów oraz zeznań świadków, iż on jest sprawcą zbrodni.

Tak się dotychczas składało, iż z przedstawionych przez różnych autorów cykli kryminalnych, zaczynających się w momencie popełnienia przestępstwa, a kończących w chwili odbycia kary, Czytelnik poznał dokładnie część „pościgową” (reportaże milicyjne), część sądową (reportaże z rozpraw) oraz część egzekucyjną (reportaże penitencjarne, wspomnienia z zakładów karnych). Prokuratorzy pozostawali na uboczu, w z rzadka przenikającym cieniu, chociaż to oni przygotowują ścisłą dokumentację dowodową na rozprawę i włączają do ścigania przestępców pracownie naukowe takie nauki, jak genetyka antropologia, biologia, medycyna, chemia, fizyka, geologia, technika i kryminalistyka.

Ściganie i identyfikacja przestępcy coraz częściej przenosi się, z pleneru do pracowni wybitnych specjalistów Fantazja Conan Doyle'a została potwierdzona przez osiągnięcia nauki. Kroniki kryminalne i sądowe odnotowały szereg procesów, w których decydujące znaczenie dowodowe miały maleńkie ziarenka ziemi, węgla lub krzemionki znalezione na odzieży orai, a potem odkryte w piwnicy mordercy Włos znalezionej w dłoni zamordowanej osoby również może wskazać mordercę. Lecz kryminalistyka nie poprzestała na tym. Zajęła się śladami niedostrzegalnymi dla ludzkiego oka, śladami, jakie zostawia np. odzież po zetknięciu się z inną odzieżą lub ze sprzętami. Mikroślady zdemaskowały już wielu morderców,

1

gdyż trudno je zatrzeć po popełnieniu zbrodni. Pozostawiają trop, po którym prokurator trafi do sprawy.

Mimo pasjonującego materiału, jakim dysponują prokuratury, nie doczekał się on reporterskiego opracowania w formie książkowej. Moje książki, w których

zajęłam się tym tematem („Zanim padło oskarżam”, „Zbrodniarz szuka alibi” i przygotowywana „Hurtownik zbrodni”), nie mają ambicji wypełnienia tej luki. Pragną tylko zasygnalizować, iż ta część cyklu kryminalistycznego jest niezmiernie ważna i bywa bardzo interesująca.

Czytelnikowi, który po zaspokojeniu ciekawości chciałby zapoznać się z zakresem pracy polskiej prokuratury powołanej w 1950 roku, polecam wypowiedź Prokuratora Generalnego, gen. doc. dr. hab. Lucjana Czubnińskiego, udzieloną mi w dwudziestopięcioletnie istnienia tej instytucji. Spełnia ona w tej książeczce rolę aneksu.

Zabijał w czasie burzy

Kraków miał wielu tegich prawników i bogate tradycje procesowe. Rozgrywały się w nim tragedie, o których mówiono w całym kraju, a nawet poza jego granicami. Czy to dlatego, że klimat starych miast jest szczególnie kryminogenny, czy raczej dlatego, że w starych murach, pamiętających lata królewskiej świetności, wszystkie przestępstwa brzmią głośniej? To, o którym mowa w tym rozdziale, było słyszane w wielu zakątkach kraju, chociaż zagłuszała je burza.

Prokurator Henryk Pracki tak przemawiał na rozprawie:
— Nawet przyroda sprzyjała zbrodniarzowi w wykonaniu jego planu. 29 sierpnia 1955 roku nad Krakowem szalała burza, która rozpoczęła się o godzinie 13.20, a trwała do godziny 16.10. Jej punkt kulminacyjny przypała na 14.35. Przez miasto przeszła gwałtowna ulewa. Mimo to Kądzie-lawa stał na plantach i mókł, bał się odejść z tego miejsca, bo mógłby się minąć z „Doktorkiem”

1 już nie spotkać go tego dnia. Wołał więc stać na deszczu...

8

Wróćmy jednak do początku wydarzeń. Rozkład jazdy zapowiadał odjazd pociągu z Krakowa do Gdyni o 20.34. Kilkudziesięciu pasażerów przyszło już w południe na dworzec, aby zająć sobie miejsca w wagonach stojących jeszcze na boczniczy. Znaleźli gdyński skład, niepostrzeżenie dla personelu kolejowego wśliznęli się do przedziałów i tam przeczekali ulewę i godziny dzielące ich od odjazdu. Potem pociąg wtoczył się na tory dworca głównego. W przedziałach panował niemilosierny tłok. Rodzice jadący z dziećmi decydowali się na ułożenie swoich pociech na półkach obok walizek i tobołków. Mniejsze paczki wsuwano pod ławki.

Następnego dnia, we wtorek 30 sierpnia, pociąg dotarł do Gdyni. Pasażerowie zszadli dzieci z półek, zabrali swoje bagaże i opuścili przedziały. Po kilkunastu minutach cały skład odstawiono na bocznicę. Zaraz też weszły do wagonów sprzątaczk. Zawsze spoglądają najpierw na półki, a potem pod ławki, żeby upewnić s.ę, czy nie ma tam jakiegogo bagażu. Janina R. przeglądała tylko półki, pod ławki wkładała miotłę, gdyż trudno było się jej schylać, odczuwała bóle kręgosłupa. Sięgnęła więc miotłą pod kolema ławkę i wyczuła opór ciężkiego przedmiotu. Poszturchując go szczotką wyciągnęła na środek przedziału. Przed nią leżała dość duża paczka owinięta luźno pergaminem i gazetą. Odchyliła szczotką papiery i zobaczyła nogę ludzką w bezowej pończosze. Noga była obciążona tuż przed kola

2

nem, a miejsce cięcia/przykryte gazetą, która przyschła do rany. Janina R. wybiegła z wagonu i zdyszana wpadła do baraku kierownika.

— Panie kierowniku, rany boskie, ktoś zostawił w pociągu nogę!

Kierownik jadł śniadanie.

— A głowy nie zostawił? — spytał po przelknięciu dużego kęsa.

— Nie szukałam dalej. Może jest jeszcze i głowa.

— To poszukaj. Ludzie przeważnie tracą głowę — zaśmiał się.

— Panie kierowniku, niech pan zatelefonuje do komisariatu — denerwowała się Janina R. — Noga leży na środku przedziału!

Kierownik skończył śniadanie i poszedł za Janiną R. Weszli do wskazanego przez nią przedziału, kierownik zobaczył odciętą nogę i złrJ: się za zoładek. Fotem zatelefonował do kolejowego komisariatu. Po dwudziestu minutach przyjechała ekipa śledcza z komendy miasta i rozpoczął się niecodzienny proces, w którym należało nie tylko ustalić sprawcę, ale przede wszystkim odszukać tułów i stwierdzić, kto został zamordowany. W paczce wydobytej przez Janinę R. znajdowała się lewa noga. W paczce wepchniętej pod drugą ławkę — prawa. Obie nogi przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej w Gdańsku. Wśród pytań postawionych pracownikom Zakładu trzy były najważniejsze: jaki jest przypuszczalny wiek ofiary, kiedy odjęto jej nogi i jakim narzędziem?

W tym samym czasie powiadomiono krakowską.

10

prokuraturę wojewódzką i Komendę Wojewódzką MO o makabrycznym odkryciu, sugerując, iż reszta zwłok może znajdować się w Krakowie lub w jego okolicy. Przyjęto, iż odcięte nogi zostały podrzucone na stacji w Krakowie, gdyż na trasie od Krakowa do Gdyni ze względu na panujący tłok szanse włożenia ich bez zwrócenia uwagi pasażerów były znikome.

Funkcjonariusze województwa krakowskiego otrzymali polecenie przeszukania odludnych terenów, wysypisk śmieci i wyrobisk po kamieniołomach. Mutacja „Gazety Krakowskiej”, w której egzemplarz owinięto jedną nogę, zawierała kolum-- ne przeznaczoną dla czytelników z Podhala i była rozprowadzana tylko w kilku miejscowościach. Miejscowości te postanowiono spenetrować szczególnie uważnie i dokładnie.

Poszukiwania trwały kilka dni i nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Na Podhalu sprawdzono wszystkie zabudowania i prawie każdy metr osłoniętej przestrzeni. W końcu oświadczone prokuratorowi, iż może on przyjąć, że zwłok na tamtym terenie nie ma, chyba że zostały zatopione. Ale to okaże się z czasem

— Morderca mógł umyślnie zapakować odcięte nogi „w mutację „Gazety Krakowskiej”, żeby skierować nasze poszukiwania na ślepy tor — powiedział podczas odprawy oficer wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej w Krakowie. — Ciało oLary może znajdować się w Bochni, Tarnowie albo nawet w innym województwie. Biuro Kryminalne Komendy Głównej MO w

2

Warszawie zgodziło się z opinią krakowskiego oficera i co kilka dni w biuletynie wewnętrznym przypominało, że poszukiwanie tułowia, od którego odłączono nogi znalezione w pociągu, jest nadal sprawą pilną. Zażądało także systematycznego przekazywania list zaginionych kobiet wraz z dokładnymi rysopisami. Po kilku dniach, gdy Zakład Medycyny Sądowej ustalił, że ofiara liczyła ponad trzydzieści lat i miała około 160 centymetrów wzrostu, władze śledcze interesowały się przede wszystkim zaginionymi kobietami odpowiadającymi tym cechom indywidualizującym.

W sobotę, 10 września, część zagsdki została rozwiązana... we Wrocławiu.

Tego dnia rano służba kryminalna wrocławskiej komendy MO została powiadomiona, iż na dworcu głównym w ekspedycji bagażu znajduje się kosz, z którego wydobywa się silny trupi odór. Naczelnik wysłał natychmiast trzech pracowników na dworzec i polecił im komisyjnie otworzyć podejrzany bagaż. W koszu, w jakim składa się bielizna po wysuszeniu, a jeszcze przed maglowaniem, znajdowały się zwłoki kobiety. Funkcjonariusze przewieźli makabryczne znalezisko do Zakładu Medycyny Sądowej i tam dokonali szczegółowych oględzin kosza oraz jego zawartości. Opisali ubiór i przedmioty znalezione przy zwłokach oraz zabezpieczyli dokumenty przesyłki, która — jak stwierdzili — została nadana w Krakowie 29 sierpnia, za kwitem nr 85 703.

12

„Jest to korpus kobiety bez głowy i bez nóg” — poinformował naczelnik służby kryminalnej Biuro Kryminalne Komendy Głównej MO w Warszawie. — „Po otrzymaniu opinii Zakładu Medycyny Sądowej powiadomimy o ustaleniach naukowców...”

Zakład Medycyny Sądowej we Wrocławiu zwrócił się z prośbą o konsultację przy badaniu znalezionej korpusu do jednego z najwybitniejszych specjalistów medycyny sądowej, profesora dr. Jana Olbrychta. Profesor Olbrycht przekazał organom śledczym ekspertyzę, w której stwierdzał, iż kobieta zmarła śmiercią gwałtowną, przy czym wykluczał zgon z przyczyn samoistnych. Rozkawałkowanie zwłok nastąpiło już po śmierci ofiary i jego prawdopodobnym celem było ukrycie i usunięcie zwłok, więc zatarcie śladów morderstwa. Ten rodzaj działania nazywa się defensywnym. Ekspert nie potrafił jednak odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób zglądano ofiarę. Wyszukał hipotezę, iż przyczyną śmierci była trucizna roślinna, w postaci glikozydów, lub duża ilość środków nasennych. Dopuszczał jednak możliwość użycia narzędzia tępego, którym morderca prawdopodobnie zadał śmiertelne ciosy w głowę kobiety. Podczas sekcji nie stwierdzono, co prawda, zatorów tłuszczowych, charakterystycznych przy zabójstwach narzędziami tępymi, ale przez ostrożność nie eliminowano takiego sposobu działania sprawcy.

Ekspertyza wraz z protokołem oględzin kosza i znajdujących się w nim przedmiotów została

2

przesłana do komendy krakowskiej, skąd miała trafić do rąk prokuratora. Uplłynęło jednak kilka dni, zanim maszynistka uporowała się z przepisaniem protokołu. Miała w tych dniach wiele pracy i w pośpiechu popełniła kilka błędów literowych, a także pominęła nazwisko oficera, który kierował oględzinami. Ponieważ nie miała czasu na spław-dzenie maszynopisu z rękopisem, a nie uczynił tego również oficer, protokół dotarł do Krakowa z tymi błędami. Błędy literowe nie przerażały prokuratora. Najważniejsze było to, by w maszynopisie uwzględniono wszystkie znalezione przedmioty i nie zmieniono ich opisu.

Maszynistka była pierwszą osobą, która zac Qła serię błędów, mających się potem odbić na wynikach śledztwa. Zamiast napisać, iż przy zwłokach znaleziono trzy paski, napisała — dwa (paskami były przymocowane skrawki flaneli okrywającej kikuty nóg i szyi). Dla prokuratora stało *się* to poważną przeszkodą w gromadzeniu dowodów. Przecież trzeci, nie wymieniony w protokole pasek, będąc własnością zbrodniarza, stanowił rzeczowy dowód przemawiający za jego winą. Tymczasem chociaż pasek znajdował się wśród przedmiotów znalezionych przy zwłokach, nie był urzędowo zarejestrowany. Obrońca miałby łatw-e zadanie przy wykluczeniu tego dowodu, a sąd musiałby przyjąć wniosek obrony.

Prokurator odsunął jednak sprawę paska n? plan dalszy, bowiem czekały go wówczas inne ważne czynności śledcze. Przede wszystkim, cz

3

nogi znalezione w pociągu Kraków—Gdynia są częścią tej samej osoby, której tułów odkryto w ekspedycji bagażu we Wrocławiu. Eksperti sądowi orzekli bez wahania, że na pewno chodzi o ciało tej samej osoby. Kim była ofiara, tego jeszcze nie można było ustalić, bowiem nie odnaleziono głowy.

Podjęto próbę identyfikacji za pośrednictwem odcisków linii papilarnych. W latach pięćdziesiątych przy wydawaniu dowodów osobistych daktyloskopowano obywateli. Prokurator postanowił sięgnąć do tego materiału. Na jego prośbę lekarze medycyny sądowej wstrzyknęli formalinę w rozkładające się opuszki palców ofiary i zdołali uzyskać dość wyraźne odciski linii papilarnych. Natychmiast przesłano je do Warszawy z prośbą o odszukanie w rejestrze osoby, której linie papilarne są identyczne.

W tym samym czasie funkcjonariusze MO sprawdzali wszystkie meldunki o zaginięciu kobiet. Meldunki takie bywają często mylące i mało precyzyjne. Przede wszystkim rodziny i znajomi zgłaszają zaginięcie po upływie kilku tygodni od dnia w którym ostatni raz widzieli zaginioną lub zaginionego. O zniknięciu samotnych, pędzących życie w odosobnieniu milicja dowiaduje się jeszcze później. Postanowiono więc wylawiać przede wszystkim meldunki o osobach, które zagięły w ostatnich dniach sierpnia. Wyszukano kilkadziesiąt takich przypadków. Ekipy milicyjne przystąpiły do ustalania, gdzie po raz ostatni widzia

15

no przy życiu te kobiety i... wszystkie znalazły się albo u dalekiej rodziny, albo u koleżanek na innym krańcu Polski lub w mieszkaniu kochanka.

W późniejszym okresie zaoszczędzono sobie tego wysiłku i każdy meldunek o zaginięciu kobiety przesyłano do rejestru dowodów osobistych, z którego szybko otrzymywano odpowiedź: „odciski linii papilarnych zdjęte ze zwłok nie odpowiadają odciskom linii papilarnych osoby zaginionej”.

Pracownik centralnego rejestru przeglądał dziesiątki, a potem setki i tysiące kartek, szukając na nich co najmniej 12 cech wspólnych z tymi, jakie widniały na przesłanym mu materiale z Krakowa.

Oczekując na wyniki tych poszukiwań, prokurator prowadził pierwsze przesłuchania. Wezwał do siebie kolejarzy, którzy 29 sierpnia prowadzili pociąg nr 3624 z Krakowa do Wrocławia. Zapytał ich, czy nie pamiętają, kto nadał kosz do bielizny.

>— Z tym koszem — powiedział jeden z nich — to była większa przeprawa. Myśmy jedli posiłek w naszym pokoju hotelowym, kiedy wywołał nas jakiś mężczyzna. Powiedział, że też jest kolejarzem i tylko dlatego się do nas zwraca. Chodziło mu o zaopiekowanie się jego bagażem i wydanie mu go w Lewinie. Wyjaśnił, że jest to kosz do bielizny. Wtedy kierownik drużyny powiedział, że nam się nie zdarza przegapić stacji, do której ba-j gaż ma dotrzeć. Ale tamten zaczął tłumaczyć, że, nie o to mu chodzi, bo on bagaż nadał do Wrocławia, a chce odebrać w Lewinie. Za tę przysługę

16

da nam po tysiącu i jeszcze postawi kolację. Ja się zdenerwowałem i powiedziałem, że jak jest kolejarzem, to wie, że przesyłka musi dojść do miejsca przeznaczenia, my przecież za to odpowiadamy, a poza tym żeby zmiatał i nie ubliżał nam łapówkami...

Kolejarze doszli do wniosku, że nieznanym był prokurator i wkrótce zapomnieli o zajściu. Nie pamiętali też, jak ów mężczyzna wyglądał. Po

kilkudziesięciu minutach zastanawiania się z trudem odtworzyli jego przybliżoną sylwetkę.

W listopadzie krakowska milicja zatrzymała osobnika odpowiadającego w znacznym stopniu rysopisowi podanemu przez kolejarzy. Był nim Władysław W., stały bywalec restauracji przy dworcu głównym, pijak i kilkakrotnie karany złodziej. Podczas pierwszego przesłuchania stwierdził, że nie ma nic wspólnego ze znanymi odciskami. W następnych rozmowach powtarzał uparcie: nie mógł nadać przesyłki, gdyż był w tym czasie w Lewinie Brzeskim i do Krakowa wrócił dopiero we wrześniu.

Dla prokuratora wersja ta była lepsza, aniżeli zaprzeczanie. Zatrzymany wymienił bowiem miejscowość, o której wspominali także kolejarze.

— Kosza nie nieśliście sami. Nie mogliście go udźwignąć — stwierdził prokurator. — Ktoś wam musiał pomagać...

— Ja nic o koszu nie wiem — wypierał się Władysław W.

Sprawdzono alibi zatrzymanego. Owszem, był w Lewinie, ale tylko do 26 sierpnia. Próbowano

* — Zbrodniarz

3

ustalić, z kim od tego czasu się spotykał. Okazało się, że z podobnym pijackiem i złodziejem, Henrykiem K. Nie znając treści wyjaśnień Władysława W., powiedział na przesłuchującym, że owszem pomagał koledze w nadawaniu kosza. A naprawdę to było

— Oni stali przed dworcem i wtedy podjechała taksówka, z której wysiadła nie znana im kobieta i poprosiła, żeby jej pomogli przenieść kosz i nadać na bagaż. Dała za tę przysługę po 50 złotych.

— Jak wyglądała ta kobieta?

— Była starsza, siwa, średniego wzrostu, nie za tęga...

Rysopis kobiety zmieniał się w zeznaniach Henryka K. co kilkadziesiąt minut. Zatrzymany powiedział w pewnym momencie, że kobieta była brunetką, w średnim wieku, szczupła, dość ładna i delikatna.

— Ja już nie pamiętam, to było dawno — obruszył się, kiedy przesłuchujący wytknął mu tak rażące sprzeczności w opisie owej kobiety.

Ponieważ w toku śledztwa nie zdołano ustalić tożsamości zamordowanej, a zatrzymanym nie można było przedstawić zarzutu udziału w zbrodni, Władysław W. i Henryk K. odzyskali wolność.

23 maja 1956 roku sprawa została umorzona. Akta schowano do szafy, ale zwolnionymi Władysławem W. i Henrykiem K. nadal się dyskretnie interesowano.

18

Minęło półtora roku od znalezienia nóg i tułowia nieznannej kobiety i w dalszym ciągu nie udało się władzom śledczym ustalić, kim ona jest. Pracownik centralnego rejestru nie przestał jednak szukać karty z odciskami linii papilarnych, które by się pokrywały z dostarczonym materiałem dowodowym. Zanosilo się na to, iż sprawa nigdy nie zostanie wyświetlona. Krakowska komenda nie otrzymując żadnych pożytecznych materiałów z obserwacji Władysława W. i Henryka K. zaniechała jej i odwołała wywiadówców. Kiedy zapanowała całkowita cisza i sprawa poszła w zapomnienie, do krakowskiej komendy zgłosiła się starsza kobieta i zapytała, czy nie mogłaby się dowiedzieć przez milicję, co się dzieje z jej sąsiadką, Marianną Gałuszkową. Wyjechała ona do sanatorium 29 sierpnia 1955 roku i do tej pory, a jest przecież początek 1957 roku, nie wróciła do swego mieszkania.

Oficer dyżurny połączył się z prokuratorem i przekazał mu tę ekscytującą wiadomość. Prokurator natychmiast podał nazwisko zaginionej do centralnego rejestru i jeszcze tego samego dnia otrzymał upragnioną wiadomość.

— Odciski linii papilarnych przesłane do porównania zgadzają* się całkowicie z odciskami linii papilarnych Marianny Gałuszkowej, przechowywanymi w naszym rejestrze — powiedział z ulgą pracownik centralnego rejestru. — Nareszcie, panie prokuratorze — westchnął.

Po rocznej przerwie śledztwo mogło być wznowione. Prokurator przystąpił do szukania odpo

3

wiedzi na pytanie: cui prodest? Kto odniósł korzyść z zamordowania tej kobiety?

Marianna Gałuszkowa prowadziła obnośny handel papierosami i gazetami. Można było też u niej kupić cytryny, czekoladę, kakao, czyli te artykuły, których wówczas nie było w sklepach państwowych. Od 1947 roku siedziała codziennie przy ulicy Szpitalnej, u samego jej wylotu do Rynku, a kiedy w marcu 1955 roku nie otrzymała koncesji, handlowała nielegalnie, przepędzana co pewien czas przez dzielnicowego. Ostatni raz widziano ją 28 sierpnia 1955 roku. Mówiła, że nazajutrz wyjeżdża do sanatorium, które załatwił dla niej znajomy, „Doktorek”. Wszyscy wiedzieli,

0 kim mowa, bowiem przez kilka lat widywali „Doktorka” w towarzystwie Marianny Gałuszkowej. Był nim Stanisław W.

■ — Stanisław W. jest lekarzem ginekologiem

I jedynie z zyczliwości zajmował się leczeniem Gałuszkowej — ■ oświadczyła prokuratorowi sąsiadka Gałuszkowej Matrona K. — Ja kiedyś zapytałam go:

„Panie doktorze, co się dzieje z naszą znajomą? Jeszcze nie wróciła z sanatorium. Może tam została? Nie wie pan nic na ten temat?” On mi odpowiedział, że Gałuszkowa już wróciła z sanatorium i pojechała na groby rodziców do swojej wsi, do Odrykonka. Chyba tam zamieszka na stałe, bo w Krakowie nie na nic do roboty. Koncesję jej odebrano, a zdrowie nie za bardzo dopisuje.

Wezwany na przesłuchanie „Doktorek” Si- -sław W., był początkowo spokojny, ale k.eu] 5:3

3

dowiedział, że chodzi o wyjaśnienie sprawy zaginięcia Gałuszkowej, obruszył się. Skąd on ma wiedzieć, co się dzieje z tą starą kobietą? Wyjechała w 1955 roku, o tym wie, prawdopodobnie na leczenie, ale to go nie interesuje i prosi, żeby mu nie zwracano głowy. Jest zapracowany, zmęczony, nie był na urlopie...

Prokurator przed przystąpieniem do rozmowy ze Stanisławem W. zapoznał się z zeznaniami osób, które dobrze znały Gałuszkową. Wszyscy mówili o dość bliskich, a przede wszystkim długotrwałych związkach handlarzy z „Doktorkiem”. Przez siedem lat, jeszcze podczas studiów, długie godziny spędzał przy jej gablotce z papierosami, prowadząc ożywione rozmowy. Po pewnym czasie zaczął korzystać z doraźnych pożyczek, których mu nie odmawiała, i rewanzował się lekarstwami przeciwreumatycznymi lub receptami. W połowie 1955 roku Gałuszkowa zwierzyła się Ma-tronie K, sąsiadce, że podejmuje proces o zwrot pożyczki zaciągniętej przez „Doktorka”, bo nie może się z niimi porozumieć co do terminu uregulowania należności.

— On mi jest winien duże pieniądze — westchnęła. — Tak brzydko ze mną postąpił...

Prokurator dysponował także zeznaniem, wskazującym na „Doktorka”, jako na osobnika, który przyjechał 29 sierpnia po Gałuszkową i miał ją zawieźć do

sanatorium. Sąsiadce, która zapytała ją, jak się dostanie do sanatorium, jest przecież częściowo sparaliżowana, powiedziała, że zawiezie ją „Doktorek”.

” 21

W czasie ponownego przesłuchania Stanisław W. nie okazywał już zdenerwowania i zniecierpliwienia. Spokojnie opowiadał o swoich zajęciach w dniu 29 sierpnia 1955 r. Rano poszedł na targ po jarzyny, które kazała mu kupić żona, przebywająca z dzieckiem i teściową na wczasach w Bystrej Podhalańskiej — W Bystrej Podhalańskiej? — powtórzył prokurator i przypomniał sobie mutację „Gazety Krakowskiej”. Ten numer, w który owinięto odcięte nogi, był przecież przeznaczony dla mieszkańców Podhala.

— W Bystrej — potwierdził Stanisław W. — Potem załatwiałem sprawy pacjentów, z którymi byłem umówiony. Chodziło o zapewnienie im miejsc w szpitalu. W ten sposób spędziłem całe przedpołudnie. Po południu spotkałem się z ojcem i z jego znajomym, bo właśnie tego dnia przyjechali do Krakowa. Byłem z nimi do wieczora.

— Czy tego dnia podejrzany spotkał się z Marianną Gałuszkową?

— Nie.

— Jak więc wytłumaczyć związania Gałuszkowej, która powiedziała swój j sąsiadce, że pan zawiezie ją do sanatorium?

— Nie mogę odpowiadać za bajki, jakie ludzie sobie wymyślają.

Prokurator nie nalegał dłużej na wyjaśnienie tych sprzeczności i po wypisaniu nazwisk osób, które miały potwierdzić alibi „Doktor”, odesłał go do aresztu śledczego.

22

Alibi nie potwierdziło się. Wizyta ojca podejrzanego przypadła na 30, a nie na 29 sierpnia. Pacjenci, których sprawami Stanisław W. miał się tego dnia zajmować, zeznali, że niczego nie załatwiali, gdyż „Doktorek” był zdenerwowany i odprawił ich z kwitkiem. Jeden z nich, Kądzie-lawa, długo musiał wydzwaniać do drzwi, zanim Stanisław W. je otworzył. Potem „Doktorek” chciał się wymówić brakiem czasu, ale Kądzie-lawa uparł się i odpowiedział, że będzie czekał do skutku, bo po to przyjechał, żeby załatwić sprawę i nie wróci do domu z pustymi rękami. Stanisław W, nie mając innego wyjścia udał się z Kądzielawą do ZUS, a potem do kliniki pediatrycznej. Wreszcie pozostawił interesanta na Plantach i kazał mu tam czekać. Było to tuż przed ulewą. Kądziewa w nie schodził z posterunku. Przetwał burzę, podczas której Stanisław W. przebywał sam w mieszkaniu i — jak zakładał prokurator — kawałkował zwłoki.

Zmudne śledztwo dostarczyło szeregu dowodów winy „Doktor”. Przemawiały za nią przedmioty znalezione przy zwłokach, a należące między innymi do Stanisława W. Kapa, w którą był zawinięty tułów-, okazała się własnością teściowej „Doktor”. Majteczki dziecięce osłaniające kikut szyi były majteczkami jego dziecka. Obciążało go także podhalańskie wydanie „Gazety Krakowskiej”, z datą 28 sierpnia, kiedy to Stanisław W. przebywał w Bystrej Podhalańskiej. Odwiedził wówczas żonę i dziecko i jeszcze tego samego dnia wrócił do Krakowa.

4

Opierając się na zeznaniach świadków prokurator przyjął następującą wersję wydarzeń. Rankiem 29 sierpnia Stanisław W. przyjechał na ulicę Zwierzyniecką w Krakowie (nie ustalono rodzaju pojazdu, nie udało się bowiem odszukać ani taksówkarza, ani dorożkarza, który wioził częściowo sparaliżowaną) i zabrał Mariannę Gałuszkową na ulicę Długą (czy ofiara nie protestowała, nie opierała się, czy pozwalała dobrowolnie wyprowadzić się z taksówki lub z dorożki?). „Doktorek” zaprowadził ją do mieszkania, które zajmował z żoną i dzieckiem oraz z kilkoma innymi rodzinami. W mieszkaniu nie było wówczas nikogo. Współlokatorzy znajdowali się w pracy, a jedyna nie pracująca kobieta, matka kilkuniesięczonego dziecka, wyszła do sklepu. W pokoju dał Gałuszkowej zastrzyk usypiający i, kiedy kobieta zasnęła, poderznął jej gardło. Podczas kolejnego wynoszenia miednicy z krwią natknął się na współlokatorkę, która powróciła do sklepu. Widziała ona ciemny płyn w miednicy, ale w korytarzu panował półmrok, więc nie zorientowała się, że była to krew. Stanisław W. zapytał ją, kiedy wychodzi na spacer z dzieckiem. Odpowiedziała, że za kilkanaście minut, jak tylko przebe-e.ze niemowlę. Po jej wyjściu przyszedł Kądziewa. Uparcie dzwonił do drzwi i nie chciał rdejsć. „Doktorek” musiał z nim pojechać do ZUP i na Kopernika do kliniki. Potem zostawił go na Plantach, gdzie spotkał sąsiadkę z dzieckiem. Powiedział jej, że zapomniał wziąć kluczy, i poprosił, aby pożyczyla mu swoich. W ten sposób zabez

4

pieczył się przed jej niespodziewanym powrotem. W mieszkaniu przystąpił do drugiej części zbrodniczego dzieła — do kawałkowania zwłok. W tym czasie nad Krakowem rozszalała się burza. Ulewny deszcz i grzmoty zagłuszyły wszystko. Nikt nie mógł usłyszeć uderzeń tasaka lub siekiarki. I dlatego sąsiedzi zza ściany nie kłamali, zapewniając, że nie słyszeli odgłosów uderzeń. Potem okrył tułów kapą, kikuty obwiązał kawałkami flaneli, zabezpieczył paskami i włożył do kosza.

W uzasadnieniu aktu oskarżenia, jako motywy zabójstwa, prokurator wymienił zadłużenie Stanisława W. u Gałuszkowej. Dług ten wynosił, o czym prokurator dowiedział się z aktu procesu cywilnego, około stu tysięcy złotych. Pieniądże były jednym z motywów. Drugim był prestiż „Doktor” został zdemaskowany przez sparaliżowaną staruszkę. Poznała ona starannie skrywaną przez Stanisława W. tajemnicę, jego lekarską mistyfikację. W czasie gdy Gałuszkowa bezskutecznie domagała się od „Doktor” zwrotu pożyczki, jej adwokat złożył wniosek w izbie lekarskiej o zabezpieczenie roszczeń powódki. Tam dowiedział się, że Stanisław W. nie figuruje w spisie lekarzy krakowskich. Powiedział o tym Gałuszkowej i staruszka zdradziła się przed własnym mordercą, że wie o jego oszustwie.

Taką wersję zaginięcia Marianny Gałuszkowej przedstawiał — w streszczeniu — pierwszy akt oskarżenia.

Sąd przeprowadził rozprawę i uznał winę Sta

25

niśława W. za udowodnioną. Wymierzył oskarżonemu karę dożywotniego więzienia.

Obrońca zapowiedziała rewizję wyroku i uzasadniła ją uchybieniami w prowadzeniu śledztwa. Adwokaci napisali:

Przy kończynach przesłanych z Gdańska do Krakowa (po ekspertyzie w Zakładzie Medycyny Sądowej) znajdował się egzemplarz „Gazety Pomorskiej”.

Zabójca może więc %ywozić się z północnych regionów kraju. Najpewniej byli to dwaj marynarze, których widziano nieraz w Krakowie podczas załatwiania handlowych interesów z Gałuszkową. Dostarczali jej owoców cytrusowych i innych artykułów delikatesowych. Poza tym ani w śledztwie, ani w sądzie nie wyjaśniono sprawy trzeciego paska znajdującego się przy zwłokach. Skąd się on wziął, jeżeli w protokole oględzin kosza nie ma o nim ani słowa? Może należał on do mordercy — ale nie do „Doktor”. Wreszcie ich zdaniem oskarżyciel nie wyjaśnił okoliczności nadania kosza. Jeżeli przywoziła go na dworzec kobieta, należy ją odnaleźć i przesłuchać. Ona powinna rozproszyć najważniejsze wątpliwości.

Rewizja trafiła do Sądu Najwyższego, który zgodził się z argumentami obrony i uchylił zaskarżony wyrok. Nie uniewinnił jednak oskarżonego. Sprawę przekazał do uzupełnienia śledztwa.

W takim stanie prowadzenie śledztwa przejął prokurator Henryk Pracki. Surowo i sceptycznie ocenił zgromadzone materiały dowodowe. Jeszcze

4

tęgo samego dnia, w którym zlecono mu zajęcie się sprawą, pojechał pociągiem nr 3624 do Wrocławia. Udał się bezpośrednio do ekspedycji bagażowej, aby obejrzeć pomieszczenie i porozmawiać z pracownikami.

— Pamięta pan ten kosz ze zwłokami? — spytał kolejarz wydającego przesyłki.

— Dlaczego mam nie pamiętać. To było na mojej służbie, jak go otwierała komisja. Smród był, że aż mdliło...

— A może pan sobie przypomniał, ilu przyjechało milicjantów?

Kolejarz spojrzał podejrzliwie. Dziwił się, że kogoś może interesować, ilu było funkcjonariuszy przy otwieraniu kosza. Dopiero gdy dowiedział się, że ma przed sobą prokuratora, stał się bardziej rozmowny.

— Było dwóch milicjantów i fotograf. Jeden oglądał, drugi potokowało, trzeci robił zdjęcia.

Piokurator pożegnał się z kolejarzem i pojechał do Komendy Wojewódzkiej. Miał już podstawy do sprostowania protokołu, w którym jako przycrowprizającego oględziny wymieniono Antoniego Kowila. minio że uczestniczył w tym jesz-c-p oficer Upewnił się jeszcze co do tej kwestii, pr-c; owadzając rozmowę z Antonim Kowalem.

— Pan brał udział w oględzinach kosza ze zwłokami Gałuszkowej?

— Oględzinami kierował porucznik Teodor Tworek. Ja byłem tylko członkiem ekipy i protokolantem.

— Mógłby pan sobie przypomnieć, jakie przed

27

mioty znajdowały się w koszu? Jest to bardzo ważne, bo protokół chyba nie ujął wszystkich.

Funkcjonariusz zastanowił się i po pewnym czasie zaczął wymieniać: „Zwłoki były przykryte kapą, na kikucie szyi — majteczki dziecięce ze sztywną wkładką, taką jaką daje się przy zagrażających zwichnięciach stawu biodrowego. Na kprpusie chałat. W tali — pasek od tego chałata. Na kikucie lewej nogi — pasek nylonowy. Na kikucie prawej — pasek z flaneli satynowej. Poza tym ręcznik...”

Prokurator nie mógł ukryć napięcia, z jakim słuchał tej wylczanki. Chodziło mu właśnie o ten trzeci pasek, flanelowy. Sąd odrzucił ten dowód, bowiem nie wymieniał go protokół oględzin zwłok.

— Powiedział pan, pasek flanelowy? — spytał po chwili.

— Pasek z flaneli satynowej, ciemny, chyba granatowy, tak, granatowy...
— O tym pasku nie ma ani słowa w protokole.
— Ale był przy zwłokach. Myśmy go fotografowali, był z rzadko spotykanego materiału i porucznik kazał zaznaczyć dokładnie, że flanela satynowa, pamiętam dobrze tę nazwę. Wyglądał na część stroju i można go było traktować jako szczególnie ważny dowód...
— Dlaczego w protokole nie ma wzmianki o tym pasku?
— Trudno mi powiedzieć... Ja na pewno go zapisywałem... Maszynopisu nie zdążyłem sprawdzić...

5

— Ale jest pan pewny, że pasek flanelowy znajdował się przy zwłokach?
— Oczywiście...
— Proszę napisać takie oświadczenie — zakończył rozmowę prokurator i poprosił o wezwanie porucznika Teodora Tworka. Na wstępie poinformował go o nieścisłościach protokołu, stanowiącego przeciw istotny dowód w procesie.
— Nie ma w nim także pana nazwiska — dodał.
— Byłem szefem ekipy i prowadziłem oględziny zwłok w ekspedycji bagażowej, a potem w Zakładzie Medycyny Sądowej.
— Więc dlaczego nie podpisał pan protokołu?
— Podpisałem, to jest mój podpis — porucznik wskazał niewyraźne zakrętas na kartce. — A że nie wymieniałem swojego nazwiska w protokole, to czasem się zdarza. Ot, zwykłe przeoczenie. Przeważnie, pisząc o innych i o sobie, ludzie siebie wymieniają na końcu lub wcale. A maszynopisu rzeczywiście nie czytałem. Nie było czasu, szkoda...

Po zebraniu oświadczeń, prostujących protokołów z oględzin kosza z korpusem Gałuszkowej, prokurator Pracki wrócił do Krakowa i zarządził pono-wne, okazanie świadkom przedmiotów znalezionych przy zwłokach. Wezwał kolejno wszystkich współ-lokatorów mieszkania „Doktorka” i współlokato-rów z domu Gałuszkowej. Wyłożył na biurko pasek flanelowy, ręcznik, kapę z wyraźną cerą wykonaną ciemniejszą lica, chałat, szmatę do podłogi...

29

Świadek Eugenia Barszcz przyjrzała się dokładnie paskowi z flaneli satynowej.

— To jest pasek od bluzki mojej matki — powiedziała.

— Jest pani tego pewna?

— Oczywiście. Zresztą matka ma jeszcze tę bluzkę, a od pewnego czasu szukała paska. Nawet kilkakrotnie pytała, czy go gdzieś nie widziałam.

Nie ohcąc przegapić tak ważkiego dowodu, prokurator natychmiast udał się ze świadkiem do mieszkania przy Długiej 88. Eugenia Barszcz przeszukała szafę, potem bielizniarkę i mocno rozczarowana stwierdziła, że bluzka zniknęła.

— Tak zawsze bywa — usprawiedliwiała się. — Kiedy człowiek czegoś potrzebuje, to nie może tego znaleźć. A może mama wzięła bluzkę do siebie? Mieszka w Nowej Hucie. Ja nawet mam klucze od jej, mieszkania.

Po kilkunastu minutach znaleźli się w Nowej Hucie. Barszczowa przejrzała wszystkie szafy i kufty. Bluzki nie było. W tym czasie wróciła jej matka i dowiedziawszy się, czego szukają, wyjaśniła spokojnie:

— Dałam tę bluzkę Agnieszce.

Agnieszka Tynec mieszkała w województwie rzeszowskim, w Piechotach. Prokurator Pracki pojechał więc razem z Barszczową do Piechot. Zastali gospodynię, która zdziwiona pogonią za bluzką poinformowała ich, że spruła ją kilka dni temu, gdyż chciała sobie uszyć coś innego. Ale te sprute kawalki może pokazać.

SO

Prokurator Pracki zabrał ze sobą wszystkie kawalki, jakie pozostały z bluzki flanelowej, i następnego dnia przekazał je do ekspertyzy włókienniczej i krawieckiej. Załączył pasek jako materiał dowodowy.

W tym okresie nauka miała już duże osiągnięcia w prowadzeniu badań nad identyfikacją tkanin. Eksperci potrafili ustalić, czy przedstawiony im do badań skrawek materiału pochodzi z tego samego kawałka, co tkanina służąca jako materiał porównawczy. Brali pod uwagę rodzaj splotu, popełnione przez maszynę tkacką błędy, a także jakość i cechy indywidualne użytej przędzy.

Zanim nadeszła ekspertyza, inni świadkowie rozpoznali szereg przedmiotów wystawionych w gabinecie prokuratora Prackiego. Wszyscy zaczęli od kapy, którą widywali od wielu lat w pokoju teściowej „Doktorka”, Stanisława W. Dokładnie pamiętali znajdującą się na niej cerę. Na temat kosza nie wypowiadali się. Jeżeli jednak kapa pochodziła z mieszkania przy ulicy Długiej 88, podobnie jak pasek, ręcznik, szmata i majteczki dziecięce, to należało przyjąć, iż kawałkowanie zwłok również się tam odbywało. Na czym? Na podłodze nie dostrzeżono żadnych śladów. Prokurator prosił każdego świadka, żeby wymienił sprzęty, jakie znajdowały się w mieszkaniu „Doktorka” i jego teściowej w 1955 roku. Jednocześnie wydał polecenie, aby spisano wszystkie sprzęty, które obecnie znajdują się w tych mieszkaniach. Sprzątaczką, zatrudnioną przez teściową Stanisława W. i przez jego żonę, stanowczo utrzymywa-

31

ła, że kiedyś były tam dwa taborety i w końcu 1955 roku jeden zniknął. Czy właśnie ten, na którym morderca odrąbał nogi?

Ilość pośrednich dowodów wzrastała. Eksperti włókiennicy dowodzili, iż pasek z flaneli satynowej został wykrojony z tego samego materiału, z którego uszyto bluzkę. Nie tylko z tego samego materiału, ale z tego samego kawałka. Zetknęli powierzchnie przecięcia i sfotografowali.

Mimo zacieśniających się poszlak prokurator postanowił wyjaśnić do końca sprawę „Gazety Pomorskiej” kwestionowanej przez obrońców Stanisława W. Pojechał specjalnie do profesora Stanisława Maczarskiego do Zakładu Medycyny Sądowej w Gdańsku.

— Prowadź śledztwo uzupełniające w sprawie zabójstwa kobiety, której odcięte nogi były poddane oględzinom w naszym Zakładzie. Czy pan profesor pamięta, w co zapakowane były odcięte kończyny? Jest to bardzo istotny szczegół.

— Pamięć może zawieść, ale mamy zwyczaj opisywania przesyłanych nam zwłok. Spojrzmy do naszej dokumentacji... — sięgnął po podłużny zeszyt i przekartkował go. — Jest. Nogi w szarym papierze pergaminowym i w „Gazecie Krakowskiej”.

— I nic więcej? To jest naprawdę bardzo ważne, od tego może zależeć wyrok.

— Czy ktoś kwestionuje obecność pergaminu lub egzemplarza gazety?

— Nie — odparł prokurator, który czuł spadek napięcia, jakie mu towarzyszyło przed tą ważną rozmową. — Obrona sugeruje, że nogi były zapakowane również w „Gazetę Pomorską”, a to wskazywałoby na innego podejrzanego.

— Może pan przyjąć jako absolutny pewnik, że „Gazety Pomorskiej” nie było w przesyłce, którą otrzymaliśmy od milicji...

„Gazeta Pomorska”, której egzemplarz przekazano prokuraturze wraz z odrąbanymi nogami i „Gazetą Krakowską”; pojawiła się więc dopiero po oględzinach w Zakładzie Medycyny Sądowej. Może zapakował w nią te kończyny pomocniczy pracownik Zakładu lub funkcjonariusz MO?

Próby ustalenia, kto dołączył gazetę, nie powiodły się. Prokurator zrezygnował z nich całkowicie, gdy otrzymał wiadomość o chęci złożenia zeznań przez współtowarzysza celi więziennej, w której przebywał „Doktorek”.

— Ja wiem o dwóch rzeczach w sprawie „Doktorka” — powiedział mu więzień. — Siekiera, którą milicjanci znaleźli w jego mieszkaniu, należała do sąsiada i dlatego nie było na niej śladów krwi. Tamtą siekiere, którą porąbał zwłoki Gałuszkowej, wyrzucił.

Prokurator w milczeniu notował.

— „Doktorek” śmieje się teraz z milicjantów, którzy przesłuchiwali Władysława W., tego, co to wysłał kosz z trupem do Wrocławia. Władysław W. dostał od „Doktorka” parę tysięcy za wywiezienie Gałuszkowej i podrzucenie gdzieś odrąbanych nóg. Władek włożył nogi do przedziału wtedy, kiedy pociąg stał* jeszcze na boczniczy.

* — Zbrodniarz

5

— A gdzie znajduje się głowa?

— On nie chce tego zdradzić. Może spalił albo wrzucił do ustępu. Ja się brzydzę tym człowiekiem. Pan prokurator wie, że siedzę tu za zabójstwo, ale ja przynajmniej uszanowałem trupa.

— Powołam pana jako świadka — powiedział prokurator. — Czy powtórzy pan to przed sądem, w obecności „Doktorka”?

— Powtórzę — zapewnił skazany.

Po powrocie do Krakowa prokurator wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu Władysława W. i Henryka K. Natychmiast też zabrał się do przesłuchania. Przerwał im, gdy zaczęli wymyślać bajki, i upominał, aby się zastanowili. Władysław W. przyznał się wieszce do znajomości z „Doktorkiem”. Opisał ich spotkanie i opowiedział o zawartej umowie.

— Ale my nic **nie** w edzieli o trupie — zapew-^ niał. — Pan doktor prosił o nadanie kosza, to my nadal. Dal za to pięćdziesiąt złotych.

— A skąd się wzięły nogi w przedziale pociągu jadącego do Gdyni?

— Nic o tym nił wiem — upierał się.

Do końca utrzymywał tę wersję. Nawet skonfrontowany z kierownikiem drużyny konduktor-skiej, któremu oferował tysiąc złotych łapówkę i dobrą kolację dla całego zespołu, nie zmieniał wyjaśnień.

W dniu rozpoczęcia drugiej rozprawy przeciwko Stanisławowi W i jego dwóm pomocnikom prokuratura dysponowała drobiazgowo sprawdzonymi dowodami obciążającymi trzech oskarżonych. Pod

34

ważone zostały także zeznania świadków obrony, którzy chcieli zapewnić oskarżonemu alibi. Z dokumentów zdobytych przez prokuratora wynikało, iż osoby te mylą daty, były nieobecne w Krakowie w dniu 29 sierpnia lub mają obniżoną zdolność spostrzegania. Najważniejszy świadek, na którego stawiał adwokat, współlokatorka mieszkania „Doktorka” Stanisława W. utrzymywała, iż 28 sierpnia przez cały dzień przebywała w mieszkaniu i sprzątała. Wykluczało to możliwość dokonania zabójstwa w mieszkaniu przy ul. Długiej 88. Okazało się jednak, że sprzątanie odbyło się 30 sierpnia, a 29 sierpnia przebywała ona u swojej córki.

Zaskoczeniem dla obrony było pojawienie się przed sądem nowego świadka oskarżenia, człowieka, który widział, jak z domu przy ulicy Długiej dwaj mężczyźni wynosili kosz do bielizny. Rozpoznał on Władysława W., jako jednego z tych mężczyzn.

Z pomocą przyszedł oskarżycielowi pełnomocnik zamordowanej, przedstawiając sądowi pozew, jaki złożył w jej imieniu przeciwko „Doktorce”. Oświadczył on też, iż Gałuszkowa wiedziała o mistyfikacji lekarskiej „Doktorka”.

Po zamknięciu postępowania dowodowego prokurator wygłosił ponad dwugodzinne przemówienie. Mówił z pamięci, spoglądał tylko co pewien czas do zanotowanych dyspozycji tematycznych. Po przepisaniu z taśmy magnetofonowej przemów

* 6

wienie zajęło 64 strony maszynopisu, po 41 wierszy z 65 znakami, czyli cztery razy więcej, aniżeli ten reportaż relacjonujący przebieg śledztwa. „Proszę Wysokiego Sądu!

Proces Stanisława W. jest ściśle związany z miastem, w którym rozwijała się akcja przestępstwa. Kraków w tym procesie widoczny jest niemal w każdym dowodzie, w każdym zeznaniu świadka. Wydarzenia rozgrywały się w sercu Krakowa, na jednej z najstarszych ulic, ulicy Szpitalnej, u podnóża jednego z najstarszych i najpiękniejszych kościołów, Kościoła Mariackiego... Tam też oskarżony zauważył kobietę, która od wczesnego rana do późnego wieczora siedziała przy gablocie z papierosami i towarami kolonialnymi. Znał ją cały Kraków. Tysiące krakowian miało tę okrytą lachmanami kobietę, która tkwiła przy swojej gablocie w mróz, deszcz, w upał, jakby należała do pejzażu Rynku, jakby przypisana była do pralni-tówki Kościoła Mariackiego... Oskarżony zorientował się, że ta okryta lachmanami kobieta nie jest biedna. Przystawał przy stoisku, wypyttywał o stan jej zdrowia, mówił, że interesuje go to jako studenta medycyny. Ta prosta kobieta polubiła go, miała nadzieję, że kiedyś, gdy człowiek ten stanie się lekarzem, będzie ją leczył i może wyleczy z tej choroby, której dolegliwości poważnie odczuwała. Całymi godzinami rozmawiała z sympatycznym studentem, częstowała go pączkami i owocami, które kupowała specjalnie dla niego. A on konsekwentnie realizował swój plan. Postanowił od starej, częściowo sparaliżowanej kobiety wyciąg

6

nać jak najwięcej pieniędzy, których mu ciągle brakowało. Wyludzał je pod różnymi pretekstami: najpierw jako niezbędne na studia, potem na kupno mebli, na urządzenie gabinetu lekarskiego, na obrońcę w wymyślonej sprawie karnej, wreszcie na kupno domu dla niej i dla niego.

W końcu stan zdrowia Gałuszkowej znacznie się pogorszył. Zaczęła nalegać, by Stanisław W. umieścił ją w szpitalu, żeby pokrył koszty jej leczenia. Działo się to po odebraniu koncesji na prowadzenie obnośnego handlu, gdy jej sytuacja materialna nie była najlepsza. Oskarżony udaje, że chce jej pomóc, ale Gałuszkowa podejrzewa, że działa na jej szkodę, że denuncjuje przed władzami, bo sypią się na nią mandaty za nielegalny handel. Oskarżony zdawał sobie sprawę, że resztki uczuć Gałuszkowej pękają pod naporem życiowych potrzeb i dojdzie do jawnego konfliktu między nim a tą starą kobietą. Obawiał się ujawnienia wielkiej mistyfikacji, obawiał się, że runie jak domek z kart misternie budowana, a na oszustwie-oparta jego spokojna egzystencja. W tym okresie oskarżony miał już rodzinę, żonę, dziecko i cieszył się powszechnym poważaniem jako znany lekarz... Był człowiekiem, który okazywał siłę wobec słabych, a tchórzył wobec silnych. Ponieważ Gałuszkowa była słaba, schorowana, stara, mógł być wobec niej silnym. Postanowił ją zamordować.

Spółeczeństwo Krakowa zna ten proces i go rozumie. Spółeczeństwo, które przez tyle lat stykało się z tą niedołężną handlarzką z ulicy Szpitalnej, Cętki tysięcy krakowian, którzy każdego dnia

37

przechodzili obok niej i jej prawie nie dostrzegali, zwrócili na nią uwagę dopiero wówczas, gdy zniknęła, gdy dowiedzieli się, że została zamordowana. Ten ohydny mord głęboko wstrząsnął krakowskim społeczeństwem. Dlatego takie nastroje towarzyszą temu procesowi. I w imieniu tego społeczeństwa, w imieniu wymiaru sprawiedliwości, w imieniu urzędu, który piastuje, wnoszę, aby sąd w tej sprawie wydał surowe, przewidziane prawem wyroki.

Kiedy Sąd Wojewódzki wydał wyrok dożywotniego więzienia i wyrok ten stał się pi awomocny, na drzwiach mieszkania przy ulicy Długiej 88 nie było już wizytówki „Stanisław W. — lekarz chorób kobiecych” Wszyscy już wtedy wiedzieli, że „Doktor” nie jest lekarzem

On sam opowiedział prokuratorowi historię mistyfikacji.

— Przyjechałem z Mielca i chciałem studiować w Krakowie. Nie dostałem się jednak na Akademię Medyczną, a ponieważ wstydziłem się przyznać do tego rodzicom, to kupiłem czapkę studencką i kitel lekarski i chodziłem na niektóre wykłady otwarte. Zawarłem w tym czasie znajomości ze studentami i asystentami, co mi ułatwiło wstęp na teren kliniki. Potem sami ludzie mi wmawiali, że jestem lekarzem. Zawiesiłem więc tabliczkę i przyjmowałem pacjentki. Żadnych zabiegów nie przeprowadzałem. Nawet nie dawałem zastrzyków. To była moja życiowa tajemnica.

38

Zbrodnia bez kary

Lekarz kamienickiego ośrodka zdrowia, Bogdan Siewiński, wprowadził się do domu parafialnego w marcu 1956 roku. Zajął mieszkanie po proboszczu, dla którego odbudowano wreszcie spaloną przez okupantów hitlerowskich plebanię. Poza meblami i sprzętem domowym nowy lokator przywiózł ze sobą parę dorodnych królików. Lubił te zwierzątka, sam je opatrywał, zbijał klątki dla króliczego przychowku i zawieszał je w drewni, przylegającej do pokoju, a połączonej z nim małym korytarzykiem. Któregoś dnia poprosił Marię Fa-ron, salową z ośrodka, o wysprzątanie drewni i wyniesienie wszystkich śmieci oraz resztek mialu, trocin, desek, makulatury i butelek.

Salowa pracowała kilka godzin i, kiedy zaczęła plantowanie klepiska, wygrabiła z podłoża drewni czaszkę ludzką. Prerażona pobiegła z tą wiadomością do lekarza, który zaraz udał się do komisariatu MO.

— Zdziwiło mnie to — powiedział lekarz dyżurnemu funkcjonariuszowi — ale upewniłem się, że faktycznie pani Faron odkopała czyjś płytko

6

ukryty szkielet. Zanim wyjaśni się, do kogo ort należał, chciałbym prosić panów o dyskretne prowadzenie śledztwa, żeby ludzie, broń Boże, nie przerazili się, że w ośrodku zdrowia znalazł się trup. Może są to ślady prowadzące w lata okupacji?

.. Ekipa śledcza, w skład której wchodził oficerowie komend wojewódzkiej i powiatowej, prokurator Jerzy Kaczmarek oraz ekspert z Zakładu Medycyny Sądowej, dr Jan Kobiela, zjawiła się w domu parafialnym następnego dnia, czyli 11 września.

Dół, w którym odkryto zwłoki, był przysypany zaledwie 15-cm y metrową warstwą ziemi i mierzył 40 cm szerokości, 160 cm długości i 40 cm głębokości. Znajdujący się w nim szkielet pozbawiony był już niemal całkowicie tkanki miękkiej. Okręwały go tylko resztki zbutwiałej odzieży, jedna stopa tkwiła w półbutcu, obok leżał przegniły kawałek teckki parciańskiej ze stalowym sztywnikiem i metalowymi zamkami, a na wysokości pępka zaśniedziała moneta Pod kośćcem leżało kilka bryłek węgla.

„Szczątki zwłok złożono do worka i przesłano do Zakładu Medycyny Sądowej” — napisał w dokumencie śledczym prokurator.

Lekarz Bogdan Siewiński, z którym po kilkunastu latach starałem się odtworzyć wydarzenia pierwszych godzin śledztwa, przypomniał sobie, że do Zakładu Medycyny Sądowej przesłano również kości ludzkie znalezione na śmietniku, gdzie wyrzuciła je podczas porządkowania drewni Ma

40

ria Faron. Wśród wyniesionych rupiec znalazł się także drugi półbut z paroma kostkami, kępka włosów oraz kawałek skórzanej teckki.

Na ogół w śledztwach o zabójstwo nieznaną osobą jest sprawca, ale również w tym wypadku, podobnie jak po znalezieniu nóg w pociągu, literkami NN oznaczono najpierw ofiarę. Prokuratura musiała przede wszystkim doprowadzić do zidentyfikowania kośćca, a więc nawiązać współpracę z naukowcami i ekspertami, którzy dysponując szkieletem podjąć się mieli odtworzenia prawdopodobnego wyglądu ofiary.

Poszukiwania prowadziły nie tylko władze śledcze. W detektywa zabrał się także lekarz. Prze-wertował on dokumenty meldunkowe domu parafialnego oraz przeprowadził szereg rozmów z długoletnimi mieszkańcami Kamienicy. Dowiedział się, że podczas okupacji dom ten zajmował wójt. Nazywał się obiecująco: Wesolek, ale został rozstrzelany przez partyzantów za współpracę z okupantem.

— Sądzę, że jest to szkielet byłego sołtysa — wyraził przypuszczenie podczas rozmowy w funkcjonariuszami MO. — Ludzie nie przypominają sobie, żeby ktoś urządził Wesółkowi pogrzeb. Przysypano go chyba w drewni i tak przetrwał do dzisiaj...

Informacja o sołtysie Wesółku dotarła do prokuratury powiatowej, ale została z miejsca odrzucona, bowiem prokurator wiedział już od lekarzy z Zakładu Medycyny Sądowej, że szkielet należy do kobiety, a zaśniedziała moneta okazała się

6

dziesięciogroszówką emitowaną od 1950 roku, czyli pięć lat po zakończeniu wojny.

Mieszkańcy Kamienicy zaczęli więc przypominać sobie, jakie to kobiety mieszkały lub przebywały czasowo w domu parafialnym po 1950 roku, kiedy dom ten był jeszcze siedzibą probostwa.

— Wszystko teraz jest jasne — opowiadał nauczyciel Jan Duda. — Jeżeli jest to szkielet kobiety, to najpewniej będzie to resztką tego, co zostało po Lidii, czyli Leliji. Pracowała ona na plebanii u księdza Habasa i około tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku ślad po niej zaginął.

Inni mieszkańcy również przypominali sobie Le-liję. Sierżant Kofliński, któremu polecono zebrać informacje o tej kobiecie, wkrótce wiedział o niej prawie wszystko. Opisywano ją jako brunetkę średniego wzrostu, pozbawioną znacznej części uzębienia i dodawano, że chorowała na padaczkę. Jej prawdziwe nazwisko brzmiało: Zofia Chlipała. Nie wiadomo, skąd przybyła do Kamienicy, ale pewnego dnia zniknęła i co się z nią później stało, nikt nie wiedział. Plotka, która obiegła wieś mniej więcej po roku od jej zniknięcia, utrzymywała, że Lelija zginęła pod kołami samochodu, lecz świadków tego wydarzenia nikt nie mógł wskazać. Była też inna wersja losów Leliji. Mówiono, że ksiądz Habas wywiózł ją do domu opieki „Caritas”. Duchowny nie mógł jednak ani potwierdzić, ani zaprzeczyć pogłosce, gdyż zmarł w 1956 roku. Niepokojący był tylko fakt, opowiadali mieszkańcy Kamienicy, że w ostatnim okresie swego doczesnego żywota ksiądz był bardzo wy-

42

buchowy, pewnego razu podarł nawet na sobie odzież. Czyżby gnębiły go wyrzuty sumienia?

W rysopisie Zofii Chlipały było kilka elementów pokrywających się z ustaleniami dokonanymi podczas badania szkieletu. Zgadzał się wzrost i budowa. Nie zgadzał się kolor włosów. Chlipała była brunetką, a przy szkielecie odnaleziono warkoczki z jasnych włosów. Na czaszce zachował się też fragment skóry z jasnymi włosami. Poza tym Lelija chodziła tylko w męskim obuwiu, a przy nieznaną ofierze odnaleziono półbuty damskie.

Po miesiącu prokurator otrzymał dokładny protokół sekcji z Zakładu Medycyny Sądowej. Eksperti ustalili, iż szkielet należał do kobiety mierzącej około 160 cm, w wieku około 50 lat. Liczne urazy czaszki powstały najprawdopodobniej od uderzeń siekierą lub tasakiem. Zgon ofiary mógł nastąpić najwcześniej w 1950 roku, jednak nie później aniżeli w roku 1953.

Mieszkańcy Kamienicy nie znali ustaleń sekcji, więc w dalszym ciągu dopasowywali nazwiska kobiet do szczątków NN kobiety. Wymieniali Żydówkę Blumę Kluger, która ukrywała się w tej miejscowości przed hitlerowcami.

— Kluger miała czarne włosy, była średniego wzrostu... — wyjaśniał prokuratorowi jeden z mieszkańców Kamienicy, Jan O.

— Czy widział ją ktoś po wojnie? — przerwał mu prokurator.

— Nie, nikt jej nie widział. Chyba zginęła...

7

— Dziękujemy panu za szczerą chęć, ale ta informacja nie może być kluczem do wyjaśnienia tajemnicy zwłok odkopanych w domu parafialnym. Szukamy kobiety, która zginęła dopiero po wojnie i była blondynką... — powiedział prokurator.

Włączenie się prawie wszystkich mieszkańców do odtwarzania wydarzeń rozgrywających się na plebanii od 1950 roku nie posunęło poszukiwań nawet o krok. Nie podpowiedziano ani jednego nazwiska kobiety, której rysopis odpowiadałby ustaleniom dokonanym w czasie badania szkieletu. W tej sytuacji prokurator stanął przed proceduralną koniecznością umorzenia śledztwa. Decyzję taką podjął 30 listopada 1956 roku. Na skoroszycie odłożonym na odrębną półkę widniał napis: *Sprawa o zabójstwo NN kobiety przez NN sprawcę.*

Decyzja prokuratora nie powstrzymała lekarza Siewińskiego od dalszych dociekań na temat ofiary zbrodni. Zebrana przez niego dokumentacja mogłaby posłużyć do napisania monografii domu parafialnego. Znajdował się w niej spis lokatorów opatrzony datami wyprowadzenia się starych proboszczów i wprowadzenia nowych, nazwiskami gospodyń i wikarych... W ten sposób doszedł do nazwiska proboszcza Marka Chela, który zajmował mieszkanie na parterze (wraz z drewnianą) od 1950 roku do połowy 1952. Ksiądz Chel przyjechał do Kamienicy z małej wioski, w której również pełnił obowiązki proboszcza. Zaczął wówczas, można spokojnie użyć tego zwrotu, nowe życie. Zajmował się nie tylko duszpasterstwem, ale także

7

działalnością polityczną po obu stronach barykady. Po jednej — szczerze, z oddaniem, jako członek reakcyjnej organizacji „Odwet górski”, po drugiej — dla zamydlenia oczu władzom śledczym. W połowie 1952 roku władze bezpieczeństwa rozbiły organizację „Odwet górski” i aresztowały wszystkich jej członków, wśród nich księdza Chela. Każdego z nich osądzono i skazano na długoletnie kary więzienia. Proboszcz Chel został skazany na 10 lat pozbawienia wolności. Udowodniono mu bowiem aktywny udział w opracowywaniu planów napadów.

— Ksiądz Chel proponował nam nawet napad na swoją plebanię — powiedział podczas rozprawy członek bandy Tadeusz S. — Przekonał nas, że akcja taka przyniesie podwójną korzyść — materialną i polityczną. Mieliśmy tam zdobyć poważne sumy pieniędzy i pewne ilości złota, a potem opowiadać ludziom, że napadu na kościół dokonali funkcjonariusze UB.

W protokole rozprawy wymieniono okres, w którym proboszcz nakłaniał kierownictwo bandy do napadu na plebanię. Było to w połowie stycznia 1952 roku, pół roku przed likwidacją organizacji „Odwet górski”

Proboszcza Chela można byłoby podejrzewać o morderstwo dopiero wtedy, gdyby udało się ustalić, że znał zamordowaną i był z nią w jakiś sposób związany. Jego ostatnią gospodynią żyła, a przedostatnią, a zarazem pierwszą w Kamienicy, odeszła z plebanii po kilku miesiącach pracy. — Ksiądz mi nie dawał spokoju — powiedziała

*5

ła prokuratorowi, gdy ten spytał ją o powody opuszczenia plebanii. — Po co było diabła kusić...

— Czy do proboszcza nie przyjeżdżała jakaś kobieta w średnim wieku? Nie widziała pani w jego prywatnym mieszkaniu blondynki?

— Ja o czymś takim nic nie wiem. Za moich czasów żadna blondynka do proboszcza nie przyjeżdżała, a później nie interesowałam się plebanią. Nie obchodziło mnie, co on tam robi...

Prokurator nie uczestniczył w tej fazie postępowania wyjaśniającego. Prowadziła je służba kryminalna. Jeden z jej oficerów udał się do wioski, w której ksiądz Chel pełnił funkcję proboszcza przed pojawieniem się w Kamienicy. Przeprowadził tam szereg rozmów z parafianami i najbliższymi znajomymi Marka Chela. Ksiądz Marek Chel objął probostwo L. w 1939 roku i przez dziesięć lat był tam duszpasterzem. W roku 1943 na plebanii zamieszkała „kudłata Helka”, obrotna, wygadana i dość odważna panienka, która niebawem stała się administracyjnym zarządcą proboszcza. Zawierała wszystkie transakcje z dostawcami, skupowała materiały budowlane i handlowała artykułami spożywczymi. Czyniła to, zdaniem parafian, z upoważnienia, w interesie i za pieniądze proboszcza. Była jego prawą ręką i zaufanym człowiekiem. Czy czymś jeszcze?

— Była sprytna i potrafiła okantować nawet starych handlarzy — opowiadał kierownik szkoły, Wojciech Goczał, który utrzymywał z proboszczem dość bliskie kontakty towarzyskie. W tej wsi w zasadzie liczyło się dwóch ludzi: proboszcz i kierownik szkoły. Potem kolejność się zmieniła. Rządziła „kudłata Helka”, a po niej wymieniano księdza Chela, a później Wojciecha Goczała.

„Kudłatą Helkę”, czyli Annę K., zaczęto z czasem nazywać „księżą narzeczoną”. Określenie to nie było pozbawione podstaw. Niektórzy widzieli, jak rano wychodziła z pokoju proboszcza, inni domyślali się, iż Helka mogła sobie pozwolić na rządenie plebanią dopiero wtedy, gdy zawojowała proboszcza. Kiedy Marek Chel zamówił sobie zdjęcie portretowe u powiatowego fotografa, „kudłata Helka” kazała dla siebie zrobić identyczny portret, zapłaciła za niego z własnych pieniędzy, a potem powiesiła w swoim pokoju

Po zakończeniu wojny Helka wyjeżdżała często na szaber Na ogół jeździła dwa razy w miesiącu i przywlekała różne szmaty. Sprzedawała je babom albo na targu w powiecie. Przestała szabrować w połowie 1947 roku, gdy było widać zaawansowaną, cząę... — przypomnieli sobie kolejny rozmówcy ofkera służby kryminalnej.

Władze śledcze dowiedziały się więc o istnieniu Anny K., która w 1943 roku urodziła pierwsze dziecko, z nim pojawiła się na plebanii w L., a w 19-6 roku drucie, pochodzące prawdopodobnie ze zw. azku z proboszczem. Pierworodne zmarło jeszcze w lfi43 roku, drugie żyło.

Rysopis Anny K. odpowiadał prawie we wszystkich szczegółach odtworzonemu rysopisowi ko-

47

7

biety, której szczątki znaleziono w domu parafialnym. Anna K. była blondynką, czesała się w warkoczki, miała około 160 cm wzrostu. Wyjechała z L. jeszcze przed przeniesieniem się Marka Chela do Kamienicy. Zamieszkała w Nowym Sączu, w baraku kolejowym, w skromnie umeblowanym pomieszczeniu, w którym na centralnym miejscu wisiało portretowe zdjęcie księdza Chela. Urządziła sobie nowe życie na wzór poprzedniego. Nadal zajmowała się drobnym handlem, a nawet, jak opowiadały najbliższe jej znajome, przemycem przez granicę polsko-czechosłowacką. Mieszkała w Nowym Sączu dwa lata. 2 stycznia 1952 roku wybrała się w podróż mającą trwać najwyżej dwa dni, tak wyjaśniała sąsiadce, Adeli Gerhard, i już nie wróciła do domu.

— Anna K. poprosiła mnie, żebym zaopiekowała się jej synem. Marczykiem. Zapewniła mnie, że najpóźniej czwartego stycznia wróci do domu. Jednak nie wróciła i ja nie wiedziałam, co robić z chłopcem. Nie mogłam opiekować się nim dłużej, bo miałam własną pracę, więc udałam się na posterunek i zapytałam, czy wiedzą coś o Annie K. Może stało się jakieś nieszczęście? Nikt mi nie mógł nic powiedzieć o matce Marczyka, więc zostawiłam chłopca na posterunku i powiedziałam, żeby go dali do domu dziecka.

W komisariacie nie zatroszczono się o sporządzenie odpowiedniego zapisu urzędowego. W książce wydarzeń, jak i w książce służby oficera dyżurnego, nie

pojawiła się o tym najmniejsza wzmianka. Czyżby takie przeoczenie było możliwe? **A**

48 może Adela Gerhard kłamię? Może nie poinformowała milicji o zaginięciu Anny K. i nie przekazała dziecka pod opiekę funkcjonariuszy?

Milijanci nowosądecki przypominali sobie jednak, iż coś takiego rzeczywiście się wydarzyło. Kilku z nich pamiętało małego Marcuszka, który przebywał na posterunku, zanim wzięła go jakaś rodzina. Adela Gerhard mówiła więc prawdę. Po-tw. erdził to milicjant, który w 1952 roku otrzymał polecenie ustalenia miejsca pobytu Anny K. i przeprowadzał rozmowy z sąsiadkami.

— Chłopczyk opowiadał, że z rodziny ma jeszcze tylko wujka księdza — oświadczył ów funkcjonariusz. — Nie dowiedziałem się jednak, gdzie ten wujek mieszka.

Zdobyte materiały pozwalały na wznowienie umorzonego śledztwa. Podjęli je prokuratorzy Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie, Jan Polony i Henryk Pracki. Zaczęli od prób zidentyfikowania przedmiotów znalezionych przy szczytkach zwłok, a więc części teczki parczanej, butów, kawałka płaszcza, jaki zdołał się zachować, warkoczików...

Gdyby szkielet rzeczywiście należał do Anny K., to przedmioty znajdujące się przy nim musiały być jej własnością. Sąsiadki mogły to potwierdzić lub wykluczyć. Pamiętały przecież, jak ubierała się Anna, jaką miała teczkę i w jaki sposób się czesała!

Wezwani do prokuratury świadkowie, którzy zetknęli się z „kudłatą Helką” w L. i w Nowym Sączu, mówili o niej wszystko, co wiedzieli z wla-

* — **Zbrodniarz**

49

nych obserwacji, i przytaczali opinie zasłyszane od innych, często nieżyjących już osób. Niektóre relacje znajdowały potwierdzenie w zeznaniach szeregu świadków, inne były niejako logicznym rozwinięciem oczywistych, udowodnionych faktów.

Najwięcej mówiono o dziecku, które Anna K. urodziła 2 listopada 1946 roku. Świadkowie twierdzili zgodnie, że jego ojcem jest proboszcz. W ceremonii chrztu, poza matką i proboszczem, uczestniczył jedynie kierownik szkoły, Wojciech Goczał. Chłopczyk otrzymał imię księdza, a nazwisko matki. Parafianie, którzy nigdy nie widzieli Anny K. z żadnym mężczyzną i byli świadkami jej rządów na plebanii, uznali, że dziecko zrodziło się z związku „kudłatej Helki” z księdzem. Nadanie chłopcu imienia proboszcza było dla nich potwierdzeniem podejrzeni, czego zresztą nie ukrywali przed „kudłatą Helką”.

— To kłamstwo! — krzychała. — On nie jest ojcem Marcuszka!

Pewnego dnia zmieniła jednak zdanie. Zachorowała dość ciężko i myślała, że już nie wróci do zdrowia. Wezwała wówczas Wojciecha Goczała, ojca chrzestnego Marcuszka, i oświadczyła, że prawdziwym ojcem jej syna jest proboszcz Chel.

— Nie chcę. Żeby po mojej śmierci dziecku stała się jakaś krzywdą — powiedziała wtedy. — Jak dorośnie, powinien wiedzieć, że jego ojcem był nie byle kto... Zwierzenia przekazane na łożu boleści można potraktować jako prawdziwe. Ale Anna K. po

50

pewnym czasie, gdy tylko powróciła do zdrowia, odwołała je. Uczyniła to na wyraźne żądanie proboszcza, który dowiedział się, że we wsi krążą wieści o jego ojcostwie. Poszła wówczas do Wojciecha Goczała i przy księdzu Chelu powiedziała, iż okłamała go podczas choroby. Potem wyjechała z L. Przyjeżdżała jednak co kilka tygodni na plebanie, wyjazd . . . < a co tłuszczejse kury i wykrzykiwała coś o sądzie Proboszcz zamykał się w swoim pokoju i mówił, że nie chce awantur i dlatego nie, będzie się wyklócał ze złodziejką.

Każda informacja przekazana przez świadków została przez prokuratorów sprawdzona lub skonfrontowana z innymi zeznaniami. Nawet owo wyki zykliwe Anny K. o sądzie, podczas łapania przez nią księzkowskich kur, potraktowano poważnie. Prokurator Pracki zwrócił się do Sądu Wojewódzkiego o wyszukanie akt sprawy wniesionych przez Annę K. przeciwko Markowi Chelowi.

Sąd, ku zaskoczeniu prokuratorów, przesłał im akta oznaczone symbolem II Co 354/49 i drugie z sygnaturą II C 2603/49. W pierwszych znajdował się wniosek o przyznanie prawa ubogich Annie K., którą, jak wypisał w uzasadnieniu adwokat, „nosi się z zamiarem wniesienia powo o alimenty dla swojego syna, Marka K.” (prawo takie sąd przyznał wnioskodawczyni), w drugich było tylko jedno pismo procesowe: pozew o alimenty dla Marka K., od niejakiego Marka KsChela. Poza

8

tym przechowywano w nim kilka nip doręczonych wezwań, opatrzonych adnotacją: adresat nieznan.

Pozew żądał od Marka KsChela łożenia na utrzymanie jego dziecka — Marka K. Pozwany miał zamieszkiwać w Krakowie przy ul. Kollątaja 6/6. Jednak nie mieszkał tam Pod adresem tym znano natomiast Annę K., która była służącą u właścicieli tego mieszkania Podała ten adres jako adres pozwanego. Dlaczego? Pani domu zeznała:

■ — Poznałam Michasia przed wojną. Była u nas służącą i opiekunką dzieci. Zadowolona byłam z jej pracy. Nie ociągała się, wszystkie polecenia wykonywała bez sprzeciwu. Miała tylko jedną wadę: wymyślała niestworzone historie, w które żaden rozsądny człowiek nie uwierzy. Mówiliśmy

0 niej kłameczucha, bajczarka. Starala się zawsze imponować swoimi znajomościami. Spotkałam ją po wojnie, w czterdziestym dziewiątym roku, i wtedy naopowiadała mi bajek o jakimś dziecku, które ma z księdzem. Wiedziela, że jej nie wierzę, więc powiedziela, że przyjedzie kiedyś z synem

1 pokaże, jaki jest ładny. Wyjęła też p.smo z sądu i pokazywała mi. że właśnie tam jest zapisane, iż ojcem jej Marka jest ksiądz. Potem spytała, czy nie będę miała nic przeciwko temu, jeśli poda w sądzie nasz adres, żeby tam sąd kierował pisma dla niej. W jakiś czas później listonosz przyniósł pismo z sądu, ale Michaśka nie zjawiła się po nie. Drugiego pisma nie odebraliśmy. Powiedzieliśmy po prostu listonoszowi, że tutaj nie mieszka taki adresat.

52

Prokuratorzy czytając pozew o płacenie alimentów dziwili się pisowni nazwiska pozwanego. W środku znajdowała się duża litera, czego nie spotyka się w polskich nazwiskach. Gdyby, rozmyślali, postawić kropkę po pierwszych dwóch literkach, brzmiałoby ono dość swojsko: Ks. Chel. Nie chcąc popełnić błędu, przekazali nazwisko „KsChel” do ekspertyzy językowej. Zadali najważniejszym językoznawcom pytanie, czy możliwa jest taka pisownia i czy w języku polskim może występować układ czterech spółgłosek nie oddzielonych od siebie samogłoską.

Profesorowie odpowiedzieli, że pisownia zastosowana przez Annę K. jest niedopuszczalna, a nazwisko niespotykane. Może rzeczywiście chodzi o dwa człony „Ks” i „Chel”?

Kolejnym działaniem było ustalenie, w jakim stopniu fantazje Anny K. nie miały pokrycia z rzeczywistością. O dziecku mówiła prawdę. Była matką. O sprawie sądowej także nie skłamała.

Dlaczego jednak nie przeprowadziła do końca sprawy o alimenty? Może nie chodziło jej o pieniądze, lecz o nastraszenie pozwanego? Prawnik, który pisał dziwny pozew przeciwko KsChelowi, potwierdził te przypuszczenia.

■ — Tak — powiedział. — Moja klientka nie zamierzała prowadzić sprawy do końca. Spodziewała się, że wystarczy jej sam pozew. Gdyby jednak jej plan nie powiódł się, wówczas miała postawić kropkę po „Ks” i nazwisko byłoby wyraźne.

Po tych ustaleniach należało znaleźć odpowiedź na kolejne pytanie. Czy proboszcz Chel był

8

zainteresowany w usunięciu Anny K? Mogła ona zginąć przy próbie przekroczenia granicy, zajmowała się przecież przemytem. Porozumiano się z Dowódcą Wojsk Ochrony Pogranicza. Po sprawdzeniu wszystkich meldunków z okresu 2 stycznia — połowa roku 1952 WOP wykluczyło taką możliwość. Anna K na p^wno nie zginęła podczas próby nielegalnego przekraczania granicy.

Sierżant Jan Chowaniec, jeden z tych funkcjonariuszy, którzy przypominali sobie poszukiw nia zaginionej Anny K. prowadzone w pięćdziesiątym drugim roku, napisał w oświadczeniu dla prokuratury:

... zapodają, że jak sobie przypominam, to robiłem wywiad na zleceń.e dzielni coveko Lelity od-nosn.e zaginionej Anny K.. kiora była w ciąży z jakimś narzeczonym i mus al on z nią coś zrobić, gdyz do tej pory nie wróciła".

Informacja o kolejnej ciąży Anny K. n została pow.srdczna w zeznam-eh innych " id-ków. Mo?e już me pamiętali albo sierżan owi pomyliły s.ę fakty?

Sąsiadka Anny K., Adela Gerhard, która miała się przez dwa dni opieki-w a i Marec ^m, na pytanie, czy słyszała o narzeczonym lub o ojcu Marka, odpowiedziała:

— Anna K. mówiła mi o bogatym leśniczym, ojcu Marka, do którego jeździła po pieniądze i żywność...

Kiedy jednak w kilka tygodni po zaginięciu Anny K. przeszk.nał w jej pokoju szuflady, chcąc znaleźć adres jakichś przyjaciół Anny, zna

54

laża trzy adresy: Krzeczkwoskich przy Kollątaja 6/6, księdza Chela/ w Kamienicy i kierownika szkoły w L., Wojciecha Goczała. Krzeczkwoscy nie odpowiedzieli na list. Ksiądz Chel przyjechał natychmiast. Mówił, że weźmie Marcuszka do siebie, ale zabrał tylko swój portret wiszący nad łóżkiem i pojechał do domu.

Portret księdza Chela w pokoju Anny K. widziało kilku świadków. Prokuratorzy opracowując pian czynności śledczych uznali, iż muszą również ustalić, czy wspomniany portret znajduje się w mieszkaniu księdza Chela. Jeżeli posiada on dwa portrety, to jeden z nich pochodzi z mieszkania Anny K. i został zabrany prawdopodobnie w celu zatarcia śladów.

Prokuratorzy odszukali wkrótce Marka K., który nosił teraz nazwisko swoich przybranych rodziców, i wraz z nimi wezwali go do prokuratury. Chłopiec chętnie opowiedział przelichującym o swojej mumusi i o wizytach u tatusia, na którego kazano mu mówić „wujek”. — Czym jechałeś do tatusia? Jeździł pociągami,

potem ze stacji furmanką. Tatuś Marka chodził w sukience, częstował go cukierkami i głaskał po główce. Marek pokazał prokuratorom zdjęcie tatusia. Na fotografii, wśród kilku księży, znajdował się proboszcz Chel. Na niego wskazał jako na tatusia, którego nazywał wujkiem.

Poszlaki przemawiające za tym, iż zainteresowanym w usunięciu Anny K. mógł być ojciec jej dziecka, stawały się -coraz mocniejsze. Po jakimś

9

czasie zgłosiła się do prokuratora Maria Sz., bliska znajoma Anny K. i zeznała, iż Anna powiedziała jej, że ojciec Marka nazywa się Kchela. Takie przeinaczenie nazwiska pojawiło się również w aktach pierwszej sprawy cywilnej. Pełnomocnik nie zwrócił uwagi, że w protokole za n.ast KsChel napisano Kchela, a następnie Kochela, co dopiero na kolejnym posiedzeniu zostało sprostowane na wniosek substytutu pełnomocnika. Jednak w kolejnym protokole i- w postanowieniu **Ladu** przyznającym Annie K. prawo ubogich napisano: Kchela. Właśnie ten dokument pokazywała Anna K. swojej byłej pani. a także współlokatorce Marii T. oraz znajomej Marii Sz.

W zeznaniach Marii T. pojawił się kolejny wątek, mogący rzucić światło na sprawę zagir. i. la Anny K., i należało go wyjaśnić. Przed swoim **wyjazdem 2 stycznia** Anna K. była **czymś** poważnie **zmartwiona** i co pewien czas poplakiwała sobie w kąciu.

— Zapytałam ją, dlaczego płacze, a ona odpowiedziała, że **ma** przykrości z mojego powodu, bo nie zameldowała mnie, chociaż u niej **mie**-zka od kilku miesięcy. Ktoś o tym doniósł... — oświadczyła **suhlokatorKa**.

Prokuratorzy starali się "dowiedzieć w administracji PKP, czy podejmowano jakieś działania przeciwko Annie K. Nikt jednak nie przypominał sobie takiej sprawy.

Aczkolwiek wszystko wskazywało na to, iż szkielet znaleziony w drewnitni domu parafialnego należał do Anny K., to najważniejszy element nie

56

zgadzał się. Był nim wiek. Anna K. w chwili zaginięcia nie ukończyła jeszcze 40 lat. Biegli z Zakładu Medycyny Sądowej, posługując się metodą Gustafsona-Simpsona, twierdzili, że wiek zamordowanej oscyluje między 47 a 55 rokiem życia. Wykluczyli tym samym identyczność obu postaci. Prokuratorzy zwrócili się ponownie do Zakładu Medycyny Sądowej z pytaniem, czy metoda zastosowana przez nich jest pewna i nie uwzględnia tolerancji w dół.

— Możliwa jest pewna tolerancja — odpowiedział biegły. — W tym przypadku może sięgać siedmiu, ośmiu lat, bowiem szwy odkopanej czaszki nie były całkowicie zrosnięte, a zrastają się najpóźniej do czterdziestego roku życia. Wniosek: ofiara nie osiągnęła w chwili śmierci czterdziestu lat.

Prokuratorzy nie komentowali tych wykluczających się opinii. Prawdą jest, że szwy czaszki zrastają się do 40 roku życia, a na odkopanej czaszce nie były jeszcze całkowicie zrosnięte. Należało to jednak zaznaczyć w pierwszej opinii, a nie dopiero w dodatkowym wyjaśnieniu!

Prokuratorzy zlecieli dodatkowe badania antropometryczne metodą superprojekcji. Uzyskano zdjęcie twarzy Anny K. (było to zdjęcie do dowodu osobistego) i starano się „nałożyć” je na zdjęcie wykopanej czaszki. Zdjęcia te pokrywały sięomal idealnie. Eksperti orzekli więc, że przeprowadzone przez nich badania nie wykluczają identyczności Anny K. z dowodową czaszką.

Po dalszych badaniach biegli byli już pewni,

9

że znalezione szczątki należą do Anny K. Wydawane przez nich opinie były jednak o wiele ostrożniejsze.

W kilka tygodni później prokuratorzy postanowili poddać konfrontacji cechy antropometryczne Marka K. i księdza Chela. Po skrupulatnych badaniach biegli ustalili, że na 38 cech antropometrycznych porównywalnych (wszystkie wzięto pod uwagę) piętnaście występuje u dwunastoletniego Marcuszka i u księdza Marka Chela. Badani mieli również trzy wspólne cechy występujące niezmiernie rzadko. Po tych badaniach prokuratorzy wydali postanowienie o tymczasowym aresztowaniu księdza Marka Chela i przedstawili mu zarzut zamordowania Anny K. Podejrzany odrzucił osądzenie i zaprotestował przeciwko pomawianiu go o ten czyn. Nie zmienił postawy, gdy przedstawiono mu wyniki ekspertyz oraz znalezione w jego mieszkaniu dwa portrety, z których jeden świadkowie rozpoznali jako zabrane z mieszkania Anny K.

— Cóż z tego? — powiedział. — Czy mam odpowiadać za to, że ktoś zawiesił w swoim mieszkaniu moje zdjęcie? Ja nie mam nic wspólnego z odnalezionym szkieletem, a tym bardziej z zaginięciem Anny K.

Prokuratorzy nie zamierzali prowadzić w tym dniu długiego przesłuchania. Odłożyli je na później, kiedy już zdołają wyjaśnić wszystkie istotne szczegóły dowodowe. Odesłali więc zatrzymanego

58

do aresztu, a w prokuraturze prowadzili dalej ustalenia dotyczące przedmiotów znalezionych przy zamordowanej.

Świadek Tadeusz Gerhard, syn Adeli, rozpoznał w jednej z teczek własną teczkę szkolną, która zginęła mu w styczniu 1952 roku. Wymienił niezmiernie ważną cechę indywidualizującą tę teczkę: rodzaj sztywnika. Zrobił go sam z piłki do cięcia metalu. Faktycznie sztywnik w znalezionym fragmencie teki zrobiony był z takiej piłki.

Helena Gerhard, córka Adeli, rozpoznała warkoczki Anny K. Leżały one między innymi splecionymi z włosów blond i kasztanowych. Kilka osób zidentyfikowało obuwie Anny K. Trzej świadkowie rozpoznali fragment płaszcza.

Kiedy przedstawiono te dowody podejrzanemu, który od 12 grudnia 1958 roku pizebywał w areszcie tymczasowym, wyjaśnił on spokojnie:

— Anna K. przyjechała do L. w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, żeby starać się o zapomogę „Caritasu”. M'iała niemowlę na ręku. Otrzymała zapomogę, a także mieszkanie, w zamian za co nrała załatwiać drobne zakupy dla plebanii: świece, wino, mydło i inne artykuły. Dziecko wkrótce zmarło, a Anna K. pozostała na plebanii. W roku czterdziestym szóstym podjęła się sprowadzenia na budowę kościoła wagonu cementu. Wyjechała na cztery dni, a po powrocie oświadczyła, że zaszła w ciążę z nie znanym jej osobnikiem. Twierdziła, że to moja wina, że gdyby nie pojechała po cement, to zdołałaby uniknąć tego nieszczęścia. Urodziła dziecko w listopadzie

9

i od tego czasu działała na szkodę plebanii. Ostatni raz widziałem ją w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku.

Wyjaśnienie to nie było przekonujące. Prokuratorzy zdołali ustalić, że Anna K. odwiedzała proboszcza w latach następnych w Kamienicy. Po przedstawieniu zdjęcia „kudłatej Helki” kilka osób przypomniało ją sobie, a nawet jej skandaliczne zachowanie: kradła kury. Poza tym było wątpliwe, żeby tuż po powrocie z czterodniowej podróży Anna wiedziała, że zaszła w ciążę z nieznajomym. Może wspomniała o ciąży, ale z Chelem.

Na początku stycznia do prokuratora zgłosił się niezmiernie cenny świadek. Przekazał on wiadomość o tajemniczym pamiętniku pisanim przez proboszcza.

— Dlaczego zgłasza się pan dopiero teraz? Myśmy kilka razy pytali pana, czy nie zna pan dalszych szczegółów z życia Anny K. i Marka Chela, a pan twierdził, że wszystko już powiedział — zgał go prokurator Pracki.

— Ja się niedawno o tym dowiedziałem. Zastanawiałem się, czy przyjechać z tym do panów i czy może mieć to jakieś znaczenie dla sprawy. Ale zBecydowałem się. Pamiętnik już nie istnieje, został spalony przez proboszcza zaraz po wykopaniu zwłok w domu parafialnym.

— I jaki możemy mieć pożytek z tej wiadomości?

— Pamiętnik został spalony, ale poprzednio przechowywali go dwaj wikariusze, którym Chel przekazał go przed aresztowaniem.

60

Czy wiadomość była pewna? Prokuratorzy ustalili nazwiska wikariuszy, którzy pracowali w Kamienicy podczas pobytu proboszcza w więzieniu. Dowiedzieli się także o miejscach ich aktualnego zamieszkania i wezwali obu na przesłuchanie. Kiedy księży przybyli do prokuratury, opowiedzieli wiele szczegółów z „apologii vitae”, powierzonej im przez proboszcza Chela. Ksiądz Chel dość dużo miejsca poświęcił w niej Annie K.

„Przedstawił ją jako matkę nieślubnego dziecka, którego ojcem był tajemniczy i bogaty pan. Co pewien czas bogacz ten przychodził do kościoła i starając się, by nikt tego nie zauważył, zostawiał na ołtarzu pieniądze na utrzymanie dziecka. Pieniądże te rankiem zabierał ksiądz Chel i następnie wręczał Annie K. Kobieta nie doceniała jednak życzliwości proboszcza. Była ordynarna, źle się do niego odnosiła i bez skrupułów okradła go. Pewnego dnia w tajemniczy sposób zniknęła. Okazało się, że ktoś ją zamordował.”

Marek Chel wspominał więc o zamordowaniu Anny K. jeszcze przed odkopaniem zwłok. Więcej, napisał, że może być podejrzewany o ten czyn i zapowiadał aresztowanie pod zarzutem morderstwa.

Prokurator skrupulatnie spisał odtworzone przez wikariuszy sformułowania z pamiętnika należącego prawdopodobnie do księdza Chela. Zeznania obu księży były zgodne i pokrywały się w sprawach dotyczących Anny K.

Podczas kolejnych przesłuchań ksiądz Marek Chel zmienił nagle swoje wyjaśnienia. Przyznał,

9

że Anna K. przyjeżdżała również do Kamienicy, czyli widywał ją także po tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku.

— Po co przyjeżdżała?

— Jak zwykle, coś ukrąść...

— Czy tajemniczy osobnik nie zostawiał już na ołtarzu pieniędzy na utrzymanie swego dziecka?

— Nie... A o jakiego osobnika chodzi?

— O tego, który występował na kartach „apolo-gii vitae”.

— Ja o niczym takim nie wiem — powtarzał podejrzany.

W jednym z listów pisanych przez Marka Chela z więzienia do krewnego znalazło się znamienne zdanie: „Zaginięcie Anny K. i odkopanie jej zwłok...”, po czym przekreślił „jej” i napisał „jakiejś kobiety”.

Przypadkowe przejęzyczenie?

Prokuratorzy napisali akt oskarżenia i przesłali go do sądu wraz ze wszystkimi ekspertyzami i dowodami wskazującymi, iż szczątki odkopane w domu parafialnym należą do Anny K., a jej mordercą jest oskarżony Marek Chel.

Sąd pierwszej instancji oceniwszy zebrany materiał i zeznania świadków przesłuchanych na rozprawie przyjął, iż oskarżony Marek Chel jest zabójcą Anny K., której zwłoki odkopano w domu parafialnym. Sąd uznał również za udowodnione ojcostwo syna Anny K. oraz dał wiarę zeznaniom świadków, którzy rozpoznali przedmioty znalezione przy szczątkach, jako należące kiedyś do Anny K. Skazany odwołał się od wyroku Sądu Wojewódzkiego do Sądu Najwyższego. obrońca twierdził, że w żadnym wypadku nie można mieć pewności, iż odnaleziony kościć należy do Anny K. Jego zdaniem badania antropometryczne metodą superprojekcji nie dają stuprocentowej pewności. Poza tym zapytywał, jak biegli mogli się pomylić w ocenie wieku zamordowanej o niemal 10 lat? Eksperci ocenili przecież wiek kośćca na 47—54 lata, a Anna K. ukończyła 39 i trzy miesiące.

Sąd Najwyższy w pełni podzielił wątpliwości obrońcy. Zarzucił wyrokowi pierwszej instancji, iż nie wypowiedział się w sprawie braku oryginalnego protokołu ekshumacji (zawieruszyl się po pierwszym umorzeniu śledztwa i dlatego musiano go odtworzyć z pamięci), zwątpił w bezbłądność superprojekcji, a poza tym po ilości urazów przyjął, że zabójstwa nie mogła dokonać jedna osoba. Trudno by jej było zatrzeć obfite ślady krwi (dziewięć ciosów siekierą lub tasakiem zadanych osobie leżącej chyba w pościeli).

Proboszcz Marek Chel opuścił więc więzienie.

Zbrodnia nie została ostatecznie wyjaśniona i w roku 1972 sprawa uległa przedawnieniu. Nikt już nie dowie się prawdy.

Prokuratorzy Polony i Pracki, mimo że ponieśli porażkę, nie zmienili swojego poglądu na morderstwo Anny K.

— Sąd nie podważył dowodów przemawiających za ojcostwem Marka Chela — powiedział mi po latach prokurator Pracki. — Myślę, że żaden z sędziów Sądu Najwyższego nie wątpił, iż ojcem Marka K. jest ksiądz proboszcz. O wyroku unie-

63

10

winnijącym zadecydowały pozorne drobiazgi: zaginięcie protokołu o odnalezieniu szczątków zwłok i pomyłka biegłych w ocenie wieku ofiary. Na rozprawie miały one wagę większą niż inne, bezsprzeczne dowody...

Lekarz Siewiński wyprowadził się z Kamienicy. Wyjechał bez królików i już nie hoduje tych sympatycznych zwierzątek.

Proboszcz Marek Chel również zmienił parafię. Na cmentarzu, gdzie pochowano szczątki znalezione w domu parafialnym, mimo wyroku sądu, znajduje się tabliczka informująca, że spoczywa tam w spokoju wiecznym Anna K.

Sprawy nie wykryto...

— To morderstwo było całkowicie pozbawione sensu — powiedział prokurator Henryk Sołga po przestudiowaniu meldunku złożonego 22 stycznia 1957 r. przez sierżanta Grzybowskiego, protokołu oględzin miejsca zbrodni na sześćdziesięcioletniej lokatorce mieszkania przy ulicy Barskiej w Krakowie i po przemysleniu własnych obserwacji, których dokonał w pierwszych dniach śledztwa. — Wiadomo, że każde morderstwo jest czynem nierozsądnym i jest pozbawione sensu. Ale to było szczególnie bezsensowne. Dlaczego morderca nie przywłaszczył sobie złota, o istnieniu którego nikt z sąsiadów ani z rodziny nie wiedział?

Zbrodniarz, który zadał staruszce dwadzieścia pięć uderzeń młotkiem (pozostawił go zresztą obok zwłok), mógł zabrać z mieszkania nie tylko dolary w zlocie, ale także ponad pięć tysięcy złotych oraz dziewięć obrączek, kilka łańcuszków, trzy bransolety i trzy zegarki. Nie tknął jednak lak cennego łupu. Zabrał natomiast złotą bransoletę, którą zdjął z przegubu prawej ręki Zeneidy Bo-rejko, a przecież wiedział, że bransoletę tę mogli opisać dokładnie wszyście sąsiedzi, zwłaszcza ko-

5 — Zbrodniarz

65

biety zwracające szczególną uwagę na strój i cenne ozdoby u innych.

Jeżeli jednak śledztwo miało już na wstępie wykluczyć motyw rabunku, musiałyby przyjąć w zamian inny — zemstę, przejaw ataku szału, chęć ozdobienia się właśnie taką bransoletą?

Zeneida Borejko-Chodkiewiczowa zajmowała dwupokojowe mieszkanie w starej kamienicy Właściwie składało się ono z łazienki przerobionej na kuchnię i jednego pokoju, w którego połowie zbudowano podest. Przestrzeń na podwyższeniu nazywano drugim pokojem. Staruszka, zwawa jeszcze, trudniła się szyciem bluzek. Sprzedawała je ekspedientkom i mniej wybrednym elegantkom z podkrakowskich miasteczek. Pracowała pilnie do samej śmierci. Jej zwłoki znaleziono obok porzuconego kawałka mater.aju, dwóch wykrojów z szarego papieru, niebiesko-białego centymetra krawieckiego, ołówka kopioowego i młotka, którym została zamordowana. Na oparciu fotela wisiała para gotowych bluzek. Napadnięta, jak można było wnioskować z rozprysków krwi, pierwsze ciosy otrzymała przy swoim warsztacie pracy. , Może uzgadniała z klientką model bluzki? Ponieważ włosy miała zakręcone w papiloty, a lekarz stwierdził, iż od śmierci mmęło co najmniej dziesięć godzin (zwłoki były zimne, a stęzenie pośmiertne występowało we wszystkich mięśniach), należało przyjąć, że Zeneida Borejko zakończyła życie dwudziestego, a najpóźniej wieczorem 21 stycznia 1957 r. Fakt, że łóżko było jeszcze starannie zasłane, czyli staruszka nie zdążyła położyć się spać,

66

przemawiał również za takim ustaleniem czasu morderstwa.

Prokurator Sołga, referendarz śledczy Prokuratury Miasta, uważnie obejrzał mieszkanie i sprawdził, czy wszystkie ślady znajdujące się w nim zostały naniesione na sporządzony przez technika szkic. Siadów było sporo i — zdaniem prokuratora — powinny szybko wskazać drogę do mordercy. Na miejscu zbrodni znaleziono niedopałek papierosa „Giewont”, cygarniczkę szklaną, filiżankę porcelanową z odciskami linii papilarnych i zwitek włosów, wyraźnie różniących się barwą i budową od włosów zamordowanej.

W wielu wypadkach równie tajemniczych zbrodni każdy z takich śladów, traktowany oddzielnie, doprowadził do ujęcia zbrodniarza i udowodnienia mu winy. Można było przypuszczać, iż teraz będzie podobnie. W sprawie zabójstwa staruszki z mieszkania przy ulicy Barskiej w Krakowie pomocy prokuratorowi i organom MO mogły udzielić co najmniej trzy pracownice naukowe: pracownia biologii sądowej, pracownia serologii i pracownia daktyloskopii.

Na każdym niedopałku papierosa palonego bez cygarniczki pozostaje ślad śliny. Siad ten poddany działaniu odpowiednich preparatów umożliwił naukowcom określenie grupy krwi palacza. Ustalenie grupy krwi na podstawie śliny wsączonej w niedopałek jest jednym z wielu sukcesów współczesnej serologii. Równie duże osiągnięcia uzyskała biologia sądowa, prowadząca badania nad włosami. Na podstawie .budowy włosa, jego kory,

10

rdzenia, grubości, po ustaleniu pierwiastków chemicznych wchodzących w jego skład, można powiedzieć sporo o właścicielu i udowodnić, że zostawiony na miejscu przestępstwa włos należy do określonego człowieka.

Do wyjaśnienia sprawy zabójstwa przy ulicy Barskiej włączyły się więc pracownice naukowe. Zanim jednak udzieliły one odpowiedzi na postawione im pytania, prokurator otrzymał z Komendy MO szereg dość istotnych informacji. Funkcjonariusze ustalili, że w suterenie domu przy ulicy Barskiej 30 mieszka Aleksander B., u którego często odbywają się libacje alkoholowe, a udział w nich biorą podejrzani osobnicy. Na dzień lub dwa przed morderstwem widziano tam Tadeusza O., który niedawno opuścił więzienie.

Przeprowadzona rewizja w pomieszczeniach zajmowanych przez Aleksandra B. przyniosła nieoczekiwany rezultat: znaleziono spodnie z brunatnymi plamami, przypominającymi krew, a na podszewce lewego rękawa jego marynarki odkryto czternaście małych plamek krwi.

— Ja nie zabiłem — tłumaczył się Aleksander B. — Spodnie znalazłem dzisiaj na śmietniku. Pomyślałem, że mogą mi s-ę przydać, więc je zabrałem. A co do plam na mojej marynarce, to chyba powstały one, jak oddawałem krew. Jestem krwiodawcą i co półtora m.esiaca chodzę do stacji krwiodawstwa...

Prokurator przekazał znalezione spodnie i marynarkę do badań serologicznych oraz wyr' i ro-łeczenie sprawdzenia grupy krwi podejrzą*- i

10

porównania odcisków jego linii papilarnych z liniami zabezpieczonymi na porcelanowej filiżance.

— Ja znałem panią Chodkiewiczową — wyjaśniał Aleksander B. — ale nigdy nie byłem w jej mieszkaniu. Nie miałem do niej żadnego interesu. Nawet mi do głowy me przyszło, żeby ją zabić...

Wyniki badań okazały się dla Aleksandra B. pomyślne. Przede wszystkim — odpowiedzieli serolodzy — przesłane do badania spodnie nie są poplamione krwią, lecz inną substancją brunatną. Natomiast krew na podszewce marynarki rzeczywiście należy do Aleksandra B. i najprawdopodobniej są to ślady po kolejnym jego pobycie w stacji krwiodawstwa, kiedy nakluta żyła jeszcze nie zasklepiała się.

Pracownia daktyloskopijna również wykluczała Aleksandra B. z kregu podejrzanych. Żaden z odcisków palców zabezpieczonych na filiżance nie ma ani jednej wspólnej cechy z odciskami linii papilarnych należących do Aleksandra B. — stwierdzono autorytatywnie.

Mieszkańcy domu przy ulicy Barskiej 30 starali przypomnieć sobie, kto wchodził do budynku w przeddzień wykrycia morderstwa lub wcześniej. Wiktor Ciężak opowiedział prokuratorowi o dwóch kobietach, które w towarzystwie mężczyzny minęły go 19 stycznia w bramie, a potem same otworzyły sobie drzwi i weszły

do mieszkania Ze-neidy Borejko.

— Jedna była w jasnym płaszczu gabardynowym, a ta druga miała bardzo ładną twarz — powiedział.

69

Drugi świadek, Józef Opoczyński, zapewniała, że późnym wieczorem 20 stycznia słyszała szelest papieru ocierającego się o okno, z czego wywnioskowała, że ktoś idący tamtędy do mieszkania Borejko niósł jakąś paczkę. Może materiał na bluzkę?

— Taka osoba mogła rzeczywiście złożyć wizytę zamordowanej — zgodził się prokurator. — Na kapie przykrywającej tapczan znaleźliśmy zapakowane kawałki materiału na bluzki.

Przez kilkanaście tygodni nikt ze składających wyjaśnienia i zeznania nie wspominał o najważniejszym fakcie, że Zeneida Borejko miała sublo-katorkę. Prokurator również dowiedział się o tym dopiero podczas przeglądania korespondencji, oczywiście w drugim etapie śledztwa. Przez cztery i pół miesiąca, opierając się na rysopisach podawanych przez sąsiadów Zeneidy Borejko, ustalał, kto ją ostatnio odwiedzał, podczas rozmów z odszukanymi przez wywiadowców osobami starał się dowiedzieć, jak przebiegały spotkania, co podczas nich załatwiano i o czym mówiono.

Aczkolwiek w pierwszych dniach skłonny był powtarzać, że zabójstwo Zeneidy Borejko było pozbawione sensu, to po trzech miesiącach śledztwa zauważył lekko rysujący się motyw, sięgający w okupacyjną i wczesnopowojenną przeszłość zamordowanej. Prowadziła ona wówczas przeróżne interesy i udzielała schronienia osobom poszukiwanym przez władze okupacyjne. Czy czyniła to z dobrego serca, z patriotyzmu, czy ciągnęła z tego zyski, na te pytania trudno było odpowiedzieć od razu, gdyż nie notowała ona nazwisk przecho-

11

wypanych uciekinierów i odszukanie ich wymagało czasu i środków. Prokurator podejrzewał, że pośrednicząc w przeróżnych transakcjach obejmujących poważniejsze ilości złotych monet mogła kogoś oszukać i ten dążąc do odzyskania majątku pozbawił ją życia. Ale dlaczego zabrał tylko bransoletę? Może bał się sięgnąć do szuflad i na półki szafy?

Prokurator cierpliwie rozwijał każdy z rysujących się wątków, ale widząc, iż domniemania te nie mają nawet najmniejszego pokrycia w dowodach i nie stanowią logicznego ciągu poszlak, postanowił umorzyć śledztwo, do czego zobowiązywał go zresztą termin określony w kodeksie postępowania karnego. Czwartego czerwca 1957 roku wydał takie postanowienie i odczytał akta do podobnych, nie dokończonych spraw.

Jeżeli — pomyślał, jeden z hipotetycznych wątków jest prawdziwy, wywiadowcy MO znajdą jakąś mocniejszą nić, którą będzie można uchwycić i dojść do prawdziwej lub najbardziej prawdopodobnej wersji wydarzeń...

Zbrodnia przy ulicy Barskiej nie dawała spokoju funkcjonariuszom służby kryminalnej. Przeprowadzali nadal rozmowy ze znajomymi zamordowanej, których krąg w ciągu następnych tygodni znacznie się poszerzył. W czasie jednej z takich rozmów dowiedzieli się o zadłużeniu jakiejś kobiety wobec Zeneidy Borejko. Odszukaną tę dłużniczkę. Była nią ekspedientka, spokojna dziewczyna

71

na, pracująca w sklepie przy ulicy Floriańskiej. Czy zdolna byłaby do zbrodni dla 400 złotych i bransolety? Kryminalistka zna jeszcze dziwniejsze przypadki, więc przeprowadzono dokładne ustalenia i szukano bransolety.

— Ta wersja nie była pozbawiona szans sprawdzenia się — powiedział później naczelnik służby kryminalnej. — W psychice dłużnika, który w zasadzie jest uczciwy, a nie może zwrócić długu, zachodzą przedziwne procesy, rodzą się najbardziej zaskakujące plany, nie wyłączając zbrodni...

Ekspedientki która nie zapłaciła Zeneidzie Borejko za bluzkę, nie mogła jednak mieć nic wspólnego ze zbrodnią. Jej alibi było niepodważalne, a odciski linii papilarnych, próbki włosów i badanie krwi całkowicie wykluczyły ją z kręgu podejrzanych.

Kolejna informacja również była ciekawa.

— Pani Borejko powiedziała mi, że w sobotę dziewiętnastego stycznia ma do niej przyjechać jakaś pani doktor, która ma dziecko z księdzem. Miała u niej mieszkać do końca stycznia — oświadczyła wywiadowcy dość bliska znajoma zamordowanej, Zofia Prądcecka.

Przejrzano ponownie korespondencję i zabezpieczone dokumenty. Rzeczywiście znajdowała się wśród nich depesza z następującym tekstem: „Przyjadę 15 I po południu dr Krystyna Marzyńska”, czyli Teofila Maria M. występująca zresztą pod kilkoma innymi nazwiskami (Grania, Kicińska, Hetman, Strzeblewska, Kasprzycka), podawała się za lekarzkę. Z medycyną łączyły ją dwie rzeczy: ukończony kurs laboran-tek w Bielsku-Białej i głód morfinowy, który zaspokajała nabywając narkotyki na podstawie sfałszowanych przez siebie recept.

Sprawdzone pod tym adresem, lecz taka osoba tam nie mieszkała. Ponieważ depeszę nadano w Opolu, postanowiono znaleźć oryginał i przepro-

72

wadzić badania grafologiczne pisma nadawcy. Z Centralnego Archiwum Poczty i Telegrafu przekazano prokuratorowi ów dokument. Jednocześnie oficerom śledczym udało się rozszyfrować tajemniczą postać „dr Krystyny Marzyńskiej”. Najpierw dowiedziano się, że jest dość ładną blondynką, średniego wzrostu i ma około 30 lat. Potem otrzymano dalsze informacje z akt śledczych KW MO w Katowicach i akt sądowych.

„Krystyna Marzyńska”, czyli Teofila Maria M. występująca zresztą pod kilkoma innymi nazwiskami (Grania, Kicińska, Hetman, Strzeblewska, Kasprzycka), podawała się za lekarzkę. Z medycyną łączyły ją dwie rzeczy: ukończony kurs laboran-tek w Bielsku-Białej i głód morfinowy, który zaspokajała nabywając narkotyki na podstawie sfałszowanych przez siebie recept.

Pojawiła się w Krakowie w 1944 roku jako szesnastoletnia dziewczyna szukająca pracy. Znalazła ją w Państwowym Zakładzie Higieny, który zaferował jej etat laborantki. Po wywołaniu zapisała się do dwuletniej szkoły laboran-tek w Biel-sku-B alaj. po ukończeniu której powróciła do Krakowa. Podjęła pracę w Szpitalu im. Św. Łazarza. Nie pozostała tam długo. W lipcu 1947 roku wyjechała do Cieplic, gdzie po raz pierwszy została zatrzymana pod zarzuciem fałszowania recept. W Krakowie znalazła się ponownie w 1951 roku jako pacjentka kliniki położniczej (oczywiście pod przybranym nazwiskiem Krystyny Andrzejewskiej). Urodziła dziecko i wyjechała. Jej namiętność do narkotyku równała się namiętności do

11

mistyfikacji. Starła się grać rolę lekarza, pracowała jako wolontariuszka Kicińska, zdobyła zaświadczenie, że jest zarejestrowana jako oficer, a urodzona w Wilnie o dwa lata wcześniej.

Był to rzadko spotykany przypadek dodawania sobie lat przez kobiety.

Wiele dalszych szczegółów życiorysu młodej jeszcze, bo w 1950 roku dwudziestodwuletniej, Teofili Marii M. zawierały akta dochodzeniowe przechowywane w archiwum Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach. Na Śląsku w roku 1957 dokumentowano zarzut o fałszowanie przez nią recept i pobieranie na ich podstawie narkotyków.

Co mogło skłonić Teofilę M. do popełnienia morderstwa?— Jaką miałaby z niego korzyść?

Podejmując decyzję o wznowieniu śledztwa prokurator Henryk Sołga zastanawiał się nad tym, w jaki sposób ujawnić ów niewiadomy motyw zbrodni na Zeneidzie Borejko. W każdym razie obecność Teofili w mieszkaniu Zeneidy Borejko w przeddzień jej śmierci, a potem nagłe zniknięcie i nieinteresowanie się losem starszki, u której miała przecież mieszkać przez cały styczeń, a może dłużej, stanowiło poszlakę. Wydał więc nakaz aresztowania Teofili Marii M. Zatrzymano ją w Olsztynie, gdzie pracowała jako lekarzka, i przewieziono do Krakowa.

Zdjęto przede wszystkim odciski linii papilarnych z palców Teofili M. i przesłano je do pracowni daktyloskopijnej, prosząc o możliwie szybką

11

odpowiedź na pytanie, czy na filizance pozostały ślady tych samych palców. Jeżeli ekspert daktyloskopii odpowiedziałby twierdząco, wówczas...

Wówczas — pomyślał prokurator Sołga, jedną z osób, która ostatnia widziała żywą Zeneidę Borejko, była M.

— Na filizance zidentyfikowano ślad linii papilarnych dużego palca. Jest on taki sam, jak odcisk linii papilarnych dużego palca Teofili M. — powiadomił go oficer śledczy, który wcześniej skontaktował się z ekspertem daktyloskopii.

Ten ślad stanowił więc mocną poszlakę obciążającą podejrzaną. Mimo to oświadczyła ona, że nie ma nic wspólnego z morderstwem i przez dłuższy czas w ogóle nie wiedziała, że Borejko nie żyje.

— Nie zaprzecza pani jednak, że mieszkała u Zeneidy Borejko?

— Byłam u niej od piętnastego do dziewiętnastego stycznia. W sobotę albo w niedzielę, już dokładnie nie pamiętam, wyjechałam do siostry cło Wrocławia. Siostra i szwagier mogą to potwierdzić. Ja naprawdę nie mam nic wspólnego ze śmiercią pani Borejko. Zapewniam pana...

Przez następne dni podejrzana przebywała w szpitalu. Występny u niej nasilające się objawy głodu morfinowego. Psychiatrzy nie mieli wątpliwości, iż pacjentka cierpi na neuropshopatię, co ogranicza zdolność rozpoznawania czynów i kierowania postępowaniem.

Po przełamaniu kryzysu mogła składać wyjaśnienia przed prokuratorem. Nastąpiły w nich istotne zmiany. Oświadczyła, że wyjechała 19 stycznia, i to nie do Wrocławia, lecz do Poznania, gdzie umówiła się ze swoim znajomym, niejakim R.

Po kilku dniach wróciła jednak do pierwszej wersji.

— Powiem prawdę — zaczęła podczas kolejnego przesłuchania. — Wyjechałam od Chodkiewiczowej około dwudziestej drugiej w sobotę dziewiętnastego stycznia pociągiem do Wrocławia. Byłam, co prawda, umówiona z R. w Poznaniu dziewiętnastego stycznia, ale wyjazd opóźniłam. Przed wyjściem z mieszkania byłam świadkiem wizyty, jaką złożyli pani Chodkiewiczowej nie znani mi ludzie: mężczyzna, brunet albo szatyn w samodzielnym płaszczu, i kobieta, wyższa ode mnie, blondynka. Ja zostałam jeszcze około dwudziestu minut. Wypiłam kawę, przyczesalam włosy przed lustrem i wyszłam na pociąg. Ci ludzie pozostali w mieszkaniu Zeneidy Borejko.

Prokurator nie nalegał na dokładniejsze wyjaśnienia tych okoliczności. Uznał je za wykretnie i wymyślone tylko po to, aby osłabić wymowę dowodów (poza

zidentyfikowaniem linii papilarnych w pracowni biologicznej ustalono, że włosy znalezione w mieszkaniu zamordowanej są bardzo podobne w budowie, kolorze i pod wieloma względami mikro- oraz makroskopowymi do włosów podejrzanej).

Jeżeli Teofila Maria M. nie zabiła, to sprawcami mogli być tylko owi tajemniczy goście, o których nic bliższego nie mogła ona jednak powie
76

dzieć. Do swoich poprzednich wyjaśnień dodała tylko, że ktośś z nich paliło papierosy. Kto? On? Ona? Czy trudno było taki szczegół zapamiętać? Rozumowanie prokuratora opierało się na logicznym ciągu poszlak. Jeżeli Teofila M. rzeczywiście wyjechała z Krakowa 19 stycznia, to również tego dnia została zamordowana Zeneida Borejko. Staruszka nie zostawiłaby przecież do następnego dnia brudnej filiżanki, a ponieważ każdego ranka sprzątała mieszkanie, zmiotłaby także ów zwitek włosów, jaki zsunął się na podłogę podczas czesania się Teofili M. przed wyjściem na dworzec. Czy mogli zamordować staruszkę owi tajemniczy goście?

Było to niemożliwe!

Borejko żyła dwudziestego stycznia! Głosowała, widzieli ją różni ludzie, rozmawiali z nią. A ponieważ była to niedziela, pozostawienie nie zamiecionej podłogi i brudnej filiżanki z poprzedniego dnia należało całkowicie wykluczyć.

Wmnssek: Teofila M. nie wyjechała z Krakowa 19 stycznia, lecz 20. po zabójstwie!

Siostra podejrzanej złożyła następujące zeznania:

— Marii Teofili M. przyjechała do Wrocławia chyba w lutym. Wcześniej do nas nie wstępowała...

Szwagier podejrzanej oświadczył, że widział Teofilę chyba w kwietniu

Przesłuchany w Poznaniu mężczyzna, z którym Teofila M. umówiła się na 19 stycznia 1957 roku, przyznał, że co prawda miał tego dnia spotkać się
12

z nią, ale ona przyjechała dopiero po wyborach. W poniedziałek lub we wtorek.

— Czyli wieczorem dwudziestego popełniła zbrodnię, wsiała w pociąg i wyjechała do Poznania. To by się zgadzało z innymi materiałami śledztwa — powiedział prokurator do oficera śledczego, który przywiózł protokół przesłuchania z Poznania.

Przed zamknięciem śledztwa i przystąpieniem do pisania aktu oskarżenia prokurator wydał postanowienie o skierowaniu podejrzanej na dokładne badania psychiatryczne do szpitala w Kobierzynie, a także wyjaśnił sprawę depeszy nadanej w Opolu. Ekspertyza grafologiczna wypadła korzystnie dla podejrzanej. Blankiet wypełniony był przez inną osobę, co mogłoby świadczyć, że Teofila M. nie zapowiadała swojego przyjazdu. Ale podejrzana — wbrew ekspertyzie, nie wiedząc zresztą o jej wyniku, przyznała, że taką depeszę nadała w Opolu i jeszcze tego samego dnia przyjechała do Krakowa.

Psychiatrzy obserwowali zachowanie się pacjentki i po badaniach stwierdzili, że występują u niej wyraźne objawy neuropsychopatii z rysami histerycznymi.

Pacjenci tacy zdolni są do nieobliczalnych czynów, nawet do zbrodni, i są gwałtowni w chwilach podrażnienia.

Czy Borejko-Chodkiewiczowa mogła podrażnić Teofilę?

Mogła odmówić jej pójścia po morfinę, zakładał prokurator, albo zaczęła moralizować, kiedy narkomanka wkluwała sobie kolejną porcję narkotyku
12

ków. Fakt, że Teofila M. przyjmowała morfinę w mieszkaniu Chodkiewiczowej, został udokumentowany już wcześniej. Drobne ślady krwi na ręczniku znalezionym w łazience były pozostawione przez podejrzaną.

Neuropsychopatia i narkomanka wykorzystwała pobyt w szpitalu na korespondencję z R., do którego wysłała cztery listy. Dopiero ostatni z nich dostał się do rąk prokuratora. Teofila M. instruowała' w nim swego znajomego, jak powinien zeznawać przed prokuratorem i sądem.

R. przesłuchany ponownie oświadczył, że poprzednich listów nie ma, zniszczył je bowiem od razu, ale teraz przypomina sobie dokładnie, kiedy przyjechała do niego Teofila Maria M. Było to zaraz po wyborach 21 lub 22 stycznia.

Prokurator miał jeszcze jeden dowód — ekspertyzę serologiczną przeprowadzoną na niedopalku papierosa „Giewont”. Podejrzana, chociaż upierała się, że pali „Poznańskie” i „Dukaty”, a „Giewonty” tylko wtedy, gdy ktoś ją poczęstuje, była jednak wydzielaczem substancji grupowych znajdujących się w ślinie osobników posiadających grupę „0”. A w niedopalku stwierdzono obecność substancji grupowej o charakterze antygeny grupowego H/0, czyli pochodzącego od ludzi z grupą „0”, a więc m.in. Teofili M.

Dysponując takim obciążającym materiałem, prokurator Henryk Sołga skierował do sądu akt oskarżenia przeciwko Teofili Marii M. zarzucając jej, że w zamiarze pozbawienia życia zadała Zeneidzie Borejko-Chodkiewiczowej dwadzieścia pięć
79

ciosów młotkiem w głowę i spowodowała śmierć staruszki. Sposób popełnienia zbrodni (modus ope-randi) sugerował, iż sprawca nie był zrównoważony psychicznie, a M. jest właśnie neuropsychopatką. Tak więc liczba zadanych ciosów, porzucenie narzędzia mordu na miejscu zbrodni, a także pozostawienie kosztowności i gotówki przemawiały wraz ze wszystkimi poszlakami za winą oskarżonej.

Sąd pierwszej instancji przychylił się do opinii oskarżyciela i uznał, iż zgromadzone przez niego poszlaki, wiążące się w logiczny ciąg, dowodziły winy Teofili Marii M. Z jej wywodów sędziowie odnieśli wrażenie, że popełniła zbrodnię w histerycznym ataku neuropsychopatii. Oskarżona przyznała, że jest narkomanką. Przyjeżdżając w styczniu do Krakowa miała ze sobą zapas sterylnego narkotyku. Poza tym zrealizowała kilka recept w Ośrodku Zdrowia. Recepty były sfalszowane i powoływały się na podrobioną kartę informacyjną.

— Po co oskarżona przyjechała w styczniu do Krakowa? — zapytał prokurator Sołga.

— Chciałam znaleźć tam pracę...

— I po trzech dniach oskarżona zrezygnowała z podjętych starań? Co było powodem tak naglej zmiany decyzji?

— Umówiłam się ze znajomym, że przyjadę do niego na niedzielę. Jest on ojcem mojego dziecka.

— Po tym, spotkaniu oskarżona miała chyba wrócić do Krakowa, gdzie przecież zaczęła starania o pracę. Dlaczego nie powróciła?

80

— Zostałam... Ja najpierw byłam we Wrocławiu, potem pojechałam do Poznania, stamtąd udałam się na dwa dni do Olsztyna. Załatwiłam sobie pracę, wróciłam jeszcze raz do Poznania, było to dwudziestego siódmego stycznia, a od pierwszego lutego pracowałam już w Olsztynie...

— I nie uważała oskarżona, że powinna o zmianie swojej decyzji powiadomić Chodkiewiczową?

— Nie pomyślałam o tym...

Nie przyznała się również do posiadania kluczy od mieszkania Zeneidy Borejko, a zeznania świadków, którzy twierdzili, że widzieli ją, jak otwierała drzwi, określała jako kłamliwe.

— Poza tym — mówiła — nie miałam nigdy płaszczu gabardynowego, a w zimie chodziłam w krótkim kożusku.

— Oskarżona nie zażądała od właścicielki mieszkania kluczy? Przecież naraziła się w ten sposób na wyczekiwanie przed drzwiami w wypadku nieobecności Zeneidy Borejko? — zadał pytanie prokurator.

— Nie miałam klucza — odpowiedziała oskarżona.

Po zamknięciu przewodu sądowego i wysłuchaniu przemówień stron (obrońcy wnosili o uniewinnienie oskarżonej — powoływali się na zmienione zeznania siostry oskarżonej, jej szwagra i świadka Olszewskiego) sąd skazał Teofilę Marię M. na sześć lat więzienia.

Sąd Najwyższy, do którego dotarła rewizja obu stron (obrony i oskarżyciela), przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. Nie podjął więc decyzji

• — **Zbiorniarz**

81

o niewinności ani o winie oskarżonej. W wywodach uzasadniających takie stanowisko sędziowie wyjaśnili, iż poszlaki przemawiające za winą oskarżonej są silne i jest ich dużo, ale nie stanowią zamkniętego łańcucha, który pozwoliłby na zdecydowane orzeczenie o winie lub niewinności Teofili M.

Sprawa powróciła do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie.

Były to lata obfitujące w ciekawe procesy poszlakowe. W Warszawie rozgrywała się sprawa o zamordowanie Teresy Tarwid, na wakandzie była także rozprawa o zabójstwo Anny K. (o której pisałem w poprzednim rozdziale). Można zaryzykować twierdzenie, że wśród prawników toczyły się wówczas spory o istotę procesu poszlakowego. Nadal przeważał pogląd, iż w przypadku braku bezpośrednich dowodów (jeżeli nikt nie widział oskarżonego podczas dokonywania przestępstwa) proces staje się poszlakowym. Pozostawione przez zbrodniarza ślady, czyli dowody pośrednie, nie były traktowane jako ważne argumenty obciążające sprawcę. Nawet gdyby pracownice naukowe udokumentowały związek pośredniego dowodu z przebiegiem akcji przestępczej.

Podczas drugiej rozprawy świadkowie obrony zmienili swoje zeznania.

Siostra i szwagier oskarżonej stwierdzili teraz, że Teofila przyjechała do Wrocławia 20 stycznia, Olszewski przypomniał sobie, że widział Teofilę M. w kawiarni „Narcy” właśnie tego dnia.

12

Świadkowie obrony, choć nieliczni i zmieniający zeznania, przekonali drugi zespół orzekający. Sąd nie przyjął za pewne zeznań świadków oskarżenia ani owego kapitalnego wyводу prokuratora na temat nie umytej filiżanki. Mimo iż było absolutnie pewne, że Borejko żyła 20 stycznia (czyli posprzątałaby po sobotniej wizycie tajemniczych nieznajomych, zmiotłaby włosy M. i wymyłałaby filiżankę, z której sama piła kawę), sąd wyraził przypuszczenia, że zbrodni

dokonał nie znany osobnik, którego prokurator nie zdołał zidentyfikować.

W wywodach uzasadniających wyrok uniewinniający oskarżoną zostały podkreślone argumenty, które, w przekonaniu prokuratury, świadczyły o winie oskarżonej. Sąd zastanawiał się nad tym, czy nie należało szukać sprawcy wśród mieszkańców domu przy Barskiej. Kto bowiem przyjmuje w papilotach gości? Dlaczego ofiara pracowała, gdy w mieszkaniu był ktoś obcy?

Po kilkunastu latach prokurator Henryk Solga wrócił do sprawy zabójstwa i ponownie, już na chłodno, spojrzął na zgromadzone dowody, zeznania świadków i ekspertyzy.

Rzeczywiście Borejko w dniu swojej śmierci, czyli 20 stycznia, nie przyjmowała żadnych gości — stwierdził. Była w papilotach, jeszcze pracowała, a Teofila M. popijała czarną kawę. Potem nastąpiła wymiana zdań. Może moralizatorskie napominanie narkomanki? Może odmowa współdziałania w uzyskaniu narkotyku?

83

Jeżeli było jeszcze coś do wyjaśnienia, to pojawienie się młotka, którego trzonek został owinięty papierem i owiązany tasemką. Czy pochodzenie tego przedmiotu jako narzędzia zbrodni zostanie kiedykolwiek wyjaśnione? Na to pytanie nie można, niestety, udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Świadek powtarza zbrodnię

Kończył się ciepły zimowy dzień i puszasty śnieg, który spadł po południu 26 lutego 1957 roku, zachęcał do wieczornych spacerów. Wzdłuż brzegów Wisły, podwawelskim bulwarem szedł student drugiego roku medycyny ze swoją sympatią, niedawno poznaną uczennicą technikum labo-rantek medycznych. Przy betonowych schodach zobaczyli stary, poaustriacki bunkier, który w pewnym okresie służył jako magazyn, a później stał się miejscem spotkań młodych ludzi; tu bez świadków mogli wymienić pierwsze pocałunki. Ci też przez uchylone drzwi weszli do środka i już po pierwszych krokach dziewczyna krzyknęła przerażona. Pod stopami wyczuła leżącą postać. Chłopiec, nie wiedząc, co przeraziło jego sympatię, zapalił szybko zapalniczkę. W jej świetle ujrzeli młodego człowieka z poderzniętym gardłem. Leżał na plecach, obficie krwawił, ale nie dawał już znaków życia.

Niedoszli kochankowie opuścili bunkier i po kilku minutach zjawili się w komisariacie, gdzie opowiedzieli o swoim makabrycznym odkryciu. Dyżurny przekazał tę informację swoim zwierz

13

chnikom i prokuraturze, a następnie wysłał ekipę, która miała zabezpieczyć ewentualne ślady, a potem zapewnić ochronę miejsca zbrodni. Panujące ciemności, była już prawie osma wieczorem, uniemożliwiały dokładne zbadanie wnętrza bunkra i jego najbliższego otoczenia. Zdołano tylko stwierdzić, że przed bunkrem przechodziło wiele osób i śnieg był roztopiony. Biała, puszysta kołdra okrywała tylko skarpe bulwaru i brzegi rzeki. Kilkanaście metrów od wejścia czerniała się wypalona trawa, ślad niedawno wygasłego ogniska.

Rankiem przybyli eksperci i dokładnie obejrżeli bunkier, którego podłoga zaślana była butelkami po winie, papierami, gazetami, niedopalkami papierosów, ceglami i większymi kamieniami. Na jednej z cegieł znajdowały się przylepione włosy. Z ukształtowania plamy krwi i dających się odnaleźć jej rozprysków starali się odtworzyć „modus operandi” *. Ich zdaniem morderca najpierw zadał cios narzędziem o tępych krawędziach (najprawdopodobniej cegłą, do której przylepiło się kilka włosów), a następnie poderzwał chłopcu gardło.

Prokurator Henryk Pracki, który objął prowadzenie śledztwa, pamiętał o podobnym przypadku z 1928 roku, kiedy to w Gladbeck znaleziono ciało również młodego człowieka z poderzniętym gardłem. Morderstwo to przyczyniło się do rozwinięcia badań śladów krwi i jej grup. Prawdopodobny sprawca, kolega zabitego maturzysty, Haus-smann, miał wyraźnie poplamione krwią obuwie (mimo że starał się zmyć z niego krew), a także koszulę i rękawy płaszcza. Nie skazano go tylko dlatego, że nie potrafiono ustalić, czy ślady krwi na ubraniu miały cechy grupowe krwi zamordowanego.

Od tamtego morderstwa upłynęło trzydzieści lat i nauka poczyniła olbrzymie postępy. Teraz było pewne, że podejrzany, u którego znaleziono by obuwie poplamione krwią, nie miałby szans obrony, gdyby krew ta była identyczna z krwią zamordowanego. A takie ustalenia były już możliwe.

Należało jednak zacząć od podstawowych czynności, ustalających tożsamość mężczyzny, którego zwłoki odnalazła zakochana para. Okazało się, iż był to młody specjalista, który przed niespełna rokiem ukończył szkołę średnią i podjął swoją pierwszą pracę. Pochodził z małego miasteczka, więc szukał niedrogiej, skromnej stacji. Znalazł taką przy ulicy Krakowskiej i tam zajmował łóżko w sześcioposobowym pokoju. Mieszkało z nim pięciu młodych robotników, a po kilku miesiącach sprowadził się na krótko wnuk właścicielki, Jerzy R.

— Ryszard L. był bardzo spokojnym i dobrym chłopcem — powiedziała właścicielka stacji funkcjonariuszowi MO, gdy ten zjawił się następnego dnia przy ulicy Krakowskiej. — Chwaliliśmy go za pracowitość i oszczędność. Przez trzy miesiące odkładał na zegarek i kupił sobie złotego Schaf-hausena. Wszyscy go tutaj lubili. On się z nikim nie kłócił, nie awanturował.

87

13

Przy zwłokach nie znaleziono złotego zegarka. W mieszkaniu, wśród rzeczy zamordowanego, nie było go również. Prokurator założył więc, iż motywem zbrodni był prymitywny rabunek.

Przeprowadzone wywiady, zmierzające do ustalenia zwyczajów, charakteru i ewentualnych konfliktów, w jakie mógł być zaplątany Ryszard L., potwierdziły, że sprawcy chodziło jedynie o zdobycie zegarka, którego cena wynosiła wówczas dziesięć tysięcy złotych. O zegarku tym wiedzieli współmieszkańcy stacji przy ulicy Krakowskiej, a także najbliżsi koledzy w pracy. Prokurator Pracki polecił zebrać wiadomości o jednym i o drugim, a jednocześnie ustalić, kto jako ostatni widział Ryszarda L. żywego. Wydał także postanowienie o przeprowadzeniu przeszukania stacji i kilku innych pomieszczeń. Funkcjonariuszom MO nakazał uważnie przeglądać obuwie, czy nie nosi ono śladów mycia albo też zabarwień krwią.

Szczegółowemu badaniu poddano całą odzież wnuka właścicielki mieszkania, trzydziestoletniego tapicera, nigdzie nie pracującego, nałogowego alkoholika, gdyż okazało się, że kilkakrotnie karano go już za kradzieże, które popełniał, aby zdobyć pieniądze na wódkę. Ustalono, że kiedyś przywłaszczył sobie garnitur wartości ponad dwa tysiące złotych, a odsprzedał go za sto pięćdziesiąt, jako własny i jemu nieprzydatny.

Inni współlokatorzy stacji nie mieli tak bujnej przeszłości. Kilku z nich często zaglądało do kieliszka, ale mogli się także dłużej obyć bez alkoholu. Dwaj z nich przyznali zresztą, iż późnym popołudniem, na krótko przed tragicznym wydarzeniem, spotkali się z Ryszardem L. Spotkanie to było przypadkowe i brał w nim udział również ów tapicer, czyli Jerzy R. Postanowili wówczas napić się po szklaneczce wina. Przeprowadzili natychmiastową składkę i kupili dwie butelki. Postarali się także o szklanke po musztardzie i weszli do najbliższej bramy. Po skończonej libacji towarzystwo podzieliło się. Ryszard L. wraz z Jerzym R. poszli w lewo, w stronę ulicy Skawińskiej i mostu, a oni w prawo, do centrum miasta. Jeden ze świadków stwierdził, że kiedy przeszli już jakieś kilkadziesiąt metrów, on obejrzał się i widział Ryszarda L. wraz z Jerzym R. w pobliżu miejsca, w którym znajduje się bunkier. Było to ważkie obciążenie Jerzego R.

Prokurator zainteresował się także śladami ogniska w pobliżu bunkra i wkrótce dowiedział się, że rozpalili je chłopcy z pobliskich domów. Dotarł do nich i porozmawiał o wydarzeniach tamtego wieczoru. Pytał, czy widzieli jakichś mężczyzn wchodzących do bunkra, a może mężczyznę z kobietą?

Chłopcy opowiedzieli mu niezwykłą historię. Kiedy wieczorem bawili się przy ognisku, zbliżyło się do nich trzech mężczyzn. W środku szedł niższy, a po bokach jednakowo wysocy. Niższy podszedł do ogniska i powiedział im, aby nie rozkopywali żaru, bo ogień może zagrozić zabudowaniom. Wyżsi odeszli wtedy w kierunku schodów, ale po chwili wrócili, wzięli pod ramiona tamtego i mimo oporu wciągnęli go do bunkra. Mężczyzna

13

83

ten coś wykrzykiwał, sprzeciwiał się, wołał o pomoc.

— Myśmy się przestraszyli i uciekliśmy — zeznawali zgodnie.

Dalszy przebieg wypadków zrelacjonował najdokładniej jeden z chłopców, który podobno nie poszedł z innymi do domu. Jego opowiadanie zmartwiło prokuratora.

— Ja, proszę pana, polecałem po schodach na ulicę Skawińską i tam schowałem się za balustradą — mówił chłopiec. — Stamtąd widziałem wejście do bunkra. Widziałem, jak wyszli z niego ci dwaj wyżsi. Zaraz za nimi ktoś się czołgał. To był ten niższy. On się czołgał na skarpie, po śniegu, i z niego leciała krew, bo miał poderznięte gardło. Cały śnieg był czerwony. Ale tamci zobaczyli go, złapali za ręce i wciągnęli do bunkra. Potem drzwi zadrutowali, żeby on nie mógł w'yjść i poszli...

— Przecież ja widziałem ten śnieg — powiedział prokurator. — Był zupełnie biały. Nie fantazuj, mów prawdę, bo to jest poważna sprawa. Opowiedz tylko to, co widziałeś na własne oczy...

— Ja widziałem — zapewniał chłopiec — jak oni potem zadrutowali drzwi i jak się tamten wtedy czołgał...

Psychologia zeznań często przypomina prokuratorom o konieczności ostrożnego i krytycznego przyjmowania tego, co mówią dzieci. Przypisuje im — słusznie zresztą — fantazję i konfabulację. Zeznania jedenastoletniego chłopca, który mógł widzieć sprawcę, były po opowieści o czołganiu się

13

trupa, niemożliwe do przyjęcia. Prokurator Pracki włączył je do materiałów zgromadzonych w śledztwie, ale nie powołał chłopców jako świadków na rozprawę. Zastanawiało go jednak to, iż chłopcy bezbłędnie wskazali w przedstawionej im tablicy ze zdjęciami szeregu osób, iż niższym mężczyzną był Ryszard L. a jednym z wyższych, którzy go wciągnęli do bunkra — Jerzy R. Kim był ten trzeci, nie wiedzieli. Tak ważni świadkowie nie mogli się, niestety, liczyć. Przeciwko tapicerowi, Jerzemu R., przemawiało wiele poszlak. On sam nie przyznawał się do wspólnej libacji z Ryszardem L. w dniu 26 lutego.

— Nie widziałem tego wieczora Ryszarda L. — powiedział. — Byłem w tym czasie w parku, gdzie spacerowałem. Świadków na to nie mam. Spacerowałem sam...

Między warstwami podszwy jego obuwia znaleziono kilka żdźbeł trawy, która mogła pochodzić z owego parku. Mogła jednak także wcisnąć się w podszwy wtedy, gdy Jerzy R. ciągnął Ryszarda L. do bunkra. Udowodnienia tego mogli podjąć się tylko wybitni botanicy, a botanika nie miała w tamtych latach większych sukcesów w tropieniu przestępców. Jej włączenie się do kryminalistyki odbywało się dość wolno. W 1942 roku profesor botaniki i biologii w City College, Józef J. Copeland, określił, że nasiona traw znalezione za mankietami spodni podejrzanego pochodzą na pewno z Central Papku, gdzie odkryto zwłoki jego żony. Następny przypadek rozpatrywali naukowcy w 1945 roku, a dopiero od 1960 r., w śledztwie o porwanie Graeme Thorne'a, botanika Wykazała, na jakie wyzyny potrafi się wnieść, aby zidentyfikować sprawcę.

W przypadku morderstwa w bunkrze żdźbeł trawy nie można było poddać tak dokładnym badaniom. Był to dopiero rok 1957.

Podejrzany pozornie ułatwił pracę prokuratorowi i po kilku dniach odzegał się od spaceru po parku, więc badanie botaniczne nie było potrzebne.

— Ja powiem prawdę — wyjaśnił podczas kolejnego przesłuchania. — Chciałem to na początku zataić, ale widzę, że to nie ma sensu. Mówiłem panu o tym spacerze w parku dlatego, że chciałem uniknąć kary za włamanie...

— Za co? — zdziwił się prokurator. — Prokuratura postawiła wam zarzut popełnienia morderstwa, a nie włamania.

— No tak, wiem o tym, ale ja z tamym morderstwem nie mam nic wspólnego. Z Ryszardem L. nie widziałem się tego wieczoru. Ja wtedy wybrałem się na skok, czyli na włamanie...

— I podejrzany dokonał tego włamania? Gdzie, do jakiego lokaju?

— Do sklepu przy Siennej, przy Rynku Głównym. Tam wybiłem szybę, była wtedy siódma, może nawet przed siódmą, i ukradłem dwie czekolady, wino i jakieś herbatniki. Postanowiłem się teraz do tego przyznać, bo pan prokurator niesłusznie mnie podejrzewa o morderstwo, a ja jestem niewinny w sprawie Ryszarda L. ...

Ku zdumieniu prokuratora w dzienniku wyda

92

rzeń komendy Milicji Obywatelskiej rzeczywiście znajdowała się notatka o włamaniu do sklepu przy ulicy Siennej. Nieznany sprawca wybił szybę wystawową, skradł wino, kilka tabliczek czekolady oraz herbatniki i inne słodczyce.

Meldunek brzmiał następująco:

„Między godziną 21 a 22 niezidentyfikowany osobnik rozbił szybę wystawową sklepu cukierniczego przy ulicy Siennej i skradł z wystawy kilka artykułów. Wystawę zabezpieczono i powiadomiono kierownika sklepu o włamaniu”.

— Dlaczego w meldunku wspomina się o dwudziestej pierwszej i dwudziestej drugiej? — spytał prokurator oficera służby kryminalnej.

— Dlatego, że przed dziewięcią przechodził tam patrol i wszystko było w porządku. Ta ulica jest dość ruchliwa i trudno by było nie zauważyć śladów włamania prawie bezpośrednio po jego dokonaniu...

Kiecy już prokurator uporał się z manewrem Jerzego R. i mógł mu powiedzieć, że co prawda przyjmuje jego przyznanie się do włamania, lecz n:e o tej porze iaką on podał, a dwie godziny późnej. z Zakładu Medycyny Sądowej nadeszła zaskakująca ekspertyza.

Po zbadaniu zwłrk Ryszarda L., a także po przeprowadzonej analizie krwi denata, lekarze i analitycy stwierdzili, iż Ryszard L. otrzymał dwa śmiertelne, niezależne od siebie, ciosy. Jeden narzędziem o tępej krawędzi w tył czaszki (cios ten wbił pokrywę i spowodował wylew krwi do mózgu), drugie, równie śmiertelne, to poderżnię

14

cie gardła. Ofiara niejako dwa razy została zabita.

W krwi denata nie stwierdzono obecności alkoholu — brzmiało kolejne stwierdzenie.

— To niemożliwe! — wykrzyknął prokurator. — Przecież świadkowie wyraźnie zeznali, że wraz z nim i Jerzym R. wypili dwie butelki wina! Czy taka porcja alkoholu mogła nie pozostawić żadnego śladu we krwi?!

Zwrócił się więc ponownie do ekspertów o odpowiedź na kilka szczegółowych pytań związanych ze śladami po użyciu alkoholu przed śmiercią. Ale dowiedział się tylko, że trudno sformułować stanowczą odpowiedź, jeśli nie ma się takich danych, jak: waga ciała denata oraz wiadomości na temat, jakie potrawy tego dnia spożył i jaki czas upłynął od konsumpcji do momentu zgonu.

W takiej sytuacji, opierając się na zeznaniach współlokatorów Jerzego R. oraz jego niepewnym alibi, prokurator przedstawił podejrzanemu kolejny raz swój pogląd na przebieg wydarzeń i zaproponował przyznanie się, co, jak powiedział, mogłoby być dla sądu okolicznością łagodzącą.

Jerzy R., jkając się w chwilach większego napięcia, tym razem zaczął się przy każdym słowie. Powiedział jednak, że „przyzna się, ale jak prokurator położy dowody na stół”.

— Będzie przyznanie, jak będą dowody...

■ — Dowody są — zapewnił go prokurator.

Podejrzany nie miał zamiaru zmienić swojego stanowiska.

Kiedy akt oskarżenia przeciwko niemu wpłynął

14

do sądu i wyznaczono mu obrońcę z urzędu, oświadczył, że będzie się bronił sam. Polska procedura nie przewiduje jednak takiej możliwości, więc zmuszony był przyjąć obrońcę.

W sądzie, po odczytaniu aktu oskarżenia zarzucającego mu zabójstwo Ryszarda L., Jerzy R. wyjaśnił, iż z tą sprawą nie ma nic wspólnego. Jeżeli chodzi o zeznania świadków, którzy twierdzili, że Ryszard L., on i tamci dwaj pili wino w bramie, to, mówił dalej, rzeczywiście takie wydarzenie miało miejsce.

Prokurator słuchał z napięciem.

— Czyli oskarżony pił wino w bramie w Kazimierzu razem z Ryszardem L. i wymienionymi świadkami? — spytał sędzia.

— Tak, Wysoki Sądzie. Piliśmy, ale to nie było 26 lutego. To było kilka dni wcześniej.

— Kiedy?

— Dokładnie nie pamiętam, ale to na pewno nie było wtedy, bo ja w tamtym dniu zrobiłem skok na sklep, a myśmy pili dwa albo trzy dni wcześniej...

Sąd przesłuchał świadków. Potwierdzili oni swoje poprzednie zeznania. Ponieważ jednak od dnia zabójstwa do dnia rozprawy upłynęło kilka miesięcy, na pytanie, czy mogą stanowczo stwierdzić, że spoikanie ich czwórki nastąpiło 26 lutego, zawahali się.

— Chyba było to dwudziestego szóstego — odpowiedzieli.

— Ale świadek nie ma takiej pewności — zaatakował obrońca.

95

— Trudno po tylu miesiącach pamiętać, jaki to był dzień. Ja zeznawałem w śledztwie i wtedy pamiętałem... — odpowiedzieli jednakowo.

Sąd wezwał do złożenia zeznań również owych chłopców, którzy bawili się przy ognisku. Potwierdzili oni swoje poprzednie relacje. Twierdzili zgodnie, że widzieli trzech mężczyzn wchodzących do bunkra. Jeden z nich nadal upierał się, że z za balustradki dokładnie obserwował drzwi wejściowe i zobaczył dwóch wyższych mężczyzn wychodzących stamtąd, a po chwili pelzającego rannego.

— Ranny się czułgał, Wysoki Sądzie — uparcie powtarzał chłopczyk. — A oni, kiedy go zobaczyli, to wrócili, zaciągnęli do bunkra i zadruto-wali drzwi...

Nie można było potraktować zeznań chłopców poważnie i nadać im rangi materiału dowodowego. Czas okazał, że po odpowiedniej interpretacji ich zeznań można było rozwiązać tę zagadkę kryminalną, ale w chwili prowadzenia rozprawy przeciwko Jerzemu R. nikt nie pomyślał o tym. Sędziowie postanowili natomiast wyjaśnić do końca sprawę picia alkoholu przez Ryszarda L. Dwaj świadkowie uparczywie twierdzili, że do godziny siódmej wieczorem pili z mm wino, że kupili dwie butelki i że odbywało się to niedaleko ulicy Skawińskiej. Obciążali tym samym Jerzego R., który, według ich relacji, poszedł z późniejszą ofiarą w kierunku bunkra. Ponieważ Zakład Medycyny Sądowej wykluczył obecność alkoholu w krwi denata, sformułowano pod adresem Instytutu Ekspertyz Sądowych następujące pytanie:

14

— Czy ujemny wynik badań krwi na zawartość alkoholu wyklucza, iż dawca tej krwi „wypił chociażby najmniejszą jego ilość?”

Delegowany przez Instytut, chemik-toksykolog stawił się przed sądem i stwierdził:

— Gdyby denat spożył nawet niewielką ilość alkoholu, w jego krwi stwierdzono by przynajmniej jego śladową obecność. Wykluczam możliwość utajenia się alkoholu, bez względu na jego dawkę...

W tej sytuacji sąd odrzucił zeznania obu świadków i uniewinnił oskarżonego. Prokurator Henryk Pracki nie zaskarżył wyroku, gdyż nie posiadał żadnych nowych dowodów ani argumentów przemawiających przeciwko takiej ocenie sądu.

Wyrok uprawomocnił się i Jerzy R. opuścił więzienie po odbyciu kary za włamanie.

Epilog sprawy rozegrał się po kilku latach w bydgoskim więzieniu. W mieście tym, w sześćdziesiątych latach popełniono ohydny mord na rodzeństwie bogatego kamieniarza. Sprawcę ujęto w bezpośrednim pościgu i odebrano mu łup, który był głównym celem jego wyprawy. Zamordowanie czternastoletniej

dziewczynki i piętnastoletniego chłopca potraktował on jako konieczność, gdyż znajdowali się oni w mieszkaniu. Mordercą był dwudziestokilkuletni mieszkaniec ze stacji przy ulicy Krakowskiej, gdzie mieszkał przecież Ryszard L. Sprawca przyznał się do czynu i został skazany na karę śmierci. Kiedy prokurator Henryk Pracki zapoznał się z bydgoską sprawą, natychmiast skojarzył trzy in-

7 — **Zbrodniarz Q7** formacje. Pierwsza dotyczyła sposobu popełnienia zbrodni. Podobnie jak w krakowskim bunkrze zbrodniarz najpierw zadał ofiarom uderzenie w tył głowy narzędziem o tępych krawędziach, a potem poderżnął gardło. W Krakowie użył cegły, w Bydgoszczy — młotka. Druga informacja

związana była z miejscem zamieszkania bandyty. Wynikało z niej, iż był on jednym z sześciu współloka-torów pokoju, w którym mieszkał Ryszard L. Był on także przesłuchiwany w sprawie zabójstwa w bunkrze, a jego zeznania obciążały Jerzego R. Prokuratora Prackiego zainteresował także rysopis skazanego. Jego wzrost był identyczny ze wzrostem wnuczka właścicielki stacji — Jerzego R. Wtedy przypomniał sobie zeznania chłopców, którzy mówili o dwóch wyższych mężczyznach. Czyżby był to bydgoski morderca i Jerzy R.?

Postanowił przeprowadzić rozmowę ze skazanym i pojechał do Bydgoszczy.

Skazany oczekiwał na wykonanie wyroku. Był przygnębiony, w jego spojrzeniu czaiła się nienawiść. Wygląd jego budził odrazę i przerażenie. Mimo to prokurator Pracki zdecydował się na rozmowę w cztery oczy. Ostrzegano go przed niebezpieczeństwem grożącym jego życiu. Chęć wyjaśnienia sprawy była jednak silniejsza od lęku.

— Wie pan, że prowadziłem śledztwo przeciwko zabójcy Ryszarda L. w poaustriackim bunkrze pod Wawelem. Był pan jednym ze świadków. Czy teraz będziemy mogli wyjaśnić do końca tamtą sprawę?

— Nie będę rozmawiała

15

— Mój błąd polegał na założeniu, że był tylko jeden morderca, wnuczek właścicielki stacji, Jerzy R. A was było dwóch, pan jako sprawca i on, Jerzy R., pomocnik. Rzeczywiście tego dnia nie piliście ½ ofiarą wina. Libacja w bramie odbyła się poprzedniego dnia. Jaki był prawdziwy przebieg wydarzeń? Panu takie wyznanie już nie zaszkodzi. Jerzemu R. także nie...

— Nie chcę o tym mówić...

— Pozostało już niewiele godzin. Rada Państwa nie skorzystała z prawa łaski. Niech więc pan pomoże w rozwiązaniu i dokończeniu tamtej sprawy.

— Nie chcę, nie będę rozmawiał...

Przez kilka godzin prokurator Henryk Pracki starał się nakłonić skazanego na śmierć mordercę do ujawnienia prawdy o zabójstwie Ryszarda R. Możliwości miał ograniczone. Na skazanego oczekiwał już kat. Lecz nawet wtedy nie spełnił on prośby prokuratora. Poszedł na szubienicę nie wyjawiając tajemnicy. On był tym, który, w domyśle prokuratora Henryka Prackiego, zadał śmiertelne ciosy Ryszardowi L.

Prokurator żałował teraz, że w śledztwie, a także podczas rozprawy sądowej, nie połączył kilku faktów, które stały się podstawą relacji jedenastoletniego chłopca. Opowiedział on o wydarzeniach, które rzeczywiście rozegrały się pod Wawelem. Przesunął je jednak w czasie.

Do bunkra weszli mordercy i ich ofiara. Oni wyszli, a następnego dnia wyniesiono zakrwawionego młodzieńca. W umyśle chłopca powstał obraz ^pelzania poderżniętego". Potem funkcjonariusze

MO zadrutowali wejście do bunkra. Chłopiec widział więc zadrutowane drzwi. Wszystko połączył w jedną fantastyczną opowieść, w którą nikt nie mógł uwierzyć, chociaż dawała tak dużo materiału dowodowego śledztwu.

109 Qdysztuki medycznej

Cale miasto poruszone było wiadomością o nagłej śmierci Zofii K., żony ordynatora oddziału fizjatrii. Wyrażano współczucie lekarzowi, który swoją układnością i uprzejmością, a także gotowością udzielania pomocy, zaskarbił sobie sympatię większości mieszkańców. Trudno byłoby znaleźć człowieka, który nie szanowałby doktora K.

Wiedziano, co prawda, że Zofia K. w ostatnich miesiącach chorowała, prawdopodobnie przeżywała głęboką depresję i często traciła przytomność, lecz kładziono to na karb zbliżającego się prze-kwitania. W takim okresie kobieta zdolna jest do różnych nierozsądnych czynów. Zofia K. — jak powiadano — usiłowała nawet popełnić samobójstwo. Dwa miesiące przed jej śmiercią mąż ją odratował, gdy leżała w kuchni przy otwartych kurkach gazu. Doktora K. i domowników zbudziło wówczas skowyczenie psa, który wyczuł gaz ulatniający się z kuchni i niespokojnie kręcił się po willi, drapał w drzwi i szczekał.

Kiedy doktor otworzył drzwi od kuchni, zobaczył leżącą na podłodze żonę, a obok jej głowy rozsypane zapalki i wywrócony czajnik.

15

Prokurator Hałigów, odb. ając meldunek o przewiezieniu zwłok Zofii K. do Zakładu Medycyny Sądowej w Z., zapamiętał następujące zdanie wypowiedziane przez pracownika tego zakładu.

— Przejeśliśmy zwłoki od Zakładu Anatomii Patologicznej...

Pomyślał wówczas, że jakiś n doświadczony lekarz, a może nawet stażysta dorabiający na stacji pogotowia ratunkowego pomylił kolejność czynności lub nie orieoirow 1 się w obowiązującym trybie postępowania w przypadkach nagłych zgonów.

— Czy przeprowadzić sekcję? Jaką decyzję panowie podejmiecie? — dopytywał się adiunkt z Zakładu Medycyny Sądowej. — Muszę uczciwie powiedzieć że po wstępnych ogkdninach mam poważne wątpliwości co do tych przyczyn zejścia, jakie podała rodzina zmarłej. Lecyzja o przeprowadzeniu sekcji należy je-

nak do pana.

Taki był początek tego niecodziennego procesu, który miał wyjaśnić ok ■ liczno ci śmierci Zofii K., żony znanego w ponad stutysięcznym rmescie ordynatora Oddziału J Lysz a Tycznego Szpitala Miejskiego nr 3.

Prokurator kazał przeprowadzić sekcję zwłok i po odłożeniu słuchawki przez chwilę zastanawiał się, czy włączyć do wyjaśniania przyczyn zgonu żony lekarza oficerów dochodzeniowych lub ze służby kryminalnej miejscowej komendy MO. Gdyby go ktoś zapytał, dlaczego zdecydował się na pomoc funkcjonariuszy MO, nie mógłby wówczas odpowiedzieć. Zatelefonował jednak do ko

102

mendanta i poprosił go o dwóch najzdolniejszych oficerów operacyjnych.

Kazimierz Hahgów znał osobiście małżeństwo K., a z lekarzem spotykał się niejednokrotnie na plenarnych posiedzeniach komitetu oraz na uroczystych akademiach. Pragnął przeprowadzić śledztwo w taki sposób, aby zapewnić wykrycie całej prawdy tragicznego wydarzenia, a jednocześnie ostrzec lekarza przed pochopnymi i nieuzasadnionymi podejrzeniami. A o takie podejrzenia nie jest trudno, gdy umiera mlcda żona, a jej mążzonek związany jest nieoficjalnie z inną kobietą.

Oficer służby kryminalnej, wyznaczony do zbierania podstawowych informacji o okolicznościach towarzyszących śmierci Zofii K., przeprowadził rozmowy z domownikami i z lekarzami, którzy jako pierwsi zetknęli się ze zwłokami, i zrelacjonował prokuratorowi wyniki dochodzenia.

— Doktor K. powiedział lekarzowi pogotowia, a potem powtórzył to samo mnie, że przyczyną śmierci był upadek ze schodów. Zofia K. przygotowywała swojej mamie śniadanie. Kuchnia znajduje się w suterenie, a pokój staruszki na pierwszym piętrze. Suterena, parter i piętro połączone są wewnętrznymi drewnianymi schodami. Denatka znajdowała się już na pierwszym piętrze, gdy nagle straciła równowagę i upadła do tyłu. Ciało stoczyło się z siedmiu stopni i zatrzymało się głową na podłodze. Doktor K. przebywał w tym momencie w łazience. Na odgłos upadającego ciała wybiegł, zobaczył leżącą na schodach nieprzy-

15

tomną żonę, przeraził się tym widokiem, wziął ją na ręce i zaniósł do swojego pokoju, który znajduje się na parterze. Potem, jak mówi, starał się udzielić jej pomocy. Tamował krew płynącą z urazów głowy i dał zastrzyk poduzymujący akcję serca. Ponieważ jednak stan rannej pogarszał się, wezwał pogotowie...

Pogotowie przyjęło telefoniczne zgłoszenie wypadku o godzinie 8.10. Zap.sano to w książce wyjazdów samcciiioi>ow pod $da < q$ Iti lipca 1963 roku. W kilkanaście minut później przed willę małżeństwa K. zajeżdża karetka. Lekarka me mogła już udzielić żadnej pomocy chorej, bowiem Zofia K. od kilkunastu minut n'e zyla.

Mąż zmarłej polecił lekarce zawieźć zwłoki do Zakładu Anatomii Patologicznej w Z., gdzie, jak powiedział, adiunkci dokonają sekcji i usiąją przyczynę zej-cia jego małżonki.

Mioda lekarka zdziwiła s+e., wiedziała bowiem, że w przypadkach me wyjaśnionych zgonów, a zawsze w przypadkach nagiej śimerci spowodowanej urazami, należy Ciait dostarczyć do Zakładu Medycyny Säuowej. Pon ewaz jednak doktor K. był jej szelem na oddziale fizjatrzycznym, gdzie miała etat asyistentki, zgodziła się na przekazanie zwłok Zakładowi Anatomii Patologicznej. Nie poniechała jednak obowiązku powiadomienia o śmierci Zofii K. dyżurnego oLcera komendy miasta.

Rozpoczynając czynności śledcze prokurator Ha-ligów zakładał, że wersja o tragicznym upadku ze schodów jest prawdopodobna. Ponieważ jednak

15

towarzystwo jej kilka wydarzeń sugerujących, iż doktor K. starał się uchronić zwłoki od sekcji w Zakładzie Medycyny Sądowej (czego się obawiał?), prokurator zastanawiał się nad możliwościami uchwycenia śladów ewentualnej zbrodni. Pojechał w południe do Zakładu Medycyny Sądowej.

Adiunkt, doktor Mieczysław S., który jako pierwszy dokonał oględzin zwłok, powiedział prokuratorowi, że jego zdaniem „obrażenia głowy Zofii K. są powierzchowne i jest wprost nieprawdopodobne, by upadek ze schodów rzeczywiście był przyczyną zgonu".

Docent doktor habilitowany Jan R. przedstawił podobny pogląd. Prokurator był zaskoczony. W napięciu oczekiwał na zakończenie sekcji i opinię lekarzy.

Zniecierpliwiony przechadzał się po korytarzu szpitala i co chwilę podchodził do drzwi sali, w której przeprowadzano sekcję. Takiego obrotu wydarzeń nie przewidywał. Nie wyobrażał sobie zresztą doktora K. jako żonobójcy. Był przekonany, że uprzejmy, układny ordynator miałby trudności z zabiciem kury. Ustalenia sekcji były jednak jednoznaczne. U Zofii K. stwierdzono osiem ran tłuczonych głowy. Prawdopodobnie powstały one od ciosów zadanych metalowym narzędziem. Rany te rozmieszczone były na całym obwodzie czaszki, a nie tylko na jej tylnej części, co powinno nastąpić podczas upadku ze schodów. Istniała jeszcze możliwość toczenia się ciała po schodach, ale doktor K. wyjaśniał przecież że głowa Zofii oparta była na podeście, a nogi na piątym stopniu. Na szyi de

105

natki znajdowały się również dwa krwawe podbiegnięcia, charakterystyczne przy próbach duszenia ofiary. Szereg mniejszych podbiegnięć stwierdzono na przedniej części korpusek, natomiast ani jednego na plecach i pośladkach. Upadek żony doktora K. przebiegał więc w sposób nietypowy: ciało objało się o stopnie tylko przednią częścią — mimo upadku do tyłu — a głowa całym obwodem. Tracąc równowagę denatka jakimś cudem zdołała uniknąć uderzenia plecami o schody, chociaż leżała na plecach.

— To jeszcze nie wszystko — powiedział lekarz kierujący sekcją. — Na prawym udzie odkryliśmy trzy ślittfeze ślady po zastrzykach. Zabezpieczyliśmy wycinki tkanki tłuszczowo-mięśniowej i prześlemy je do dalszych badań makroskopowych, histopatologicznych i chemicznych.

Prokurator Haligów wysłuchał sprawozdania lekarzy i spytał, co w takim razie mogło być przyczyną śmierci Zofii K.

— Jeżeli upadek nie był śmiertelny, to jaki panowie zakładacie powód zgonu? Zadał pytanie?

— W tym wypadku decydujące znaczenie miało uduszenie ofiary, ale podejrzane także wydają się owe trzy iniekcje... — odpowiedzieli.

Po powrocie ze szpitala prokurator Haligów spisał relację z odbytych rozmów, przytoczył ocenę zawartą w opisie sekcji i sformułował pytania, jakie nasunęły mu się w pierwszych godzinach śledztwa. Nadal nie miał jednak zamiaru aresztować lekarza. Wydawało mu się to zbyt bezpieczne. Jeżeli nawet doktor K. spowodował śmierć swojej

16

małżonki, to przebywanie podejrzanego na wolności nie komplikowało ani nie utrudniało czynności śledczych. Dawało natomiast możliwość wycofania się władz śledczych w przypadku, gdyby poszlaki okazały się mylące. Prokurator nadal skłonny był wierzyć w niewinność ordynatora.

Jeszcze tego samego dnia udał się na wizję lokalną do willi przy ulicy Michałowskiego. Towarzyszyli mu oficerowie z Komendy Wojewódzkiej MO. Doktor K. przyjął ich serdecznie, oprowadził po willi i już od progu relacjonował przebieg tragicznych wydarzeń.

— Wstałem jak zwykle około siódmej i udałem się do łazienki. W tym samym czasie wstała moja żona i zaraz zeszła do kuchni, żeby przygotować śniadanie dla swojej matki. Podczas golenia usłyszałem łoskot spadającego po schodach ciała. Przeraziłem się. Wiedziałem, że żona często miewa zawroty głowy i słysząc ten hałas pomyślałem o niej. Moje przeczucia, niestety, sprawdziły się. Jej głowa spoczywała na podeście, a nogi na stopniach schodów. Podbiegłem, wziąłem ją na ręce i zaniósłem do naszej sypialni, o tutaj. Położyłem na tapczanie — wskazał miejsce — i usiłowałem udzielić pomocy. Rany, jakie odniosła podczas upadku, obficie krwawiły, a żona była cały czas oszołomiona. Ponieważ nie udało mi się zatamować krwawienia uciskiem rany, przywołałem teściową i poprosiłem, aby szybko wygotowała strzykawkę. Postanowiłem podać żonie dwudziestoprocentową glukozę z kardiazolem i kofeiną. Po tyra zastrzyku stan chorej powinien się poprawić.

107

Zdziwiło mnie jednak, że nie zareagowała na iniekcję. Postanowiłem więc przykładać zimne okłady i uciskać tętnice szyjne. Poprosiłem teściową o miskę z zimną wodą i ręcznik do kompresu. Usiłowałem także połączyć się z pogotowiem ratunkowym. Telefon był jednak zajęty. Robiłem więc kompresy i kazałem często zmieniać wodę, gdyż rany bardzo obficie krwawiły. Żona traciła co chwilę przytomność, a ja nie wiedziałem, jak jej pomóc. Ponownie usiłowałem połączyć się z pogotowiem. Dopiero przy czwartej próbie uzyskałem łączność i poprosiłem o przyjazd karetki z lekarzem. Niestety — powiedział ścisząc głos — stało się to najgorsze. Żona nie odzyskała przytomności i zmarła przed przyjazdem lekarza.

Prokurator sporządził szkic sytuacyjny, naniósł odpowiednim znakiem punkty upadku Zofii K. (spadła z siedmiu stopni), zmierzył szerokość podestu, zakreślił miejsce, gdzie miała znajdować się kałuża krwi (lekarz powiedział, że ją natychmiast zmyto) i ustalił, iż w dniu wypadku poza zmarłą w willi znajdowały się tylko dwie osoby: lekarz i osiemdziesięcioletnia, zniechędzona matka denatki, cierpiąca na zaawansowaną głuchotę.

Przesłuchana w tym dniu starszka potwierdziła niektóre fragmenty relacji złożonej przez swego zięcia. Powiedziała, że rzeczywiście doktor K. kazał jej wygotować strzykawkę, mówił, że stan Zofii jest poważny i musi szybko dać jej zastrzyk, a potem posyłał ją co kilka minut po zimną wodę do kuchni, znajdującej się w najniższej kondygnacji, w suterenie. Kompresy miały uratować nie-

16

szczęśliwą, jak zapewniał zięć, a jej wydawało się, że robi on wszystko, by Zofia odzyskała przytomność.

Przez następne dni prokurator Haligów weryfikował najważniejsze fragmenty zeznań doktora K. Zażądał między innymi raportu o przebiegu dyżuru pogotowia ratunkowego w dniu 16 lipca 1963 roku od godziny 7 do 9. Polecił także wydziałowi kryminalistyki Komendy Wojewódzkiej MO przeprowadzenie badań promieniami podczerwonymi schodów i pokoju, w którym leżała ofiara wypadku. Kałuża krwi, o której wspominał lekarz, mimo natychmiastowego zmycia musiała pozostawić ślady dające się wykryć tymi promieniami. Rozpylono więc luminol na całych schodach i mimo wygaszenia wszystkich światel zaobserwowano zaledwie kilka małych, świecących jasnoniebiesko plam, wskazujących na zetknięcie się podłoża z krwią. Na schodach ani na podeście nie było więc żadnej kałuży krwi.

Czekając na wyniki badań prowadzonych w willi doktora K., prokurator Haligów zastanawiał się, jak zakwalifikować ucisk tętnic szyjnych zastosowany przez ordynatora F^{ry}żekomym ratowaniu małżonki. Jako nieudolną próbę powstrzymania krwotoku z ran głowy, a może jako umyślne dławienie ofiary?

Kilku biegłym sądowym, a także wybitnym specjalistom z różnych dziedzin medycyny, zadał jednakowo brzmiące pytanie:

— Czy dla tamowania krwotoku z ran głowy poleca się ucisk tętnic szyjnych?

100

Lekarze odpowiedzieli zgodnie, iż uciskanie tętnic szyjnych dla zatamowania krwotoku jest podstawowym błędem sztuki medycznej.

— Zaden lekarz tak nie postąpi, wie bowiem, że uciskając tętnicę zatamuje dopływ krwi do mózgu — powiedział docent M. — Chory może przy tym stracić przytomność, a po kilku minutach nastąpi jego śmierć kliniczna...

Jedynie ordynator, podejrzany doktor K., stanowczo utrzymywał, powołując się na swoje długoletnie doświadczenie, że można zatamować krwotok uciskaniem tętnic szyjnych, a ponieważ w przypadku jego żony nie skutkowały inne sposoby, zastosował właśnie tę metodę.

— Tylko laik może upatrywać w moim działaniu chęć zadławienia — powiedział. — Laik i człowiek niezyczliwy...

Prokurator pominął milczeniem ten komentarz podejrzanego i zajął się studiowaniem zgromadzonych dokumentów. Z raportu przedłożonego przez kierownictwo pogotowia Tatunkowego dowiedział się, że placówka ta dysponuje pięcioma aparatami telefonicznymi i każdy, kto chciał uzyskać połączenie rankiem 16 lipca, mógł to uczynić bez większych trudności. Dlaczego więc doktor K. mówił o stale zajętych aparatach? Dlaczego nie dzwonił do własnego szpitala i nie zcecił podległemu mu lekarzowi wezwania pogotowia? Czy mówiąc o trudnościach z powiadomieniem pogotowia chciał usprawiedliwić podjętą przez siebie szkodliwą dla ofiary akcję mającą rzekomo ją odratować? Pyta

16

nia te pozostawały na razie bez odpowiedzi, chociaż w rękach prokuratora Haligowa znajdowało się coraz więcej poszlak przemawiających przeciwko doktorowi K. i ujawniających jego kłamstwa. Dotyczyły to przede wszystkim owej kałuży krwi na podeście. W protokole wydziału kryminalistyki KW MO stwierdzono, iż nie udało się odnaleźć śladów po kałuży krwi na podeście, mimo zastosowania kilku niezawodnych metod, bowiem takiej kałuży nigdy tam nie było. Odkryto natomiast pojedyncze ślady po kroplach krwi, a z ich kształtu wywnioskowano, iż powstały one w czasie przenoszenia brudnej szmaty z pokoju do kuchni, gdzie ją przepłukiwano. Najwięcej śladów krwi odkryto w pokoju doktora K. Znajdowały się one na podłodze, na ścianie i na kilimie.

Nie zdradzając przed lekarzem dowodów, jakimi dysponowała prokuratura, a które obalały wersję nieszczęśliwego upadku Zofii K., podtrzymaną nadal przez ordynatora, prokurator Haligów poprosił go o ponowne, dokładne zrelacjonowanie wydarzeń i czynności, jakie podjął on od chwili usłyszenia łoskotu spadającego ciała do momentu przyjazdu pogotowia ratunkowego.

Doktor K. powtórzył złożone poprzednio wyjaśnienia i podał nazwisko lekarza, który widział plamy krwi na podeście. Był nim asystent ordynatora. Kończąc swoje zeznania poprosił o pozwo

lił

lenie na wyjazd na dwutygodniowy urlop do Zakopanego. Powiedział, że już wcześniej, jeszcze przed śmiercią żony, załatwił sobie wczasy i pytał, czy może z nich skorzystać.

— Chciałbym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał — odpowiedział prokurator. — Oczywiście, będzie to tylko prywatna rada. Zakazu panu nie wydajemy, uważamy jednak, że nie powinien pan w tej chwili wyjeżdżać. Proszę samemu podjąć decyzję. Wie pan o tym, że docieklność i złośliwość ludzka jest ogromna. Ludzie różnie mówią o śmierci pana małżonki.

Doktor K. wyszedł z prokuratury i jeszcze tego samego dnia wyjechał do Zakopanego. Towarzyszyła mu asystentka, która, jak się okazało, miała skierowanie na wczasy do tego samego domu i w tym samym terminie.

W materiałach, które dostarczyli funkcjonariusze MO, znajdowało się sporo informacji o prywatnym życiu ordynatora i o przebiegu jego kariery zawodowej. Niektóre z nich oparte były dokumentami, np. zaświadczenie o ujawnieniu się doktora K., który niegdyś współpracował z oddziałem NSZ. Brał między innymi udział w napadzie rabunkowym na sklep jubilerski w Warszawie i podczas tej akcji został ranny, a potem aresztowany. Przez dwa tygodnie leczono go w szpitalu przy ulicy Kowelskiej, skąd 25 stycznia 1946 roku zdołali go odbić „współtowarzysze broni”. Przez następne miesiące ukrywał się w Nowej Rudzie pod zmienionym nazwiskiem, a po ogłoszeniu amnestii w 1947 roku zgłosił się do władz i ujawnił swą działalność. Przynależał, iż już nigdy nie podniesie ręki na ustrój demokratyczny.

Zofia związała się z doktorem we wczesnej młodości. Kiedy poznali się (sierpień 1939 roku) — miała 15 lat. W czasie okupacji była łączniczką AK. Po Powstaniu Warszawskim pobrali się. On, starszy o dwa lata, kończył konspiracyjne studia medyczne, a Zofia — liceum.

Z zeznań matki Zofii K. wynikało, że życie małżeńskie młodych układało się szczęśliwie; córka jej była zadowolona z zawartego związku. Teściowa chwaliła zięcia, wyrażała się o nim serdecznie i życzliwie, uważała go za najlepszego człowieka, troskliwego opiekuna domu i rodziny. Staruszka szanowała doktora i czuła przed nim respekt. Spełniała bez sprzeciwu jego polecenia, a kiedy zabronił czegośkolwiek, nie ważyła się tego zakazu przekroczyć. Wodę nosiła z kuchni w miedni, a zgodnie z jego życzeniem przekazywała mu ją przy drzwiach, w pregu sypialni, do której jednak nie wchodziła. Nie widziała więc córki po jej upadku ze schodów. Również wcześniej, gdy podawała zięciowi wygotowaną strzykawkę, on wstrzymał ją gestem ręki i nie wpuścił do pokoju. Kazał natomiast po iniekcji wypłukać strzykawkę i odłożyć do instrumentów medycznych.

Prokurator podkreślił w tej wypowiedzi fragmenty, które wydawały mu się niezrozumiałe w konfrontacji z relacją doktora K., który nie wspominał o zatrzymywaniu teściowej w progu. Dlaczego żądał, aby zniechęciła staruszka kilkakrotnie schodziła do suterenu po wodę? Okla-

8 — Zbrodnia

17

112

dy kompresowe mógł robić z wody przyniesionej w pierwszej misce. On jednak w progu moczył ręcznik i natychmiast odsyłał teściową na dół. Czy zależało mu na tym, aby mieć kilka minut całkowitej swobody? W czasie gdy matka Zofii schodziła do kuchni, on mógł spokojnie kończyć dzieło zabijania żony. Dlaczego prosił o przepłukanie strzykawki? Dlaczego staruszka nie wspominała o plamie krwi na podeście? Była przecież pierwszą osobą, która schodziła tymi schodami. Prokurator Haligów umyślnie zadał jej pytanie o kałużę krwi.

■ — Nie widziałam żadnej kałuży krwi. Moja córka krwawiła dopiero w ich sypialni. On ją natychmiast, podniósł ze schodów i co najwyżej ubrudził sobie ubranie krwią.

Zeznania te miały istotne znaczenie. Podobnie, jak informacja o nakłanianiu przez doktora K. jego asystenta, aby poczynił starania o zwolnienie zwłok Zofii K. od sekcji w Zakładzie Medycyny Sądowej.

Po siedmiu tygodniach śledztwa w reках prokuratora znalazły się istotne poszlaki obciążające doktora K. Na ich podstawie prokurator Haligów podjął decyzję o tymczasowym aresztowaniu podejrzanego. Pozostawianie ordynatora na wolności stawało się jawnym wyzwaniem rzuconym sprawiedliwości, a ponadto zaczęło utrudniać wyjaśnienie wielu spraw. Najbliżsi współpracownicy doktora, którzy mogli udzielić cennych informacji, uchylali się od szczyrych rozmów.

Prokurator wy

114

czuł, że podejrzaną stara się wpływać na treść i sposób zeznań niektórych świadków.

Ósmego września 1963 roku, po niespełna dwóch miesiącach od śmierci Zofii K., doktor K. został aresztowany. Był wyraźnie oburzony, protestował przeciwko decyzji prokuratora i zapewniał, że jest niewinny. W pierwszym dniu pozbawienia wolności, przebywając w areszcie MO, zażył 40 tabletek luminalu, które przechowywał pod poszewką swojej kamizelki. Wynikało z tego, iż zaplanował wcześniej tę samobójczą demonstrację. Kiedy odzyskał przytomność, powiedział do dyżurującego przy nim lekarza:

— To jednak cztery gramy luminalu nie wystarczają, żeby odejść...

Prokurator dysponował już wynikami przeprowadzonej sekcji i mógł sporządzić akt oskarżenia przeciwko doktorowi K. o zabójstwo Zofii K. Przyczyną zgonu było zadławienie, a zadławienia dokonał jej mąż. Wprawdzie twierdził on, iż zmierzał do uratowania żony, ale doprowadził do jej śmierci. Było to co najmniej zabójstwo nieumyślne. W ówczesnym kodeksie karnym, w art. 230 § 1, widniało: „kto nieumyślnie powoduje śmierć człowieka, podlega karze więzienia do lat 5”. W najlepszym razie odpowiadałby więc za nieumyślne spowodowanie śmierci. Powoływanie się na błąd w sztuce medycznej nie zwalniało go od tej odpowiedzialności.

Prokurator czekał jednak na wyniki badań (histopatologicznych i toksykologicznych) tkanek tłuszczowo-mięśniowych wyciętych z miejsc nakłu

17

cia w udzie Zofii K. Spodziewał się, że mogą one rzucić światła na dość dziwne zachowanie się podejrzanego podczas nieszczęśliwego upadku Zofii oraz wytłumaczyć jego żądanie, by teściowa zaraz po iniekcji przepłukała strzykawkę.

Równó w trzy tygodnie po aresztowaniu doktora K. Instytut Ekspertyz Sądowych z Krakowa przesłał do prokuratury wyniki badań chemicznych, przeprowadzonych na dostarczonych mu wycinkach z uda Zofii K. Pracownicy Instytutu ustalili w nich zawartość 47 mg pantokainy!

Pantokaina jest środkiem miejscowego znieczulenia. Jak piszą autorzy „Farmakologii i toksykologii leków”, profesorowie Józef Dadlerz i Piotr Kubikowski: „Spośród rozmaitych związków syntetycznych znieczulających miejscowo na szczególną uwagę zasługuje pantokaina i perkaina. Ze względu na toksyczność środki te mogą być stosowane jedynie w znacznie mniejszych dawkach niż inne leki znieczulające. Wypadki zatrucia śmiertelnego bywały spowodowane nie tylko pomyłkowym przeoczeniem dawek, lecz niejednokrotnie pomieszaniem nazw podobnie brzmiących prokaina — perkaina i podaniem np. perkainy w tych samych dawkach co nowokainy (prokainy).”

Śmiertelna dawka pantokainy określana była przez naukowców na 0,1 g, czyli na 100 mg. Jednak toksyczność pantokainy wzrasta przy powtarzaniu iniekcji.

Mniejsza dawka rozdzielona na kilka zastrzyków, podanych temu samemu osob

17

nikowi w niedużych odstępach czasu, potęguje wielokrotnie swoje działanie. Jeżeli jednorazowa dawka śmiertelna wynosi 100 mg, to powtarzana powoduje zejście osobnika po iniekcji 30 mg. Prokurator Haligów przeczytał odpowiednie opracowania toksykologów, zajmujących się działaniem pantokainy, i dowiedział się, że chlorowodorek $C_{15}H_{21}O_2N_2HCl$ (butyloaminobenzoosan-dwumet.y-loaminoetylowy) łatwo ulega rozpuszczeniu i zostaje szybko wchłonięty przez organizm. Eksperti badający wycinki tkanki tłuszczowo-mięśniowej stwierdzili, że w kilkakrotnej iniekcji denatka otrzymała dwukrotnie większą dawkę toksycznej substancji aniżeli ta, jaka pozostała jeszcze w tkance. 47 mg pantokainy wystarczyło do kilkakrotnego pozbawienia życia człowieka.

Przekraczało więc dawkę śmiertelną. Skoro więc ktoś usiłował pozbawić Zofię K. życia, to dlaczego nie poprzestał na wstrzyknięciu pantokainy, ale ryzykował jeszcze pozostawienie śladów zadławienia, które wykazała sekcja zwłok Zofii K.?

Jedynym człowiekiem, który mógł to uczynić, był doktor K.

— Sytuacja pana — powiedział prokurator Haligów doktorowi — jest niezmiernie trudna. Ekspertyza przeprowadzona przez krakowski Instytut może stanowić niepodważalny dowód umyślnego zabójstwa. Zespół orzekający w sądzie może co najwyżej szukać okoliczności przemawiających za łagodzeniem kary.

Proponuję panu, kolejny raz, by złożył pan wyjaśnienia, które przedstawiłyby jeczywisty przebieg wydarzeń.

117

prz. 4

intai

bo

— Panie prokuratorze — prośbę mi wierzyć starałem się ratować moją żonę i zdecydowałem się na podanie jej kardiazolu z kofeiną. Mogłem zdenerwowanie pomylić ampułki glukozy lub ka diazolu z ampułkami pantokainy, ale absolutnie nie miałem zamiaru wstrzyknąć żonie środka toksycznego. Prokurator Haligów wyciągnął z szuflady tok sykologię.

— Czy uważa pan taką pomyłkę za rzecz padkową. mogącą się przydarzyć ordynatorowi o działu? Chcąc wstrzyknąć 100 miligramów pa kainy należy pobrać ją z dziesięciu ampulek, wiem występuje ona w dziesięciomil.gramowej dawkach Poza tym tego rodzaju leków nie przł chowuje się w prywatnych apteczkach porięc nych. Jak wytłumaczy pan sądowi grubą pomyłkę

— Zapewniam pana że crr -łem podać gluko z kardiazolem i kofeiną, a j^ z< li o'worzyłem an] pulki pantokainy to chy „a dlatego, że zmidowa" się one w takim s.,nv ln op kr w niu albo v. pa ce po tych lekach. Kie m a lem zamiaru truc nu jej żony.

Dalsze przesłuchanie nie de *irc/yo prokur; rowi prowadzącemu siodz*-vo żadnych nowych ir teriałów. Po kilku tygodniach doktor pizypomn sobie, że niosąc omdlałą żonc potk-ął - na scl dach i wraz z mą up dl. Twierdził, iż mogła oi podczas tego upadku odnieW bardzo prwazne o rażenia i kolejny raz stracie przytomność.

— Przy takim upadku musiałby na schodu pozostać ślad krwawienia, a tak ego śladu la

118

ranci nie znaleźli. Pan, panie doktorze, wie o tym dobrze, że kryminalistyka potrafi wykryć wszystkie miejsca, z którymi zetknęła się krew. Schody przebadane przez ekspertów są w zasadzie wolne od śladów krwi. Poza — oczywiście — drobnymi kroplami, jakie wysączyły się ze ścierki niesionej z sypialni państwa do kuchni.

— Wiem o tym, lecz to absolutnie nie zmienia faktów.

Od chwili otrzymania opinii z Instytutu Ekspertyz Sądowych, w której stwierdzono, iż Zofii K. wstrzyknięto śmiertelną dawkę pantokainy, prokurator miał w rękach niepodważalne dowody winy doktora K. Przyznawał się on przecież do obienia trzech zastrzyków nieprzytomnej żonie. Powołani biegli wydali opinię na temat działania pantokainy, sposobu jej używania i dawek, czyli opakowań, w jakich znajduje się ona w szpitalnictwie i lecznictwie otwartym. Stwierdzili oni auto-ytatywnie, iż podanie w trzech zastrzykach ta-kiej ilości toksycznej substancji wymagało otwar-la kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu ampulek.

Wykluczało to przypadkowość lub pomyłkę. Poza tvm, twierdzili, lekarz wykonujący zastrzyk komuś z rodziny jest zawsze bardzo ostrożny i upew-ia się wielokrotnie, czy nie pobrał przypadkiem iewłasciwego leku.

Inspektorzy z wydziału kryminalnego KW MO z wydziału dochodzeniowego przekazali prokura-L irowi dalsze informacje obciążające podejrzanego, /rzy z nich zasługiwały na dokładniejszą uwagę, "anim jednak prokurator Haligów mógł je spraw-

18

dzić i rozważyć, musiał podjąć inne śledztwo przeciwko bardzo groźnemu zabójcy. Przekazał więc sprawę prokuratorowi z tego samego wydziału, uważając, iż jest ona prawie całkowicie wyjaśnio-i na.* Pozostawało tylko przeprowadzenie wywiadu środowiskowych i ustalenie stanu zdrowia psy- chicznego doktora K.

Nowy prokurator miał jeszcze ustalić motyw*.y]zbrodni, w którą już nikt w organach śledczych] nie wąpił. Zaczął Więc od sprawdzania informacji) dostarczonych przez inspektorów z komendy. W] pierwszej wspomniano o wcześniejszej próbie zał bójstwa Zofii K., podjętej przez jej małżonka^ Świadkowie przypomnieli sobie, że doktor K. w początkach maja 1963 r. prosił ordynatora oddział hu zatruc Śpitala Nr 3 o przygotowanie miejsca dla jego żony (zeznanie świadka dr. M.), którJ cierpi na staie pogłębiającą s.ę depresję. Potem mając już pewność, że miejsce będzie przygotiM wane, wyjechał na dwa dni do Międzybrodzia (za znanie świadka T. i dokumentacja). Wrócił do doj mu późnym wieczorem 18 maja (zeznania świada k L.), polecił wygotować strzykawkę i wstrzykną Zofii lekarstwo działające jako silny środek nar kotyczny. Jego zdaniem lek ten był konieczn; (zeznania świadka L.) z powodu częstych napa dów kolki nerkowej u chorej. Około czwartej nad ranem mieszkańcy willi usłyszeli skowyt psa drapanie łapami w drzwi kuchni. Jako pierwsi zbudziła się sublokatorka, świadek L., tuż po ni^ doktor K Wyszedł on ze swojej sypialni w garn turze i miał zawiązany krawat. Świadek L. i dok

120

tor K. otworzyli drzwi do kuchni i zobaczyli Zofię K. leżącą na podłodze. Z otwartych kurków ulatniał się gaz. Doktor wbiegł do kuchni, zamknął przewody gazowe, a potem podniósł zonę i zawiózł ją własnym samochodem do szpitala. Po kilku dniach Zofia K. wróciła do domu. Doktor K. opowiadał potem znajomym, że żona jego usiłowała zaparzyć herbatę i wówczas straciła przytomność. Jednak po śmierci Zofii świadkowie przypomnieli sobie, że na stoliku nocnym w sypialni małżeństwa K. widzieli szklankę z przygotowaną herbatą. Wątpliwe wydawało się także samodzielne przejście Zofii K. z sypialni do kuchni, gdyż pozostawała ona pod działaniem lekarstwa, które paraliżuje system nerwowy i uniemożliwia sprawne poruszanie się. Idąc do kuchni musiałaby potraćąc sprzęty i przewracać się, a tym samym lobudzić domowników. Toksykologdy mówiąc o skutkach tego lekarstwa porównują je do działania alkoholu. Czyli Zofia K. straciłaby równowagę i stoczyłaby się ze schodów. Może więc doktor K. zaniósł ją po zastrzyku do kuchni, położył na podłodze, a potem rozsypał zapalki i otworzył kurki gazowe? Było to bardzo prawdopodobne.

Prokurator postanowił tę supozycję włączyć do części opisowej aktu oskarżenia.

Druga informacja nie miała wprawdzie znaczenia procesowego, ale sugerowała motyw zbrodniczego działania i określała stosunek doktora K. do ofiary. Od pewnego czasu znajomi podejrzanego mówili między sobą o romansie doktora z je

18

go nową asyentką. Niektórzy wspominali nawet o podjętych przez niego krokach rozwodowych. Jeden ze świadków podał nazwisko bliskiego znajomego doktora, który znał dokładnie historię romansu.

Prokurator zwrócił się do sądu z prośbą o ustalenie, czy wpłynął tam pozew o rozwód. Przejrzano rejestr spraw i odpowiedziano, że pozew taki do tej pory nie został złożony. Czyli ta część drugiej informacji nie była zgodna z prawdą. Natomiast romans ordynatora z młodą asyentką, dla której załatwił stypendium specjalizacyjne, był udowodnionym faktem, dodatkowo potwierdzonym przez ich wspólny wyjazd na wczasy do Zakopanego tuż po śmierci Zofii K., a poprzednio zasygnalizowany przez wyjazd na dwudniowy wypoczynek do Międzybrodzia (przed pierwszą próbą zglądzenia Zofii).

Trzeciej informacji nie udało się sprawdzić. Logicznie jednak wiązała się z drugą, częściowo potwierdzoną. Głosiła ona, iż doktor K. śmiertelnie bał się swojej żony. Podobno znała ona tajemnicę jego kariery i w wypadku wszczęcia postępowania rozwodowego skłonna była ją rozgłosić. To groziłoby skandalem.

— Zabił, żeby zamknąć jej na zawsze usta i zagrzebać swoje wszystkie draństwa — powiedział prokurator prowadzący sprawę swojemu zwierzchnikowi, który zapytał go o nowe elementy śledztwa.

Alē prokurator nie mógł przekazać zwierzchnikowi swoich odczuć dotyczących suponowanych obaw doktora K. i tajemnic, jakie ukrywał on przed środowiskiem zawodowym. O związku uczuciowym z młodą lekarką wiedziało wielu pracowników szpitala, a także przyjaciele doktora, zaś o jego działalności w NSZ jedynie władze bezpieczeństwa.

Prokurator S. kontynuujący śledztwo rozpoczęte przez prokuratora Haligowa usiłował przedstawić w akcie oskarżenia prawdziwe oblicze podejrzanego. Z dziesiątków rozmów starał się wyluskać fakty określające doktora K. jako osobnika bezkompromisowego, predysponowanego do czynów przestępczych, obudnego, bardziej drżącego o swoją opinię aniżeli o życie najbliższych. Sądził, iż przedstawi na rozprawie wersję potwierdzoną ekspertyzami naukowymi. Osiągnięcie tego celu nie było jednak łatwe.

Przesłuchiwani współpracownicy doktora K. milczeniem zbywali pytania dotyczące cech charakteru i skłonności podejrzanego. Powstrzymywali się także cd osobistych zwierzeń. Wyglądało na to, że nie mają zaufania do nowego prokuratora.

Nie widząc możliwości wzbogacenia śledztwa materiałami, które wyjaśniałyby motywy zbrodni, prokurator przedstawił doktorowi K. cały materiał dowodowy.

— Chc. albym — powiedział — zwrócić uwagę na słabość obranej przez pana linii obrony. Wszystkie pańskie tłumaczenia zostały obalone przez ekspertyzy naukowe. Nikt z nas nie wąpił już w to, że chciał się pan pozbycь małżonki i szesnastego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trze

18

122

ciego roku zadał jej pan osiem ciosów w głowę tępym narzędziem. Potem, kiedy straciła przytomność, wstrzyknął jej pan śmiertelną dawkę pantokainy.

Ponieważ ciosy w głowę tylko na chwilę oszłomiły ofiarę, a pantokaina nie zdążyła jeszcze zadziałać, obawiał się pan, że coraz dono-śniej sze wołanie o ratunek może zniweczyć cały misterny plan i zadławił pan kobietę odzyskującą przytomność...

— Ja pragnęłam ratować życie mojej żony, która spadła ze schodów, kiedy niosła swojej matce śniadanie. Posądzanie mnie o umyślne spowodowanie śmierci kości w zadanie jej śmiertelnych ciosów w czaszkę. Rankiem 16 lipca przygotował śniadanie dla teściowej, wniósł je na pierwsze piętro, ułożył tacę i naczynia tak, aby wyglądało na przypadkowe zrzucenie, po czym zszedł do sypialni i w czasie snu Zofii zadał jej kilka ciosów tępym narzędziem. Kiedy Zofia K. straciła przytomność, zaalarmował teściową, pokazał jej rozrzucone naczynia ze śniadaniem i polecił przygotowanie strzykawki. Postanowił wstrzyknąć żonie toksyczną pantokainę na wszelki wypadek, gdyby urazy czaszki nie odniosły zamierzonego skutku. Poza tym zastrzyk można było wytłumaczyć ehe-c ą niesienia pomocy rannej, bowiem w przypadku poważniejszych zranień wstrzykuje się glukozę z kardiamidem i kofeiną. Co pewien czas powtarzał mocne ciosy w głowę leżącej na tapczanie kobiety i trzykrotnie wkłół przygotowaną wcześniej śmiertelną dawkę toksycznego leku. Z przerażeniem stwierdził, że jego żona traci przytomność tylko na chwilę, później ją odzyskuje i usiłuje wzywać ratunku. Dlatego też dławiał ją. Chcąc zapewnić sobie swobodę przestępczego, zbrodniczego działania, polecił teściowej, by nosiła z kuchni zimną wodę do kompresów. Odbierał miski u pro-feu i natychmiast odsyłał schorowaną starszkę

na

o i;

18

dół. Zdumiony, iż podwójne mordercze działanie nie przyniosło skutku, zdecydował się na uduszenie ofiary.

Taki, zdaniem prokuratury, był przebieg wydarzeń w willi doktora K. Nie zrzucił on ciała swojej żony ze schodów, nie potknął się przy sugerowanym przenoszeniu ciała, a morderczą akcję zaczął w sypialni.

Akt oskarżenia przeciwko doktorowi K. przesłano do sądu 1 lipca 1964 roku. W pięć dni później oskarżony po raz drugi usiłował popełnić samobójstwo. Tak jak poprzednio była to tylko demonstracja. Przecinając skórę i naczynia krwionośne na przegubie lewej ręki" starannie ominął ważne arterie. Demonstracja ta nie zrobiła najmniejszego wrażenia na władzach śledczych. Zalecono jedynie troskliwą opiekę i kontrolę, mającą na celu niedopuszczenie do kolejnej samobójczej próby.

Jedenastego lipca 1964 roku doktor K. otrzymał odpis aktu oskarżenia. Po zapoznaniu się z jego treścią poprosił o skontaktowanie go z obrońcami. Spotkał się z nimi następnego dnia i odbył długą rozmowę. O czym mówili?

Tajemnica zawodowa zabrania obrońcom udzielania odpowiedzi na takie pytania. Aczkolwiek nie dowiedziałem się, o czym rozmawiał oskarżony z dwoma mecenasami, to mogę przypuszczać, iż mówiono o szansach oskarżonego. Wszyscy klienci adwokatów zadają pytanie o spodziewany lub a»

19

grążający wyrok. Obrońcy odpowiadają, że będą robili wszystko, aby osłabić wymowę dowodów zgromadzonych przez oskarżyciela. Jeżeli dowody są bezsporne, wruszają ramionami i mówią: „Sam pan widzi, mamy bardzo trudne zadanie.”

Sytuacja oskarżonego doktora K. była bardzo trudna.

W połowie lipca 1964 roku spełniła się część egzekucyjna' procesu o zabójstwo Zofii K. Oskarżony, lecz nie skazany przez sąd, bał się bowiem przed nim stanąć, ordynator oddziału fizjatrzyckiego Szpitala Nr 3 w Z. doktor K. odebrał sobie życie.

Czy jedynie strach przed czekającym go publicznym osądzeniem za zbrodnię pchnął go do tego czynu? Czy chciał, żeby wszystko pozostało w tajemnicy? Tego się nie dowiemy.

Proces przeciwko zabójcy Zofii K., ładnej czterdziestoletniej kobiety, miał więc nietypowy przebieg. Z trzech części — przygotowawczej, jurysdykcyjnej i egzekucyjnej — odbyły się dwie. Pierwsza i trzecia

We wspólnym grobowcu spoczywają prochy obojga małżonków. Ofiary i mordercy, który po-peind niewybaczalne błędy sztuki medycznej.

127

Zbrodniarz szuka alibi

Funkcjonariusz komisariatu MO w Nowej Hucie, przyjmując w czwartek 2 października 1969 roku zawiadomienie Emilii S. o zniknięciu z jej mieszkania dwóch tysięcy dolarów i stu osiemdziesięciu tysięcy złotych, nie przypuszczał, że zaczął w tym momencie proces, który kilka lat później trafi do historii polskiej kryminalistyki.

— Jedyną osobą, która wiedziała o posiadanej przeze mnie gotówce i o miejscu jej ukrycia, był, poza moją córką, Zbigniew Kostecki — powiedziała Emilia S. — Przypuszczam, że on jest sprawcą tej kradzieży...

Zbigniew Kostecki zajmował część dużego mieszkania w starej kamienicy przy ulicy Lenartowicza 17. Mieszkał w pokoju z kuchnią sam, a jego żona z dwojgiem dzieci w innej części miasta, w willi przy Kieleckiej. Willę kupili niedawno, aby ulokować posiadany kapitał. Należeli do warstwy zamożniejszych obywateli Krakowa, o czym świadczyły nie tylko dwa samochody i dwa mieszkania, ale przede wszystkim sumy, jakimi Zbigniew Kostecki obracał w ciągu miesiąca. W jego kalendarzyku było to skrupulatnie zanotowane. Obok

128

dziesiątek tysięcy złotych i dużych sum w walutach obcych zapisywał wszystkie wydatki: na bilety tramwajowe, benzynę, naprawy samochodów i dokonane zakupy.

Czy taki człowiek byłby zdolny do pospolitej kradzieży? Czy decydowałby się na zabranie pieniędzy swojej przyjaciółce?

Funkcjonariusze MO uzyskali od prokuratury postanowienie przeszukania mieszkania przy ulicy Lenartowicza 17 i już następnego dnia zadzwonili do drzwi.

Zbigniew Kostecki był bardzo zdziwiony i oburzony posądzeniem go o kradzież, a kiedy rozpoczęli czynności służbowe, on podszedł do drzwi prowadzących na balkon, otworzył je i po chwili opuścił mieszkanie. Zeskoczył z balkonu i zniknął w ulicznym tłumie.

— Co mamy teraz robić? — spytali swojego zwierzchnika zaskoczeni tym wydarzeniem milicjanci. — Czy mimo wszystko prowadzić rewizję?

— Tak — odpowiedział oficer. — Oczywiście, vi obecności świadków.

Po niespełna godzinie Zbigniew Kostecki wrócił do swojego mieszkania.

— Wróciłem — powiedział. — Możecie spokojnie prowadzić rewizję. Ja się niczego nie obawiam, bo jestem uczciwym obywatelem...

Swoją ucieczkę wytłumaczył szokiem, jakiego doznaje każdy porządny człowiek, gdy nagle w jego mieszkaniu pojawia się milicja. W każdym razie on nie ma nic wspólnego z żadną kradzieżą.

— Przekonamy się — odpowiedzieli zdawkowo milicjanci.

9 — Zbrodniarz

19

Szukali oni nie tylko pieniędzy skradzionych Emilii S., ale także kostiumu skózanego. O kradzież kostiumu posądziła Kosteckiego jego siostra, Krystyna.

— Zgłoszenie mojej siostry jest zwykłą złośliwością — stwierdził Zbigniew Kostecki.

W mieszkaniu znajdowało się wiele różnych przedmiotów: sweterki damskie, torby, biżuteria, zielony kostium damski, buty-kierpce, ale dwóch tysięcy dolarów i około dwustu tysięcy złotych nie udało się znaleźć.

Podjeżrzany przesłuchiwany jeszcze tego samego dnia przez plutonową Urszulę Balecką zapewniał o swojej niewinności. Tłumaczył, iż zarówno Emilia S., jak i jego siostra Krystyna chciały się „odegrać". Siostra, powiedział, jest na niego zła, bo zabraniał jej romansować z aktorem, Rafałem Cz., a Emilia S. nie może mu wybaczyc, że jej nie kocha.

W takich prozaicznych warunkach, przemawiających za pojawieniem się kolejnej „pyskówki", rozpoczęło się śledztwo o zbrodnię, która nie miała sobie równej w historii kryminalistyki. Ale w pierwszych dniach października 1969 roku Zbigniew Kostecki był jedynie podejrzanym o kradzież dolarów, dużej sumy złotych polskich i kostiumu skózanego.

Przeszukanie mieszkania nie dawało podstaw do uznania tych podejrzeń za uzasadnione, a nawet w ogóle możliwe. Zastanawiały natomiast przeróżne przedmioty wyjęte z szaf, szuflad

130

i schowków. Ich liczba sugerowała, że Zbigniew Kostecki zajmuje się nielegalnym handlem, a może i paserstwem (zabezpieczono sporo rzeczy używanych: neseser, papierośnicę, zapalniczkę, obuwie damskie, naszyjnik i kilka innych drobiazgów). Postanowiono zbadać te ślady podwójnego życia podejrzanego. Za zgodą prokuratora zapoznano się z korespondencją znaną w mieszkaniu Kosteckiego. Listy miały przeważnie handlowy lub uczuciowy charakter.

Wspominano w nich o handlu zastawami srebrnymi, obrazami, samochodami i ciuchami. Kilka z nich napisała Maria Adamczyk, która zapowiadała swój przyjazd w pierwszych dniach lipca 1968 roku i przypominała Kosteckiemu, aby przygotował zastawę, za którą zapłaci ona 25 tysięcy złotych.

Prokurator postanowił zwrócić się do komendy MO w Nowej Rudzie, aby przesłuchano zamieszkałą w Słupcu Śląskim Marię Adamczyk i uzyskano jak najwięcej informacji o kontaktach handlowych, zawatych transakcjach, a także o możliwościach handlowych Zbigniewa Kosteckiego.

Odpowiedź z Nowej Rudy zaskoczyła prokuratora.

Maria Adamczyk zaginęła przed rokiem — odpisał oficer z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Wyjechała prawdopodobnie do Krakowa w środę 3 lipca 1968 roku pociągiem odchodzącym z Nowej Rudy o 22.58. Do Nowej Rudy przyjechała tego dnia autobusem. Widziała ją kilka osób, które podały dokładniejsze dane o wygląd-

131

cizie zaginionej. Ubrana była w zielony kostium, buty-kierpce, miała na palcach trzy pierścionki i obrączkę, a na szyi wisiorzek z podobizną wąsatego mężczyzny Maria Adamczyk wybrała się prawdopodobnie do Zbigniewa Kosteckiego,

0 czym poinformowała swojego męża. Jednak Zbigniew Kostecki twierdził, że jej nie widział

1 że chyba pojechała ona do Kielc, gdzie również miała znajomych. Poszukiwania nie dały wyników...

W piśmie wspomniano więc o przedmiotach, które spisano podczas przeszukania mieszkania przy ulicy Lenartowicza 17.

— Medalion z podobizną wąsatego mężczyzny? Przecież tak samo wygląda naszyjnik znaleziony u Kosteckiego — powiedział prokuratorowi oficer z wydziału kryminalnego komendy. — Przypomina on wytłoczony w srebrze wizerunek cesarza austriackiego Franciszka Józefa...

Postanowiono ostrożnie sprawdzać otrzymane informacje i ustalić, czy Maria Adamczyk dojechała do Krakowa, kto ją widział, kiedy i z kim, i jak 'była ubrana. Nie wspomniano Zbigniewowi Kosteckiemu o kolejnym podejrzeniu, tym razem

0 zbrodnię. Prokuratorzy nie mając żadnych dowodów, nie chcieli zakładać, że Kostecki zamordował Adamczykową, aby zagarnąć, jej biżuterię

1 pieniądze: postanowili zgromadzić poszlaki lub dowody, mogące wyjaśnić sprawę. Tymczasem Kostecki od kilku dni opowiadał przesłuchującemu go oficerowi, a potem prokuratorowi, o przebiegu swojej znajomości z Emilią S.

132

Najpierw poznał córkę Emilii S., Baškę, dziewczę-C7j r.ę lubiącą się zabawiać. Ponieważ on takich dziewcząt n-e uważa, to zerwał znajomość. Pcw-negJ dnia otrzymał li? że ma pizypchać do szpitala", gdzie leży Baška po wypadku samochodowym. Pojechał i odwiedził chorą. Nie mógł przecież odmówić. Wtedy to poznał matkę Baški, Emilię S., która pupro ła go o pomoc w załatwieniu spraw handlowych. Chodziło o wołgę z PeKaO, którą Emilia S. pragnęła zaraz po nabyciu sprzedać. Czy to zbiordnia pomagać kobietom? On pomógł. Sprzeciali wołgę i wrócili do Krakowa. Za fatygę otrzymał od Emilii S. dwa tysiące, a od nabywcy, niejakiego Tronowa — trzy tysiące złotych. To byłaby cała historia...

Zachowanie Ko cęLięgo było dziwne. Starał się być miłym, uległym, ale jednocześnie uparcie przekonywał przesłuchujących go, że wszystkie zarzuty Łą bzdurne, złośliwe i wynikają z zazdrości kobiet, które s.ę w nim podkochiwały. Jego, oczywiście, z żadną z nich nic nie łączyło.

Po kilku dniach złożył inne wyjątkowanie. Cóż on mógł poradzić, że Baška i Emilia S. darzyły go szczególnymi wzglę Jami? Emilia posądzała go o romans z Bašką, więc zrobiła mu ten świński kawał i zameldowała władzom, że uważa go za złodzieja.

W tym samym czasie napisał gryps i usiłował dostarczyć go swojej żonie. Gryps wydawał się niezrozumiałą instrukcją, ale mógł być po prostu dowodem gospodarskiej i ojcowskiej troski. Brzmiał następująco:

20

„Wynieś naturalny i piep szi " k z szuflad z garażu zaraz do pralni, palacz to zrobi, dzieci uczcie się."

Był instrukcją. Polecał usunięcie sztucznych jelit (krakowscy rzeźnicy nazywają je „naturalna-mi"), sznurki i pieprzu, które mc okoily Zbigniewa Kosteckiego. Ekipa milicyjna wysłana natychmiast do garażu wydobyla z różnych schowków kilka worków sznurka, kilkadziesiąt kilogramów pieprzu i du, e ilości sztucznych j lit. Skąd on to wziął? Ukradł? Kupił od złodziej?

— Przez siedem lat pracowałem w Zakładach Mięsnych — grzecznie i spokojnie wyjaśnił podejrzany. — Najpierw jako magazynier pustych opakowań, potem jako referent przewozów towarów. Praca była odpowiedzialna, poza tym złożyłem wniosek o wyjazd do USA, więc zwoleń się na wia-ną prośbę. Pracowałem zawsze uczciwie i starałem się jak najlepiej wywiązać ze wszystkich obowiązków. Jeżeli chodzi o sznurek, to dostałem go od przygodnie spotkanego kierowcy, który wiczt transport do Łodzi.. Dał mi go jako odszkodow a-nie za to, że potracił mój rower. Były tego cztery worki. Pieprz kup. lcm od jakiegoś handlarza. Jelita sztuczne też.

Nieskazitelnym, pedantycznie dokładnym Zbigniew Kostecki nie wziął pod uwagę faktu* że poza nim żyją inni ludzie, którzy załatwiali z nim lewe interesy, mieszkali obok, widywali go w różnych sytuacjach i rozmawiali na różne tematy. Prokurator, który miał w decydującej fazie przejąć śledztwo i już jako jedyny przesłuchiwać podej

20

znanego, gromadził wszelkie dostępne informacje o Zbigniewie Kosteckim. Dowiedział się, że przed jednym grał on rolę właściciela stadniny w USA, drugim przedstawiał się jako hrabia i wywodził swoje pochodzenie ze szlacheckiego rodu. W innym środowisku pojawił się jako artysta-ma-larz. Był, jak zapewniał, spadkobiercą i otrzymał fabrykę w USA. Gdzie indziej mówił, że prowadzi hodowlę psów rasowych. Podawał się za inżyniera leśnika, za rajdowca i za właściciela wielkich majątków ziemskich.

Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej, Zbigniew Stańczewski, nie dopatrywał się w tych krętaństwach niczego poza dziecięcą naiwnością, cechującą ludzi prymitywnych, takich jak Śliwa — Silberstein lub Kierbel. Był przekonany, że Kostecki zdecydował się na popełnienie morderstwa, gdyż bał się kompromitacji lub był zaskoczony nieprzewidzianą reakcją jego kontrahentki, Marii Adamczyk.

Analizował więc nadal cechy charak Leru podejrzanego, szukając w nich potwierdzenia swojej koncepcji. A Kostecki, uspokoiwszy się, że nie jest nagabywany o inne znajomości i kontakty handlowe (o Marii Adamczyk i jej tajemniczym zaginięciu wspomniano zaledwie podczas przesłuchi-wań), postanowił przeprowadzić pierwszy manewr. Przyznał się do kradzieży kostiumu należącego do jego siostry. Zaznaczył, że traktował to jako żart, a jednocześnie jako zastaw na poczet długu — Krystyna była mu winna kilka tysięcy złotych. Spodziewał się, że tym wyznaniem usatysfakcj

135

kuje przesłuchującego i zakończy sprawę, gdyż prokurator przcile akt oskarżenia do sądu.

Nie spodziewał się, że wprawionej w ruch maszyny śledczej nie sposób już zatrzymać. W laboratoriach przeprowadzano skomplikowane ekspertyzy, zbierano informacje, świadczące, iż Kostecki kłamie, i wykazujące, że był pospolitym złodziejem. Kradł wszystko, co wpadło mu w ręce, rzeczy drobne (nawet łyżeczki) i większe (koitium, worki sznurka. CO kg pi przu, jelita sztuczne), że ukradł dwa tysiące dolarów i L30 tysięcy złotych. Wreszcie, że jest mordercą.

Oficer wysłany do Szupca Śląskiego przywiózł w iele cennych dokumentów. Okazało się, że Marii Adamczyk bardzo lubiła się fotografować. Na każdej wyc.eczce, na każdych wczasach robiła sobie masę zdjęć i wysyłała mnóstwo pozdrowień. Na fotografiach z ostatniego pobytu w Karlovych Va-rach, skąd wróciła w ostatnich dniach czerwca, sfotografowała się z torebką zakopiańską i w kienkach. Po powiększeniu zdj cia można było również rozpoznać medalionik z podobizną „Franciszka Józefa" i pierścionki na ci u dłoniach.

W laboratorium kryminalistyki wykonano reprodukcje kilku zdjęć i powiększono je znacznie. Podobnego zabiegu dokonano ze zdjęciami przedmiotów znalezionych w mieszkaniu Zbigniewa Kosteckiego. Wiele z nich wyglądało podobnie. Ale to jeszcze nie był dowód. Jedynie zdjęcie medalionu, który nie miał duplikatu, gdyż został wykonany na zamówienie, a był identyczny na obydwu fotografiach, stanowiło materiał do rozważań.

136

Skoro Maria Adamczyk nosiła ten medalion w Karlovych Varach (na zdjęciu prezentował się ładnie) i jechała z nim do Krakowa, to musiała dotrzeć do celu podróży. W każdym razie Zbigniew Kostecki widział się z nią po trzecim lipca 1968 roku.

Co łączyło tych dwojga? Tylko zastawa srebrna, o której jest mowa w korespondencji? — zastanawiał się prokurator.

Mąż zaginionej słyszał od swojej żony i od Kosteckiego, że znajomość ich sięgała okresu międzywojennego. Podczas wojny nie widywali się i dopiero przypadkowo spotkali się w 1965 lub 1966 roku. Adamczykowa kupowała coś w komisie, w którym pracowała siostra Zbigniewa. Poznały się. Po kilkunastu minutach przyszedł do sklepu Kostecki i dowiedział się, że przed chwilą wyszła Matka (Maria Adamczyk). Wybiegł na ulicę, dogonił ją. przywitali się serdecznie i poszli na kawę. Pogadali, powspominali dawne lata i odnowili przyjaźń. Adamczykwa poczęstowała Ko-steckiego opowieścią wyjętą ze snu: powiedziała, że była żoną bogatego Greka i wróciła do kraju na cHe obuczonym złotem. Na brak dolarów nie narzeka, konto swoje ma i najważniejsze — znajomości w Siarach.

— Podczas okupacji uratowałam Żydówkę, która później wyszła za mąż za bogatego Żyda w Ameryce. Nazywa się Weitzman. Pisujemy do siebie — zwierzała się przyjacielowi.

Prokurator miał wszystkie listy, jakie przysłała Ala Weitzman do swojej wybawicielki. Dowiedział

20

się z nich, że wysłała ona zaproszenie dla Kosteckiego, bilet autobusowy z Montrealu do Detroit i że wpłaciła -kaucję.

Kiedy ten pan będzie wyjeżdżał, niech zabierze ze sobą srebrną zastawę. My tu zapłacimy, my lubimy srebro. Bardzo bym chciała mieć parę obrazów twojego krewnego, Kazimierza Rojkowskiego. Załatw mi, to, moja droga — pisała w jednym z listów.

Najbardziej interesujący był jednak list, przesłany przez Weitzmanową po zaginięciu Marii Adamczyk. Pisała wówczas, że jest zaniepokojona milczeniem Maski. Czy to prawda, że wyjechała za granicę? Ona otrzymała list od Kosteckiego, który pragnie przyjechać do USA, a przecież Maska wyjaśniała kiedyś, że to lotr, oszust i gangster, więc jej mąż i ona wycofali zaproszenie i odebrali kaucję.

Zarysował się motyw zbrodni. Skoro Kosteckiemu tak bardzo zależało na tym wyjeździe, a Maria Adamczyk mu w tym przeszkodziła, mógł ją zamordować. Ale dlaczego przeszkodziła?

Prokurator Zbigniew Stańczewski przejął śledztwo i postanowił osobiście przesłuchiwać podejrzanego. Znając już dobrze Kosteckiego, wiedząc, jak z dnia na dzień zmienia swoje zeznania, jak gwałtownie szuka alibi, przystąpił do rozmowy z dokładnie opracowanym planem przesłuchań opartym na bogatej dokumentacji. Zdawał sobie sprawę, że o powodzeniu zadecyduje psychiczna wytrzymałość i rozważne operowanie zgromadzony

138

mi atutami. Aczkolwiek władze śledcze dysponowały szeregiem niezwykle ważkich poszlak, wskazujących, iż mordercą Adamczykowej może być Kostecki, to nie posiadały najważniejszej z nich, a zarazem „corpus delicti" — zwłok lub ich części.

Nie ma zabójstwa, dopóki nie odnajdą się zwłoki! — utrzymywało polskie prawo karne.

A zwłok Marii Adamczyk nie udało się odnaleźć. Pozostały po niej jedynie rzeczy osobiste, z którymi człowiek nie rozstaje się, jeżeli tylko żyje. A Maria Adamczyk pozostawiła swoją odzież, swoją jedyną torebkę, jedyne buty, papierosnicę, zapalniczkę i inne przedmioty w mieszkaniu obcej osoby.

Prokurator Stańczewski mimo tych poszlak w dalszym ciągu sprawdzał wiadomości o srebrnej zastawie i o zamierzonym locie Adamczykowej do Warszawy na spotkanie ze znajomą Weitzmano-wej, o czym ta ostatnia pisała w liście do męża zaginionej.

Zeznania świadków pokrywały się i wynikało z nich, że Kostecki za 25 tysięcy złotych kupił zastawę od Traubmanów. Bilet na przelot z Krakowa do Warszawy w dniu 5 lipca wydano w kasie mężczyźnie, którego rysopis odpowiadał wyglądowi Kosteckiego. Bilet opatrzone nazwiskiem Marii Adamczyk i nosił on numer 308 202. Ten sam mężczyzna zwrócił bilet krótko przed odlotem, czyli przed 11.45, i dlatego potrącono ćwierć ceny biletu.

Przeczuwając, iż coś się niedobrego dzieje, Zbi

20

gniew Kostecki sam zaczął opowiadać o Marii Adamczyk.

— Masia, tak nazywałem moją dobrą znajomą z lat dziecińczych, Marię, po mężu Adamczyk, podjęła starania o to, żebym otrzymał zaproszenie do Stanów. Miała mi je nadesłać Ala Weitzman, mieszkająca ze swoim mężem w Detroit. Jest ona wychowanką Masi — w tym momencie zaczął płakać i poprosił o przerwanie przesłuchania.

Po dziesięciu minutach podjął opowieść od stwierdzenia, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem Marii Adamczyk.

•— Ja Masi nie zamordowałem, ja miałem jej rzeczy, bo ona sama je u mnie zostawiła. Gdybym ją zamordował, jej rzeczy bym spalił, zniszczył albo sprzedał, a ja pierścionki Masi pożyczylem Jadzi. Kostium też dałem Jadzi, a nie sprzedawałem. Wiem, że Masia nie żyje, ale nie wiem, kto to zioił...

Prokurator postanowił oficjalnie przedstawić Zbigniewowi Kosteckiemu zarzut o zabójstwo Marii Adamczyk. Wówczas podejrzany oświadczył:

— Ja Masi w lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku w ogóle nie widziałem. Owszem, miała do mnie przyjechać, pisała o tym i telefonowała, ale nie zjawiała się. Jej mąż pytał telefonicznie, czy ona u mnie jest, więc mu odpowiedziałem, że sam jestem zdziwiony, co się stało, bo umówiła się ze mną i nie przyjechała. Potem on był w Krakowie, ale wyjaśniłem mu, że Masia mogła zatrzymać się u Stanisława K.

— Marię Adamczyk widziano w pana mieszka

21

niu — powiedział prokurator. — Rozmawialiśmy ze świadkami...

Zbigniew Kostecki zawałał się i po chwili stwierdził:

—• Chcę sprostować moje wyjaśnienia. Rzeczywiście Maria Adamczyk przyjechała czwartego lipca. Była u mnie krótko i wyszła. Może zatrzymała się u Stanisława K.? To on mógł zabić **Maskę**... Ja jestem niezdolny do dokonania zabójstwa. Mam bardzo miękki charakter. Boję się widoku krwi. Jako dowód podam taki przykład: pani Lola z komisju, która była ze mną na wczasach nad morzem, widziała i może zaświadczyć, że jak weterynarz z Gdańska robił opatrunek psu, to mnie zrobiło się słabo...

Zbigniew Kostecki zagrał złą kartą. Był przecież czeladnikiem rzeźniczym, rozbierał półtusze, szlachtował zwierzęta. Zaczął „orgię kłamstw”, jak to nazwał potem prokurator.

Przez kolejne tygodnie oskarżony utrzymywał tę wersję, zmieniając jedynie mało ważne szczegóły. Początkowo twierdził, że Maska pokłóciła się z nim zaraz po przyjeździe do Krakowa i obrażona wyszła z jego mieszkania.

— O co się obraziła? — dociekał prokurator.

— Bo zażądałem zwrotu pieniędzy, które dałem jej za załatwienie zaproszenia — wyjaśniał spokojnie Kostecki. — Nie dała mi tych pieniędzy, więc zabrałem jej pierścionki i inne rzeczy. To miał być zastaw. Chciałem się zabezpieczyć.

— Kostium też?

— Też.

141

— Więc w czym wyszła na ulicę?

■— Ona miała u mnie zapasowe suknie. Przebrała się... Wyszła chyba do Stanisława K. i on ją załatwił. To człowiek, który zamordowałby za parę złotych. Zaraz po zaginięciu Maski kupił sobie samochód za dwadzieścia tysięcy. A tyle ona miała...

— Dobrze, przyjmujemy na Chwilę tę wersję — powiedział prokurator. — Adamczyk przyjechała, żeby odkupić srebrną zastawę i zawieźć ją do Warszawy. Pokłóciła się z panem i zatrzymała się u K., a on ją „załatwił”. Czy potem przyniósł na Lenartowicza jej portmonetkę, papierosnicę, tusz do rżęs, kierpce? Tak to wyglądało?

— Nie — zaprzeczył Kostecki. — Ja nic twierdząc, że Stanisław K. zabił **Maskę**. Ja tylko przypuszczam, że on to zrobił. A garderobę to miała u mnie na zmianę. Wyszła w innej...

Prokurator wyciągnął z szuflady kluczyk do zamka „yeti”.

— Kluczyk ten znaleziono w pana mieszkaniu. Jest to dziwny zbieg okoliczności, bo pasuje do mieszkania Adamczyków i miała go przy sobie Maska. Czy również dała go jako zastaw?

Prokurator już wcześniej odkrył w postępowaniu podejrzanego cechę charakterystyczną dla starców: patologiczne dążenie do chomikowania wszystkich drobiazgów, „bo mogą się kiedyś przydać”. Kluczyk do zamka „yeti” był tu klasycznym przykładem, podobnie jak tusz do rżęs, zapalniczka, kierpce. Zbigniew Kostecki poczuł się niepewnie.

■— Ja teraz powiem, jak to właściwie było —■ zaczął. — Powiem teraz całą prawdę. Ona przyjechała do Krakowa, zatelefonowała do mnie z dworca, a ponieważ miałem w domu gościa, więc nie podnosiłem słuchawki. Ona dzwoniła dalej. Wreszcie podniosłem słuchawkę, ale nie odzywałem się. Usłyszałem jej głos „Zbyszku, Zbyszku...” Przed południem przyszła do mnie z awanturą. Miała pretensję, że nie wyszedłem na dworzec i zażądała wydania zastawy. Groziła mi, że nigdy nie wyjadę do Stanów. Już ona to załatwi. Wyszła i po paru minutach wróciła z nieznanym mężczyzną. Powiedzieli, żebym wydał wszystkie rzeczy. Ja powiedziałem, że to sprawa moja i Maski, że tego człowieka to nie powinno interesować. Uparłem się, że nie wydam niczego, dopóki Maska nie zwróci mi pieniędzy. Wtedy ten mężczyzna chciał mnie uderzyć pięścią w twarz. Ja się uchyliłem. Po mojej prawej stronie stała Maska i ona dostała w głowę. Przewróciła się i upadła na kaloryfer. Już nie wstała. Ja się przeraziłem, a ten mężczyzna powiedział, że on nie chciał jej zabić, że to moja wma.

— Więc Maria Adamczyk została zamordowana w panu mieszkaniu?

— Tak — odpowiedział Kostecki.

— Gdzie jest jej ciało? Gdzie znajdują się zwłoki? Rodzina chciałaby je pochować. To przecież należy sę każdemu człowiekowi?

— Tamten mężczyzna zagroził, że mnie zabije, jeżeli nie będę robił tego, co on mi każe. Najpierw kazał uciąć nogi... tej kobiety... Musiałem wyko

143

142

nać jego polecenie. Włożyliśmy zwłoki do worka i wyjechaliśmy moim samochodem z Krakowa, żeby je gdzieś ukryć. Pojechaliśmy w kierunku Tarnowa.

Początkowo chcieliśmy zakopać worek obok Mogiły Ofiar Hitlerizmu, ale w końcu mężczyzna kazał mi zatrzymać samochód zaraz za Wojniczem, i wyszedł z workiem. Nie wiem, czy wrzucił go do Dunajca, czy do jakiegoś dołu. Nie rozmawiałem z nim o tym. W Krakowie kazał się zawieźć na Sienkiewicza i jeszcze raz zagroził, że jeżeli coś powiem milicji, to on zemści się na moich dzieciach.

Zbigniew Kostecki zapewniał, iż obawa przed zemstą nieznanego mężczyzny wstrzymywała go od ujawnienia prawdy. On me miał wyboru. Musiał ukrywać prawdę i narazić się na zarzut, że to on zamordował **Maskę**, gdyż bał się tamtego gościa. A teraz jest zupełnie szczerzy i żeby to udowodnić, powie o bilecie lotniczym, który oddał w kasach LOT, bo Maska miała lecieć do Warszawy w dniu 5 lipca.

A rzeczy, które u niego znaleziono, to tylko w części były zastawem. Część ich została po zabójstwie. Co miał z nimi zrobić? Oddać mężowi? Zostawił u siebie.

■ Będziemy szukali tego mężczyzny — zapewnił prokurator. — Podał pan dość ogólny rysopis, bo brunetów jest wielu, ale najważniejsza jest sugestia dotycząca miejsca pracy. Sprawdźmy wszystkich brunetów o okrągłych twarzach pracujących w tym resorcie. Będzie pan mógł go zdemaskować...

144

■ Ja go rozpoznam. Ja go do końca życia nie zapomnę — deklarował podejrzany.

Po tygodniu, kiedy prokurator zapowiedział Kosteckiemu, że wkrótce będzie można zacząć serię konfrontacji, ten wyraźnie się zdenerwował. Milczał chwilę, a w końcu stwierdził:

— Te konfrontacje, nie mają sensu. One nic panu nie dadzą. Ja tego mężczyzny nie poznam. To dawno było i jego wygląd już mi się zatarał w pamięci. A brunetów Chodzi po świecie wielu, prawda? A oskarżyć niewinnego człowieka? Nie, ja tego nie potrafię.

Czynności śledcze w sprawie zaginięcia Marii Adamczyk trwały. Szukano wszelkich śladów i poszlak, umożliwiających odtworzenie jej ostatnich dni życia. Świadcówkowie widzieli ją razem z Kosteckim w mieście, widzieli też, że wchodziła z nim do domu przy Lenartowicza 17. Stamtąd już nie wyszła.

Specjalistyczna ekipa techników z laboratorium kryminalistycznego zbadała dokładnie mieszkanie zajmowane przez podejrzanego. Szukano śladów krwi na kaloryferze, na dywaniku i w szparach klepek parkietu. Było wprost niemożliwe, aby przy kawalkowaniu zwłok sprawca nie poplamiał podłogi lub ściany. Śladów krwi jednak nie znaleziono. Bez rezultatów wróciła również z terenu inna ekipa, której polecono przeszukanie okolic Wojnicza i dość dużego odcinka Dunajca.

Gdzie morderca umieścił zwłoki swojej ofiary? Na pewno nie przechowywał ich w mieszkaniu.

10 — Zbrodniarz

145

Może pokawalkowane przeniósł do bagażnika. Ale dokąd pojechał?

Prokurator Stańczewski zastanawiał się nad możliwościami, jakie miał Zbigniew Kostecki, ale nie potrafił sprecyzować jakiegoś prawdopodobnego miejsca, które stało się grobem Marii Adamczyk. Wiedział natomiast, że nieznaną mężczyznę jest postacią wymyśloną przez podejrzanego. Maria Adamczyk przyszła sama, nikt na nią nie czekał przed domem, nie wychodziła zresztą zaraz po przyjeździe. Widziano ją przecież następnego dnia.

Przestępca, szukając alibi i wymyślając nie istniejącą postać sprawcy, mimo woli przypisał mu rzeczywiste działania podjęte przez Siebie — uznał prokurator.

Jeżeli więc Zbigniew Kosteczki wspominał o kawałkowaniu zwłok, to chyba mówił prawdę. Może rzeczywiście miał zamiar wrzucić je do rzeki lub do jakiegoś dołu.

Prokurator w prowadzonej grze nie zrezygnował z atutu, jaki uzyskał zapowiadając konfrontacje, których w rzeczywistości nie przygotował, gdyż nieprecyzyjność rysopisu i wahania Kosteckiego upewniły go, że postać jest zmyślona. Kiedy podejrzany zaczął się wyraźnie wycofywać, uspokajał go, twierdząc, że jeżeli się nawet pomyli, to nie stanie się nic złego, bo człowiek ten wykaże swoją niewinność. A przecież istnieje szansa, że trafi i morderca odpowie za swoją zbrodnię.

— Przeprowadzimy jednak konfrontację — zapowiedział.

— Nie ma potrzeby, panie prokura torze...

146

— Dlaczego? Zna pan tego człowieka?

— Zadnego mężczyzny nie było. Ja go wprowadziłem do wyjaśnień, żeby było ciekawiej i żeby oddalić podejrzenia od mojej osoby. Prawda była taka, jak powiedziałem na początku. Maskę przyjechała, pokłóciliśmy się i kiedy poszła do łazienki się umyć, ja zabrałem jej pierścionki i inne rzeczy. Zrobiła mi o to awanturę. Kazałem jej wyjść z mojego mieszkania." Wyszyła i co stało się dalej, nie wiem. Może pojechała do Kielc, bo tam też jeździła za interesami.

— Czyli tamte wyjaśnienia były kłamstwem?

— Ja tak wyjaśniałem, bo pan prokurator podsunał mi taką wersję.

— Ja to zrobiłem? Kiedy i w jaki sposób?

— Po prostu pan mnie sprytnie podszedł. Pokazał pan ten klucz. Ja nie wiedziałem, skąd on się znalazł, nie miałem innej odpowiedzi, więc opowiedziałem bajkę o tym mężczyźnie.

— Zaczniemy w takim razie od początku. Pokażemy panu dowody rzeczowe: neser, kostium damski, sukienkę różowo-fioletową, sukienkę jasnoniebieską — wyliczał z pamięci. Znał te przedmioty, powracał do nich codziennie w czasie przesłuchiwania świadków lub podejrzanego. — Sweter jasnobłękitny, bluzkę damską w biało-różowe paski, buty damskie, okulary przeciwsłoneczne, papierośnicę, tusz, igielnicę...

Prokurator polecił przynieść część tych przedmiotów. Podejrzany wskazywał, które należały do zaginionej, a które są jego własnością. Przy kierpeach zawałał się.

147

— Naprawdę te buty znaleźli milicjanci w moim mieszkaniu? Nie wiem, skąd tam się wzięły..^

— Po morderstwie zdjął je pan z nóg Maskus Milczenie, a potem szybko urywane zdania:

— Ja nie wiem, naprawdę nie wiem, może była w lipcu w tych butach, a może zostawiła je wcześniej. Ja proszę o przerwanie przesłuchania.

Następnego dnia Zbigniew Kosteczki wrócił do wersji, w której występował nieznany mężczyzna. Uznał, że będzie to dla niego bezpieczniejsze. Ostatecznie — rozumował, nie rozpozna nikogo. Będzie się zastanawiał i powątpiewał: „panie prokuratorze, on jest trochę podobny, ale ja nie mogę powiedzieć na sto procent...”

Prokurator Stańczewski przewidywał zmianę manewru i był na nią przygotowany.

— Zadnego mężczyzny, panie Kosteczki, nikt z Masią przed pana domem nie widział. Po prostu go nie było. Ani przed domem, ani w mieszkaniu. Dokładnie sprawdziliśmy każdą minutę pobytu Adamczykowej w Krakowie. Wiele osób was widziało. Widziały one, jak Adamczykowa wchodziła do mieszkania, a nie widziały, jak z niego wychodziła. Wyniósł ją pan w worku do samochodu — powiedział zaskoczonym Kosteckiemu.

— Proszę mnie dzisiaj nie przesłuchiwać. Ja panu powiem prawdę, mam do pana zaufanie — płacziwie odpowiedział Kosteczki. — Dotychczas kłamałem ze względu na moje dzieci. Nie chciałem, żeby przeżyły taki wstyd. Niech mi pan chociaż raz zaufa, błagam pana o to. Po świętach po- > wiem panu całą prawdę...

148

Było to "3 grudnia 1971 roku. Po świętach wyjaśnił:

— Przyszła, że zabiłem Marię Adamczyk, ale zrobiłem to w nerwach. Gościa* zadnego nie było. Pokłóciliśmy się. Zażądałem od niej pieniędzy. Ona uderzyła mnie w twarz, a następnie chwyciła statuetkę z metalu i zamierzyła się na mnie. Wyrwałem jej tę statuetkę i uderzyłem nią Maskę w usta. Zaczęła krzyczeć, wówczas zatkałem jej usta i nos. Uduśliła się...

Nawet w tym momencie, który miał być „oczyszczającym sumienie”, zbrodniarz szukał okoliczności łagodzących.

Zabił, bo musiał się bronić. Przez dwa lata wymyślał przeróżne wersje mające wykazać jego niewinność. Bawił się nimi. Z jednej przechodził do drugiej, prostował poprzednie, mówił, że kłamał dla żartu. Po prostu, aby przekonać się, co naprawdę milicja i prokuratura wiedzą. Podczas przeprowadzania rewizji w jego mieszkaniu wyskoczył przez balkon na ulicę, żeby przekazać synowi woreczek celofanowy z dolarami i gotówką ukradzionymi z mieszkania Emilii S.

— Wiemy o tym — stwierdził prokurator.

— Ale teraz mówię całą prawdę. Już nie kłamię. Przyszedłem do pana do zabójstwa i do tych dolarów, które wyniosłem, żeby nie było dowodu. Powiem wszystko do końca. Z Emilią S. i jej córką też było inaczej. One mówiły prawdę. Myśmy ze sobą żyli, ale ja zaprzeczałem, bo chodziło mi o moją żonę i dzieci. Przysznawał się do winy i natychmiast szukał

149

motywu, który w jego przekonaniu mógł być wzięty pod uwagę przez wymiar sprawiedliwości.

Prokurator Stańczewski nie przyjął tej skróconej wersji wydarzeń, podczas których śmierć poniosła Maria Adamczyk.

— Klótnia, o której pan mówi, i cios, jaki pan zadał Adamczykowej, miały miejsce wieczorem, a nie po przyjeździe Maski do Krakowa — powiedział spokojnie. — Zależy mi na dokładnych wyjaśnieniach i takie mi pan przyobiecał...

— Ja chyba dobrze pamiętam...

— Kilka osób widziało Maskę w sklepie przy Grodzkiej i w komisach na Rynku. Byliście razem w kasie LOT. Pan powiedział kasjerce, że nie ma pan dowodu przy sobie. Byliście w sklepie z płytami przy Floriańskiej. Chce pan konfrontacji?

— Po co? Tak było.

— Więc...?

— Adamczyk szukała w Krakowie srebrnej zastawy i nie dosł kła jej. Następnego dnia po południu przyszła do mnie i zrobiła mi awanturę. Żądała, żebym sprzedał jej moją zastawę i jeszcze odwiózł ją samochodem do Warszawy. Ja się nie zgodziłem ani na jedno, ani na drugie. Klóćliśmy się. Ona próbowała wycygnąć zastawę i zapewniała mnie, że wyśle ją do Stanów, a kiedy ja tam pojadę, to odbiorę od Weitzmanów pieniądze. Nie uwierzyłem w tę bajkę. Przecież Weitzmanowie wycofali zaproszenie i kaucję. Powiedziałem, że jeśli załatwi mi zaproszenie, to dostanie zas*awę.

* Klótnia trwała długo. Wiem, że tego dnia Maskę

150

była chora. Chyba jakieś przebiegnięcie. Zrobiłem jej herbatę i jajecznicę. Wieczorem znów doszło do awantury. Na pewno było już ciemno i miałem zaciągnięte story w oknach. W pewnej chwili Maskę powiedziała, że odbiera wszystkie swoje rzeczy ode mnie i zrywa. Zgodziłem się pod warunkiem, że zapłaci dziesięć tysięcy. Uderzyła mnie wtedy w twarz i zamachnęła się statuetką. Resztę już opowiedziałem...

Przyznanie się Kosteckiego było ważnym momentem w tym trudnym, bezprecedensowym śledztwie. Ale prokuratorowi zależało na ustaleniu, co stało się ze zwłokami. Znał dokładnie życiorys Zbigniewa Kosteckiego, łącznie z jego mistyfikacjami (inżynier, hrabia, rajdowiec, właściciel stadniny, właściciel fabryki itd.), i wiedział, że był on czeladnikiem rzeźniczym. Poza tym już raz wspominał o kawałkowaniu zwłok. Zapytał więc wprost:

— W jaki sposób zabezpieczył pan podłogę podczas kawałkowania zwłok? Przecież mogła się poplamici krwią...

— Położyłem folię, miałem ją w kuchni, i obłożyłem gazą — odpowiedział zaskoczony Kosteczki.

— Odcinanie kończyn nie sprawiło panu większych trudności, prawda? Jako były czeladnik rzeźniczy umie pan okrawać mięso i oddzielać kości w stawach...

Kosteczki w dalszych wyjaśnieniach skoncentrował się na makabrycznym opisie czynności masarskich wykonanych przez niego na zwłokach ofiary.

151

— Przyznam się panu — przerwał w pewnej chwili — że czasami żałuję, że to wszy- ko opowiedziałem.

— Dlaczego pan żałuje?

— Boję się strasznie wstydu...

— Przed kim? Przed ludźmi? Przed znajomymi?

— Przed moimi dziećmi...

Morderca wrócił do swej opowieści. Wyjaśnił, że postanowił zakopać resztki zwłok poza Krakowem. Wyjechał z miasta i obok osiedla Kalinowego, gdzie budowano wówczas wiadukt, zatrzymał się. Chciał tam porzucić worek z folią, gazą i kość-cem zamordowanej. Zrezygnował jednak z tego planu. Budowa była w takim stanie, że pogłębiając wykopy szybko znaleziono by worek z częścią zwłok. Pojechał więc na Grunwaldzką. Budowano tam basen kąpielowy.

Krytycznie ocenił możliwości ukrycia worka i wrócił do garażu przy ulicy Kieleckiej. Tam wpadł na pomysł spalenia kośćca. Przygotował piec ogrzewający kocioł centralnego ogrzewania i przystąpił do ostatniego etapu swojego makabrycznego czynu. Palił zawartość worka partiami, co jakiś czas wygarniał popiół i wrzucał go do pojemników na śmieci.

— Przez kilka dni sprawdzałem, czy już Zakład Oczyszczania M^osta wywiózł śmieci. Nie dawało mi to spokoju. Dopiero później odetchnąłem. Byłem pewny, że zatarłem ślady i nigdy nie wyjdzie to na jaw ..

— Musiało wyjść. Mieliśmy bardzo dużo dowodów. Przede wszystkim biżuterię Marii Adamczyk,

152

jej drobiazgi, nawet notes, z którego wydarł pan kilka kartek i używał jako własny. Podobnie z zapalniczką, papierośnicą i kluczem. Do czego on miał służyć?

— Nie wiem. Może by się przydał. Bardzo żałuję, że byłem taki chciwy...

— Czy tylko tego pan żałuje?

— Wie pan — zaczął po dłuższym milczeniu — wtedy, kiedy obiecałem panu, że powiem prawdę, ale po świętach, to myślałem sobie, żeby powiedzieć, że zwłoki zakopałem w lesie. Bym wskazał jakiś las, a w razie czego to bym twierdził, że nie mogę sobie dokładnie przypomnieć i trafić w to miejsce. W końcu zrezygnowałem i powiedziałem prawdę. Wtedy, kiedy pan mówił, że należałoby człowiekowi pogrzeb zrobić, coś się we mnie stało takiego, że już nie kłamałem...

W protokole odnotowano: „stwierdza się, że podejrzany w tym momencie płacze”.

Szóstego kwietnia 1972 roku Zbigniew Kostecki zeznał:

— Poza tym, co powiedziałem o zabójstwie Marii Adamczyk, którą zabiłem w nerwach, chcę wyjaśnić, że gazę ukradłem z Zakładów Mięśnych. Pieprz i sztuczne jelita też. Nici, przędzę i sznurek również skradłem z magazynów. Podczas rewizji w moim mieszkaniu przekazałem synowi trzy tysiące siedemset dolarów i około stu pięćdziesięciu tysięcy złotych. Z tego dwa tysiące to właśnie Emilii S., z której mieszkania je zabrałem.

Koło zamknęło się.

Prokurator Stańczewski przeprowadził jeszcze

153

kilka czynności śledczych, jeden eksperyment i zwrócił się do władz miejskich o ustalenie, w jakim stanie znajdowały się budowy, o których wspominał

Zbigniew Kostecki. Okazało się, że tym razem nie kłamał. Był to kolejny ważny element w łańcuchu poszlak.

Skierowany do Sądu Wojewódzkiego w Krakowie akt oskarżenia zarzucał Zbigniewowi Kosteckiemu urodzonemu 11 maja 1923 roku w Krośnie, czeladnikowi

rzeźniczemu, właścicielowi dwóch samochodów i parceli budowlanej, zamordowanie Marii Adamczyk, kradzież materiałów o wartości 128 tysięcy złotych z

Zakładów Mięśnych, kradzież 190 tysięcy złotych i dwóch tysięcy dolarów z mieszkania Emilii S., kradzież cbruśów, lyżeczek i innych drobiazgów z

mieszkania współlokatorki K., kradzież kostiumu skórzanego stanowiącego własność jego siostry i... usiłowanie przekupienia funkcjonariusza MO, któremu

Kostecki oferował w pierwszych dniach śledztwa 40 tysięcy złotych za umorzenie sprawy.

Taka hojność patologicznie chytrego człowieka zaostrzyła uwagę władz śledczych.

Po rozpoczęciu rozprawy Kostecki odwołał swoje zeznania. Nie przyznawał się do winy. Przeszedł następnie badania psychiatryczne w Grodzisku

Mazowieckim.

Jako całkowicie zdrowy na umyśle stanął przed sądem i nadal twierdził, że jest niewinny, a zarzuty są niesłuszne.

Prokurator przemawiając podczas rozprawy powiedział:

154

„Wysoki Sądzie! Wyjątkowy jest to proces i wyjątkowa jest osobowość oskarżonego. Ten człowiek o dwudziestu obliczach znał tylko jedno uczucie: kochał mić wszystko i chciał uchodzić za kryształowo czyste. Z tego zrodziło się nieszczęście Marii Adamczyk i nieszczęście jego. Maria Adamczyk poniosła śmierć, bo chciała odebrać mu nadzieję na upragniony wyjazd i zapowiedziała całkowite zerwanie. Nie było to zaplanowane morderstwo i dlatego miało ono taki przebieg. Dlatego też wysłuchaliśmy podczas śledztwa i podczas przewodu sądowego tak rzadko spotykanej orgii kłamstw, w których zbrodniarz kurczowo szukał alibi i musiał wreszcie złożyć broń”.

Sąd skazał Zbigniewa Kosteckiego na łączną karę 25 lat więzienia. Sędziowie przyjęli, iż mimo braku „corpus delicti”, oskarżony jest winien zabójstwa Marii

Adamczyk.

Po takim śledztwie nie mieli żadnych wątpliwości.

Śmierć pisarza

Dwudziestego sierpnia 1971 roku kończąc wieczorny dziennik telewizyjny spiker przekazał słuchaczom informację, iż poprzedniego dnia zamordowano

znanego pisarza i dziennikarza, redaktora naczelnego tygodnika „Forum”, Jana Gerharda.

— Organa ścigania prowadzą pod nadzorem prokuratury energiczne śledztwo. O jego wynikach poinformujemy naszych widzów — wyrecytował spiker.

Wiadomość o śmierci autora „Lun w Bieszczadach” poruszyła środowisko literackie. Nadało jej ono znaczenie polityczne i sugerowało, w jakich kręgach należy szukać zabójcy.

Prokurator Wiesław Krassowski, desygnowany przez Prokuraturę Generalną do kierowania i nadzorowania czynnościami śledczymi prowadzonymi przez Biuro

Śledcze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pojechał na miejsce zbrodni przy ulicy Matejki nr 4 w Warszawie i zapoznał się z wynikami oględzin. Sierżant

Komendy Stołecznej MO, który jako pierwszy zjawił się w mieszkaniu redaktora, stwierdził w swym raporcie, iż drzwi do mieszkania były otwarte, a w pokoju,

gdzie leżały

156

zwłoki, panował nieopisany wprost bałagan. Szufłady z biurka i z szafy segmentowej były powyciągane, na podłodze leżały kartki z kartoteki i notatki służące

pisarzowi w jego pracy. Ślady te wskazywały, iż zabójca poszukiwał dokumentów, które chciał prawdopodobnie zniszczyć.

W ciele ofiary tkwił metalowy sztylet, a na szyi był zaciśnięty pasek od spodni.

Specjaliści z Biura Kryminalnego Komendy Głównej i z Instytutu Ekspertyz Sądowych podczas pierwszych oględzin miejsca zbrodni nie znaleźli śladów, które

umożliwiłyby podjęcie pościgu za zabójcą. Na sztylcie tkwiącym w plecach ofiary nie udało się utrwalić odcisków linii papilarnych, a w łazience, do której na

pewno wchodził zabójca, zauważono jedynie nikle ślady obuwia.

Technik kryminalistyki ustalił dwa różnej wielkości ślady butów na płytkach terakotowych, co mogło wskazywać, że sprawców było co najmniej dwóch i że

zmywali nad wanną ślady krwi z rąk, a może nawet z odzieży. Zachowywali się więc swobodnie, wiedzieli, że nikt nie wejdzie do mieszkania.

Zamki przy drzwiach wejściowych (jeden z nich oparty na skomplikowanym patencie francuskim) nie nosiły śladów używania wytrychów lub podrobionych

kluczy. Zabójcy posługiwali się więc oryginalnymi kluczami lub zostali wpuszczeni do mieszkania przez pisarza. Prokurator Krassowski uważał, że ustalenia te

zakreślają krąg podejrzanych i są dla śledztwa niezmiernie cenne. Nie wiedział jeszcze wówczas, że do najbliższego otocze-

157

nia pisarza należały setki osób. Jego znajomości, które można było określić jako serdeczne, sięgały daleko poza Warszawę, a o niektórych wiedziały tylko dwie

osoby: znajomy lub znajoma oraz redaktor Gerhard.

Podczas wizji w mieszkaniu pisarza zwrócono uwagę na układ plam krwi na ścianach przedpokoju i na podłodze. Na tej podstawie technik śledczy wysunął

wniosek, że pierwsze dwa ciosy zabójca zadał pisarzowi, gdy ten odwrócony był do niego plecami, a jednocześnie twarzą do drzwi wejściowych.

Czyli wpuścił zbrodniarza i chciał zamknąć drzwi, pomyślał prokurator.

Przy zamordowanym, w tylnej kieszeni spodni, znajdowały się dwa tysiące złotych, na przegubie ręki zegarek, a przy prawej dłoni — drugi, z

wgniecionym szkiełkiem. Pierwszy zatrzymał się na 11.19, stłuczony o dwie minuty później.

W bielizniarce leżały drobne wyroby złotnicze i jubilerskie. Sprawców nie interesowały więc pieniądze ani kosztowności. W takim razie czego szukali w

szufładach? Dlaczego porzucali notatki z materiałami do książek i z nazwiskami przyszłych lub już opisanych bohaterów?

Jednocześnie z morderstwem stwierdzono zaginięcie peugeot'a należącego do pisarza. Komendy MO w całej Polsce otrzymały polecenie zatrzymania lub

odnalezienia zabranego prawdopodobnie przez zabójców samochodu osobowego. Poszukiwania trwały kilkanaście godzin. Peugeot stał przy ulicy Bagno.

Wysłana ekipa nie zdołała jednak za

158

bezpieczyć jakichkolwiek wartościowych procesów śladów identyfikujących zabójców.

Prokurator Wiesław Krassowski wraz z pułkownikiem Zbigniewem Puńdyszem z Biura Śledczego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przystąpili do

zrekonstruowania prawdopodobnego przebiegu tragicznego wydarzenia w mieszkaniu przy Matejki 4 W Warszawie. Łączyli zaobserwowane szczegóły W

logiczny ciąg faktów i doszli w swoich rozważaniach do następujących wniosków:

Rankiem 20 sierpnia Jan Gerhard wstał, ogolił się, wziął kąpiel (twarz ofiary była starannie wygolona, skropiona wodą po goleniu), włożył dolne części odzieży

i usłyszał dzwonek u drzwi. Nie wkładając koszuli przeszedł do przedpokoju, zobaczył przez wizjer znajomą twarz i — nie krępując się niekompletnym strojem — wpuścił do mieszkania swojego gościa. Napastnik zadał mu ciosy twardym narzędziem w momencie, gdy pisarz był odwrócony do niego tyłem. Po pierwszych uderzeniach ofiara zachwiała się, pochyliła do przodu i w takiej pozycji otrzymała kolejne uderzenia (drugi rodzaj rozbrzydów krwi na ścianach). Po tej serii pisarz przewrócił się, a zabójca uznał, iż osiągnął swój cel. Chwilę później ranny odzyskał przytomność i usiłował wyczołgać się z przedpokoju. Morderca zauważył to i zadał kolejne cztery ciosy w plecy ofiary. Silny organizm napadniętego jeszcze się nie poddawał. **Wówczas** nastąpił koniec tragedii: zbrodniarz założył pisarzowi pasek na szyję, zawiązał pętlę i saciągnął. Lekarze z Zakładu Medycyny Sądowej

159

orzekli, że właśnie zadławienie przez zagardlenie było bezpośrednią przyczyną śmierci redaktora Jana Gerharda.

Opis ten wydawał się prowadzącym śledztwo bardzo ważny, pośrednio wskazywał na sprawcę lub sprawców. Wiele uwagi poświęcono również dwóm zegarkom znajdującym się przy zwłokach. Dlaczego pisarz używał tego ranka aż dwóch czasomierzy? Jeden z nich miał mechanizm samona-krećący i zatrzymał się po całkowitym rozluźnieniu się sprężyny. Przeprowadzono doświadczenia. Ustalono, iż podczas snu człowieka mającego na przegubie zegarek mechanizm samonakrećający tylko nieznacznie naciągnie sprężynę. Dopiero przy porannej toalecie i innych czynnościach następuje dalsze nakrećanie. Jeżeli jednak zegarek pisarza samoczynnie zatrzymał się o 11.19, to musiał tkwić nieruchomo na przegubie co najmniej kilka godzin: na pewno nie mniej niż dwie lub trzy. W takim razie sprawcy, podsuwając drugi zegarek, który nastavili na 11.21, mieli wyjątkowe szczęście, a zarazem pecha. Szczęście polegało na trafieniu w niemały identyczny czas, w jakim zatrzymał się samoczynnie pierwszy zegarek, pech dotyczył zdemaskowania się przed prowadzącymi śledztwo, którzy przyjęli, iż sprawcom chodziło o zasugerowanie milicji i prokuratorowi, iż zabójstwa dokonano o 11.21. Na tę godzinę mordercy na pewno przygotowali sobie alibi.

To, iż napad nastąpił wcześniej, potwierdzały także wyniki sekcji.

Jeżeli jednak zabójstwo nie miało tła rabunko

160

wego, co było jego celem? Zdobyć jakichś materiałów czy zemsta?

Nie ulegając naciskowi przyjaciół zamordowanego, którzy domagali się szybkiego ujęcia sprawców, ekipa śledcza kierowana przez prokuratora Krassowskiego i współpracującego z nim pułkownika Pudysza z wielkim spokojem i benedyktyńską cierpliwością zbierała materiały o przypuszczalnych zbrodniarzach. Nie ograniczono się do widocznych śladów na podłodze łazienki i na sztylcie. Przekazano także do badania odzież zamordowanego. Chodziło o zebranie z niej mikrośladów, jakie pozostawia — zawsze zabójca, którego ubranie dotyka ubioru ofiary.

Badanie mikrośladów jest jednym z najnowszych osiągnięć kryminalistyki. Na podstawie mikrośladów można udowodnić sprawcy jego obecność na miejscu zbrodni nawet wtedy, kiedy zastosował on najbardziej wymyślne próby maskowania się i najdalej posuniętą ostrożność. Istnieje pogląd, że żaden zbrodniarz nie potrafi zachować się tak w czasie przestępczego działania, aby wykluczyć możliwość pozostawienia po sobie mikrośladów.

Polska milicja, a przede wszystkim jej służby kryminalne, mają w ujawnianiu mikrośladów niewątpliwie sukcesy. O jednym z nich pisali autorzy w biuletynie zakładu kryminalistyki i prokurator Krassowski przypomniał sobie ową publikację.

Dotyczyła ona morderstwa popełnionego na jedenastoletnim chłopcu, którego zwłoki znaleziono w małym łasku. Tuż obok miejsca, w którym znaleziono ciało ofiary, rosło kilka młodych sosenek.

U — Zbrodniarz

161

Podczas poszukiwania śladów zosi swionych przez przestępcę dostrzeżono w świetle ręcznej lampy halogenowej nieliczne ślady włókien. Znajdowały się one na ubraniu zamordowanego i na gałęziach zwisających nad zwłokami. Badania mikroskopowe wykazały, że są to włókna poliakrylonitrylowe, poliamidowe, wełny owczej oraz wiskozowe. W odzieży chłopca oraz w jego domu rodzicielskim nie znaleziono niaierisłu o tok'eh włóknach. Podczas rewizji w mieszkaniu podejrzanego o zabójstwo zabezpieczone m.in. marynarkę ze sztucznej skóry z kołnierzem utkanym na wzór futra oraz parę rękaw czek robionych na dra ach. Po mikroskopowym przebadaniu łącznie 1210 śladów stwierdzono zgodność cech zabezpieczonych włókien zdjętych z sosen z włóknami sztucznego kołnierza futrzanego i rękawiczek. Były one identycznego koloru i idc tyczny był ich skład chemiczny. Określono mikroskopową strukturę włókien, porównano ich przekroje, rozkład grubości, oznaczenie dwójłomno ci pojedynczych w"okien, spektroskopię w podczerwieni i chromatografię gazową.

W przypadku zabójstwa redaktora Jana Gerharda ekipa śledcza spodziewała się, iż pracownicy laboratorium kiyn nalisyki zdołają odszukać na przesłanej im do b dania odzieży ofiary pewną liczbę mikrośladów.

Aczkolwiek pozostawienie przez zabójców pieniędzy, zegarków i biżuterii sugerowało, iż nie chodziło im o łup materialny, sporządzono spis wszystkich przedmiotów wartościowych znajduj

162

cych się w mieszkaniu. Miało to istotne znaczenie w późniejszych działaniach, gdy już powróciła do Warszawy żona pisarza. Przedtem oficerowie prze-prowadzili rozmowy z mieszkańcami domu przy ul. Matejki i z współpracownikami Gerharda z redakcji „Forum”. Na tej podstawie odtworzyli przeciętny dzień ofiary. Jan Gerhard do południa przebywał na ogół w mieszkaniu, gdzie pracował nad swoimi skryptami powieściowymi. Około czternastej przyjeżdżał do redakcji, czytał materiały, ustalał koncepcję numeru, zatwierdzał teksty i wydawał najważniejsze dyspozycje swoim zastępcom oraz podległym pracownikom. Wracał na ulicę Matejki tuż po siedemnastej i zasiadał ponownie do pracy. Był niezmiernie płodnym pisarzem. Wieczorem odwiedzali go przyjaciele, znajomi lub interesanci. Jego kontakty towarzyskie i przyjacielskie były niezwykle ożywione. W ciągu paru miesięcy przyjął w swoim mieszkaniu kilkaset osób. W roku dawało to sporą liczbę, przekraczającą dwa tysiące kobiet i mężczyzn.

Może wśród nich znajdował się morderca?

Ekipa śledcza ustalała listę osób kontaktujących się z zamordowanym. Nie ograniczano się, rzecz jasna, do współpracowników i przyjaciół. Wpisywano na nią nazwiska nawet przelotnych znajomych. W jednej z wersji wydarzeń przyjęto, że pierwszą osobą, która weszła do mieszkania, była kobieta, za nią dopiero dostali się mężczyźni (znaleziono na podłodze trzy różne włosy: jeden z nich długi, kobiecy, może właśnie współniczki morderców?).

163

Informacje dostarczone przez kilku świadków wskazywały, iż zabójcy należy szukać w Sw no-ujściu. Pisarz wspominał bowiem tym ludziom, że podczas ostatniego pobytu nad morzem, w grudniu 1969 roku, spotkał człowieka, o którego śmierci był przekonany. Określił to słowami: „widziałem ducha”, i nie ukrywał wstrząsu, jaki to spotkanie wywołało. W połowie 1970 roku Jan Gerhard otrzymał anonim skomponowani z liter, którymi złożono tytuły kilku jego książek. Autor anonimowi zapowiadał zemstę i proponował, aby ofiara sama wyznaczyła sobie datę i godzinę śmierci.

Inni świadkowie powiedzieli przesłuchującemu ich prokuratorowi, że widzieli redaktora Gerharda z podejrzanym, nie znanym im osobnikiem, w przeddzień zabójstwa, wieczorem 19 sierpnia.

Jak do tej chwili założenia śledztwa potwierdzały się: zabójca mógł zostać wprowadzony przez ofiarę. Mógł być nim zarówno „duch ze Świnoujścia”, jak i mieszkaniec Warszawy.

Nastąpiło jednak wydarzenie, które zmieniło tory śledztwa. Nie wykluczyło przebiegu zajścia odtworzonego na podstawie rozprysków krwi i braku śladów naruszeń zamków, ale podsuwało precyzyjny motyw zbrodni: rabunek! Otóż oficerowie śledczy przedstawili żonie zamordowanego spis przedmiotów, jakie zastał w mieszkaniu pisarza w dniu wykrycia zbrodni, i poprosili o wyjaśnienie, czy nic nie zginęło. Żona i córka p sa-rza nie mogły, co prawda, wiedzieć, czy za or-dowany miał tego dnia więcej gotówki (znale^LO,

164

dwaście tysięcy złotych), wróciły bowiem po kilku tygodniach nieobecności do kraju, ale pamiętały, jakie wyroby jubilerskie znajdowały się w mieszkaniu. Ustaliły, iż brak pierścionka z dużym zielonym kamieniem, pierścionka z dwoma rzędami szafirów, naszyjnika z wisiorkiem i spinek do koszuli.

Ponownie przejrano wszystkie szuflady i przeszukano dokładnie każdy pokój. Nie znaleziono nigdzie wspomnianych kosztowności. Świadczyło to, iż sprawcy potraktowali napad na pisarza także jako wyprawę bandycką, o czym dotychczas nie wspominała żadna z wersji śledztwa. Łup był mizerny, zabrany, chyba przez jednego z zabójców, podczas gdy drugi był zajęty czymś innym. Wylaniała się więc kolejna zaskakująca wersja wydarzeń: oto człowiek, który chciał zgładzić pisarza, bierze sobie do pomocy zawodowego rzeźmieszką i złodzieja, który — chociaż zapewnił swojego „pracodawcę”, że niczego nie ruszy — zabiera kilka drobiazgów.

Prokurator Krassowski szukał rozwiązania zbrodniczej zagadki również na kartach powieści napisanych przez Jana Gerharda. Wynotował z nich nazwiska bohaterów lub prezentowanych przeciwników politycznych. Podkreślał te, które w jego odczuciu należały do szczególnie zacietrzewionych nacjonalistów ukraińskich lub syjonistów. W tych środowiskach spodziewał się znaleźć sprawcę lub organizatora morderstwa.

W notiesie kieszonkowym należącym do pisarza, w rubrykach od 15 do 20 sierpnia, widniały

165

dwa tajemnicze zapiski. Były to czteroliterowe skróty pojęć lub nazwisk. Pierwszy zapis brzmiał: „zgmt”, drugi — „netr”.

Założono, że „zgmt” można odczytać jako skrót imienia „Zygmunt”. Ze spisu bliższych lub dalszych znajomych pisarza wyszukano męczyzn noszących to imię. Przesłuchani — poza narzeczonym córki pisarza — twierdzili, że nie byli_ umówieni z Gerhardem w tym okresie, natomiast, narzeczony Małgorzaty,

Zygmunt Garbacki przyznał, że zapowiedział przyszłemu teściowi swoją wizytę w redakcji i doszła ona do skutku 16 sierpnia.

Sprawę zap sko „zgmt” uznano za wyjaśnioną. Szukano jednak nadal rozwiązania drugiego skrótu: „netr”.

Odtworzono zajęcia, którymi zajmował się pisarz w ostatnich dniach swojego życia, starano się dowiedzieć, jakie miał plany, co za; itwiał, czy przypadkiem nie zawierał transakcji finansowych. Liczba przesłuchanych przekroczyła już tysiąc osób, a każde zeznanie zaczynało kolejną wersję wydarzeń.

Pisarz w przeddzień swojej śmierci odwiedził siedzibę ZAIKS-u i zakupił pięć czeków wymiennych w krajach demokracji ludowej oraz kilkadziesiąt lewów. Potwierdziło to informacje o planowanym przez pisarza wyjeździe na krótki odpoczynek do Bułgarii. W kasie ZAIKS-u udzielono prokuratorowi dodatkowych informacji o czekach: miały one numery D-0175536, D-0175537, D-0175538, C-2138321 oraz B-1005453. Kasjerka

166

przypomniała sobie, że w pośpiechu nie dopilnowała, aby pisarz podpisał przy niej wykupione czeki.

Czeków nie odnaleziono w mieszkaniu. Zostały więc przywłaszczone przez napastników. Ponieważ nie były podpisane, mogli je sami zrealizować za granicą lub odstąpić turystom udającym się do któregoś z krajów demokracji ludowej. Otwierało to śledztwu kolejną drogę do sprawców. Wystarczyło odzyskać czeki, a

potem dotrzeć do osób, które znalazły się w ich posiadaniu. Bank Handlowy S. A. w Warszawie, wystawca czeków turystycznych, a zarazem dłużnik wobec zagranicznych banków, które te czeki honorują, powiadomił prokuraturę, iż może przekazać jej wymienione czeki dopiero po zamknięciu roku obrachunkowego, czyli w marcu 1972 roku. Do tego czasu droga, wiodąca prosto do zabójców, -była niedostępna dla organów ścigania.

Prokurator i kierowana przez niego ekipa nadal zajmowali się dokładnym studiowaniem protokołów zeznań i ustalaniem — metodą eliminowania osób, których alibi było całkowicie pewne — węższego kręgu podejrzanych. Oficerowie prosili każdego przesłuchiwanego, aby odtworzył swoje zajęcia w dniu 20 sierpnia (od wczesnego ranka do gtdfzin południowych). Oczekiwali, iż zabójca przygotowuje sobie starannie alibi na czas ustawiony na rozdeptanym zegarku. Tylko on wiedział o tym, że „doxa” wskazywała godzinę 11.21.

Jedyną osobą, która wymieniła godzinę 11,

167

a pomijała inne, był narzeczony Małgorzaty, Zygmunt Garbacki.

— Dwaście=tego sierpnia — powiedział — oale przedpo'udnie spędziłem w domu. Około jedenastej pipzeprow dziłem rozmowę telefoniczną z siostrą. Potem zjadłem obiad i wyj^ohiałem do miasta.

Wywiadowcy zainteresowali się więc Zygmuntem Garbackim i jego najbliższymi znajomymi. Okazało się, że Garbacki był małym hochsztaplerem, przechwalałym się swoimi możliwościami zarabiania wielkich pieniędzy, drobnym oszustem podającym się za studenta piątego roku architektury (w rzeczywistości był dopiero na drugim roku). Pewnego dnia odwiedził cmentarz i na grobie Jana Gerharda złożył wiązanek kwiatów skradzioną z innej mogiły. Garbscki w swoich poprzednich zeznaniach wspomniął, że spotkał się z pisarzem 16 sierpnia. Spotkanie to odbyło się przed redakcją i nikt, poza Garbackim, o nim nie wiedział. Przesłuchujący zaczęli s ę zastanawiać, czy w ogóle odbyło się ono tego dnia. Może do spotkania doszło dopiero 20 sierpnia.

W czasie gdy trwała obserwacja podejrzanego, pracownicy Banku Handlowego powiadomili prokuratora Krassowskiego, iż mogą przekazać władzom śledczym kilkadziesiąt worków, zawierających czeki zrealizowane przez polskich turystów w 1971 roku w Bułgarii. Ekipa śledcza natychmiast udała się do Banku, przejęła czeki i zawiozła je do szkoły milicyjnej, której słuchacze już

168

od kilku tygodni byli przygotowani do sprawdzania tych dokumentów.

Jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, odnaleziono pierwszy czek: D-0175538. Był on podpisany i zrealizowany przez Mariannę Wandę K., która 14 października przekazała go placówce dokonującej wymiany. Znalaziono adres tej kobiety. "Mieszkała w stolicy, co przyspieszyło dalsze działania. Oficer śledczy, który udał się pod otrzymany adres, dowiedział się, że Marianna Wanda K. miała trzy czeki Kupiła je od jakiejś kobiety, z którą zapoznała ją znajoma, Barbara M.

— Zna pani adres Barbary M.?

— Oczywiście — odpowiedziała. — Mogę z panem pojechać do jej mieszkania.

Barbara M. potwierdziła relację swojej znajomej. Owszem, powiedziała, pośredniczyła w tej grzecznościowej przysłudze. Dowiedziała się od Janiny G., iż ma ona do odstąpienia trzy czeki do Bułgarii, a ponieważ Marianna Wanda K. wybierała się tam na urlop, poinformowała ją o tym.

Oficer odesłał Mariannę Wandę K. do komerdy, a wraz z Barbarą M. pojechał na drugi koniec Warszawy, do Janiny G.

— Czeki? Rzeczywiście sprzedawałam je, ale nie należały one do mnie. Otrzymałam je od Andrzeja Sojczyńskiego, który musiał nagle zrezygnować z wyjazdu na wczasy, a nie chciał zwracać ich bankowi.

Kiedy oficer docierał do kolejnego źródła pochodzenia czeków, słuchacze szkoły milicyjnej znaleźli pozostałe numery. Dwa czeki podpisane

169

były również przez Mariannę Wandę K., a dwa przez Lilianę S. Poszukiwania Liliany S. podjął się drugi oficer. Nie miał on jednak takiego szczęścia jak jego kolega. Do Liliany S. nie dotarł tego dnia ani następnego. Szukał jej uparcie, a w tym samym czasie składał swoje pierwsze zeznanie Andrzej Sojczyński, dwudziestoletni mężczyzna. Przedstawiono mu zarzut dokonania zabójstwa Jana Gerharda i przywłaszczenia czeków.

— Ja nie mam nic wspólnego” z morderstwem — powiedział. — To zabił Zygmunt Gar-backi. On prosił mnie o sprzedanie czeków, które dałem pani Janinie G. Zatrzymany Andrzej Sojczyński nie usiłował nawet kryć Zygmunta Garbackiego. Opowiedział prowadzącemu śledztwo, że podczas jakiegoś spotkania przy wódce Zygmunt powierzył mu tę tajemnicę i wówczas przekazał od sprzedania trzy czeki oraz pierścionek.

Zeznania Sojczyńskiego nie stanowiły już dla prokuratora rewelacji, ale były niezwykle cenne, gdyż w sposób stanowczy potwierdzały jedną z wersji dokonania zbrodni. Zygmunt Garbacki nie zamordował jednak sam. Kto był jego pomocnikiem lub wynajętym rzeźmieszkiem?

Sojczyński przyznał się do sprzedaży trzech czeków. Kto w takim razie otrzymał od Garbackiego dwa pozostałe? Może właśnie współnik? Dotarto wreszcie do Liliany S. Zeznała ona, że czeki kupiła od Romualda S., ten zaś nabył je w Bułgarii od jednego fryzjera z Bielan, a fryzjer — od Mariana Romana Wojtasika.

170

Marian Wojtasik przebywał od kilku miesięcy w Zakładzie Karnym, skazany na pozbawienie wolności za włamanie, przy którym został schwytyany przez funkcjonariuszy MO. W aktach z rozprawy prokurator Krassowski ze zdumieniem wyczytał, iż świadkiem powołanym na potwierdzenie alibi Wojtasika był Zygmunt Garbacki. Od niego też miał oskarżony otrzymać podrobione klucze do mieszkania, które zamierzał obrabować. Świadek, student Garbacki, wezwany na wniosek Wojtasika, oświadczył, że „pierwszy raz widzi tego człowieka i w ogóle go nie zna, a jeżeli chodzi o podrabianie kluczy do obcych mieszkań, to nie ma z tym nic wspólnego, bo jest porządnym studentem”.

Prokurator postanowił przesłuchać Wojtasika jeszcze przed aresztowaniem Zygmunta Garbackiego.

Roman Wojtasik nie okazał zdziwienia, gdy prokurator powiedział mu o odzyskanych czekach i o tym, że ma w swoich rękach dowody wskazujące na jego współudział w zabójstwie Jana Gerharda. Podczas dwóch pierwszych przesłuchań nie podał jednak żadnych informacji, które pomogłyby w uzyskaniu istotnych dowodów rzeczowych. W czasie trzeciego przesłuchania, kiedy Wojtasik zorientował się, że organa śledcze znają dokładnie przebieg wydarzeń i główną winą chcą obciążyć jego, zrezygnował z oporu. Prosił, żeby dano mu nieco czasu, a wszystko opowie dokładnie.

Przeprowadzone przeszukanie pomieszczeń zaj

171

mowanych przez matkę Wojtasika, u której mieszkał do chwili aresztowania, zakończyło się niespodziewanym sukcesem. Ekipa dokonująca lustracji piwnicy wydobyla spod przymy ziemniaków słoik, w którym znajdowały się kluczyki od samochodu i biurka, a także od skrzynki na listy. Po zbadaniu okazało się, iż są to kluczyki, które należały do zamordowanego. W tym samym słoiku Wojtasik przechowywał kilka dowodów rejestracyjnych na samochody osobowe, czyste blankiety legitymacji studenckich oraz kilka innych dokumentów pochodzących z różnych instytucji.

W tym stadium śledztwa postanowiono aresztować Zygmunta Garbackiego, który już od kilku tygodni znajdował się pod stałą obserwacją wywiadowców.

Garbacki nie przyznawał się do niczego. Całą winą za dokonanie zbrodni starał się obarczyć Mariana Romana Wojtasika.

— Jeżeli — mówił — chodzi o czeki, to dostałem je od Mariana Wojtasika i dopiero potem dałem je Andrzejowi Sojczyńskiemu.

— To podejrzany zna jednak Mariana Romana Wojtasika?

— Znam. Razem z nim chodziłem do szkoły i mieszkalem w jednym internacie.

Prokurator Krassowski sięgnął po protokół z rozprawy przeciwko Marianowi Wojtasikowi i otwierając na stronie, gdzie zanotowano zeznania Garbackiego, powiedział:

— Przed Sądem w sprawie o włamanie, jakiego usiłował dokonać Wojtasik, zeznał pan zupełnie

172

inaczej. Wynikało z tej wypowiedzi, że Wojtasik jest panu całkiem obcy i nigdy go pan na oczy nie widział.

Garbacki przemilczał tę wpadkę. W dalszym ciągu mówił o Wojtasiku jako o tym, który mógł włamać się do mieszkania Jana Gerharda w celach rabunkowych,

a ponieważ zastał pisarza, zamordował go. Podczas następnego przesłuchania, po przedstawieniu mu dalszych dowodów zgromadzonych w śledztwie, zrezygnował z wypierania się. Przedstawiono mu przechowywane przez jego znajomych, a zabrowane w mieszkaniu pisarza pierścionki, naszyjnik, spinki do koszuli, a także koszulę polo oraz spodnie, które matka Wojtas-ka przerobiła na spodnicę dla siebie. Pobrane z odzieży obydwu podejrzanych materiały porównawczy dla przeprowadzenia badań mikro-śladów również stał się niepodważalnym dowodem obecności Garbackiego i Wojtasika w mieszkaniu Jana Gerharda. Prowadzący śledztwo szybko gromadzili dowody nie tylko potwierdzające winę podejrzanych, ale także przyjętą od początku wersję zabójstwa.

W czasopiśmie „Problemy Kryminalistyki” (nr 102/XIX) pisano: „Wymowa zgromadzonych argumentów była tak duża, że podejrzani nie mieli żadnych szans ukrycia prawdy. Przyznali się do zabójstwa Jana Gerharda (...) oraz do dokonania dalszych 26 przestępstw.

Od tego momentu zaczęło się wręcz finezynne sprawdzanie wyjaśnień obu podejrzanych. Nie zrezygnowano ze skontrolowania jakiegokolwiek

173

szczegóły, wychodząc z teoretycznie aprobowanego założenia, iż nada to przyznaniu się do winy wysoki walor dowodowy.

Od zatrzymania do przekazania podejrzanych sądowi upłynęło przecież tylko 37 dni (...) Rezultat ten osiągnięto dzięki temu, iż czynności procesowych, uwzględniających od początku śledztwa wszystkie prawdopodobne wersje zdarzenia i wszystkie alternatywy sprawstwa, nie trzeba było powtarzać, a jedynie uzupełnić do stosownie zaistniałej sytuacji, niekiedy dodatkowo sprawdzić. Rzecz prosta, wszystkie działania cechowała nadto (...) pełna koncentracja.

Rewizje i przesłuchania znajomych Mariana Wojtasika oraz Zygmunta Garbackiego odbyły się błyskawicznie, w kilkanaście godzin po otrzymaniu wiadomości, że czeki pochodziły od Garbackiego i Wojtasika.

Kim więc byli zabójcy Jana Gerharda? Co sobą reprezentowali?

Znajomość i przyjaźń tych dwóch morderców sięgała 1957 roku. Przebywali oni wówczas w tym samym internacie i uczęszczali do tej samej szkoły. Więzy „przyjaźni” umacniały się w czasie wspólnych włamań i kradzieży.

— Ja uważam Zygmunta za najlepszego przyjaciela. Z przyjaźni do Garbackiego zrobiłbym wszystko — powtarzał Wojtasik w trakcie przesłuchania. — Kiedy Zygmun powiedział mi, że ma kłopoty ze strony przyszłego teścia, który nie zgadza się, aby on ożenił się z jego córką, powiedziałem, że mu pomogę.

174

— Tylko z czystej przyjaźni? — przerwał prokurator Krassowski.

— ■ Zygmun powiedział, że jak mu pomogę i ożeni się z tą bogatą dziewczyną, to o mnie nie zapomni. Miał mi dać za to pięćdziesiąt tysięcy.

— I zapłacił po zabójstwie?

— Nie. Powiedział, że odda dług, jak się tylko urządzi.

— To był dług? Kiedy miało nastąpić to urządzenie się?

— Po jego ślubie z Małgosią, bo wtedy byłby bogaty.

Garbacki zawierając, a później kontynuując znajomość z córką pisarza, którą poznał podczas poprzednich wakacji, marzył o dużym majątku. Stałe rozmawiał z Wojtasikiem i Sojczyńskim o wielkich pieniądzach zdobywanych „sposobem”, a nie uczciwą pracą. Grając przed swoją sympatią dość trudną rolę uczciwego, rzetelnego studenta piątego roku, jednocześnie dokonywał seijnych włamań do pomieszczeń Politechniki. Przygotował także większy „skok” na kasjerkę tej uczelni. Układając plany kolejnych napadów, zbierał dane o ludziach, których dochody wydawały mu się tak wielkie, że pozwalałyby* urządzić się i jemu.

Garbacki, jako narzeczonej córki pisarza, wiedział, że w przypadku morderstwa na Janie Gerhardzie władze śledcze będą szukać motywów politycznych.

Najmując Wojtasika zastrzegł więc, by tamten nie ruszał żadnych kosztowności, a tylko wraz z nim porozrzucał dokumenty, zapiski i skrypiy pisarza. Miało to sugerować, że sprawy

175

szukali jakichś dokumentów. Dopóki bowiem organa śledcze szukały zabójców wśród przeciwników politycznych, wśród osób z obozu nacjonalistów ukraińskich lub syjonistów, a nie wśród zwykłych żulików i bandziorów — on był bezpieczny. Mimo wszystko obawiał się, że kiedyś zostanie zatrzymany jako ten, który spotkał się w połowie sierpnia z pisarzem. W takim wypadku, dla odwrócenia podejrzeń od siebie, kazał Wojtasikowi zamordować żonę pisarza. W rozmowach z narzeczoną wyrażał niepokój o losy całej rodziny, „na której ktoś chce się mścić”.

Tuzinkowy żulik, który wynajął mordercę, usiłował zainscenizować duże polityczne przedstawienie. «

Garbackiemu zakłócała spokój matka Mariana ■ Wojtasika, znająca tajemnicę obu „przyjaciół”. Przy każdym spotkaniu przypominała mu, że jest wien jej synowi pięćdziesiąt tysięcy, których nie miała zamiaru mu darować. Zapowiadała nawet, że-zdecyduje się na powiadomienie milicji, jeśli Garbacki zbagatelizuje zobowiązanie finansowe. Musiał więc szukać możliwości zdobycia większej sumy. Najłatwiej mógł ją uzyskać poprzez zawarcie związku małżeńskiego z córką zamordowanego pisarza. Małgorzata odwlekała jednak datę ślubu i nie reagowała na żadne argumenty Garbackiego. Poczuł także, iż nagle zmienił się jej stosunek do „narzeczonego”. Unikała spotkań, a w końcu zerwała osobiste kontakty. W tej sytuacji przygotował kolejny „skok”, tym razem na gabinet jednego z profesorów Politechniki, gdzie zobaczył

176

kiedyś cenny obraz. Przystąpił do realizacji starannie opracowanego planu. Dostał się do gabinetu, przeniósł obraz do sekretariatu, ale musiał zrezygnować z dalszych prób transportu, gdyż został sploszony przez sekretarkę. Chciał powrócić po obraz następnego dnia, ale aresztowanie i przesłuchanie uniemożliwiło mu ten zamiar.

Prowadzący śledztwo po przesłuchaniu około tysiąca dziewięciuset osób i po otrzymaniu osiemdziesięciu czterech opinii ekspertów, wykonanych w specjalistycznych pracowniach Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO, Zakładów Medycyny Sądowej w Warszawie i Krakowie oraz Instytutu Ekspertyz Sądowych, dysponował tak przekonującymi dowodami winy sprawców, iż podejrzani Zygmun Garbacki postanowili przedstawić przebieg zabójstwa. Z jego relacji wynikało, iż zdecydował się na ten czyn tylko dlatego, że dostrzegł realne niebezpieczeństwo grożące jego związkowi z córką pisarza. Chciał więc usunąć przeszkodę tego związku — ojca narzeczonej.. Ze swoich planów zwierzył się Wojtasikowi. Mordercy rozważali kilka wariantów zbrodni: przez otrucie, zastrzelenie, spowodowanie wypadku samochodowego, wreszcie przez zadanie ciosów w czaszkę jakimkolwiek narzędziem tępym. Ostatecznie wybrali łom i udali się z nim do domu przy ulicy Matejki 4. Garbacki stanął przed drzwiami mieszkania nr 17 i nacisnął przycisk dzwonka. Jan Gerhard nigdy dotąd nie spotkał się z Garbac-kim. Znał jednak jego twarz i sylwetkę ze zdjęć, które pokazywała mu córka. Poza tym Garbacki

12 — Zbrodniarz „zadzwoił wcześniej do pisarza i powiedział mu, że chciałby się z nim spotkać i porozmawiać o ślubie. Stąd w kalendarzyku Gerharda pojawił się skrót „zgmt”. Kiedy zabójca wszedł już do mieszkania, jego współnik wspiął się po schodach, stanął pod tymi samymi drzwiami i również zadzwonił.

— Czy ten pan, który przed chwilą wszedł tutaj, nie zgubił legitymacji? — powiedział do Gerharda, gdy ten uchylił drzwi.

W chwili gdy Jan Gerhard wziął od Wojtasika legitymację, Garbacki stał za jego plecami. Przygotowywał się do zadania pierwszego ciosu łomem, umieszczonym w tekturowym rulonie.

— Zygmun, czy to twoja legitymacja? — zapytał pisarz Garbackiego.

— Nie, nie moja — odpowiedział tamten i, w momencie gdy pisarz ponownie odwrócił się do stojącego w drzwiach Wojtasika, uderzył go łomem w głowę. Kiedy mordercy dokonywali zbrodni, legitymacja wypuszczona z dłoni ofiary upadła na wycieraczkę. Tam też poleczyły s.ę sztuczne okulary. Zabójcy nie zauważyli tych przedmiotów i zamknęli drzwi. Legitymację i okulary spostrzegli przechodzący w tym czasie obok mieszkania nr 17 świadkowie: Jerzy L. oraz Antonina L. Po pewnym czasie wyjrżeli oni ze swoich mieszkań, spojrzeli na wycieraczkę, ale nie było już na niej owych przedmiotów. Zabójcy wychodząc z mieszkania pisarza zabrali je ze sobą. Wyszli oni w ubraniach pisarza, bowiem ich własne poplamione

178

były krwią. Wojtasik wsiadł do peugeota i odjechał na ulicę Bagno, gdzie porzucił samochód.

W punktach najważniejszych wyjaśnienia obu podejrzanych były zgodne i prokurator Krassowski, wykorzystując poparte zebranymi dowodami fragmenty szczegółowego planu śledztwa (było to opracowanie zawarte na trzystu dwudziestu stronach maszynopisu dokładnie analizujące wszystkie ślady i stawiające trafną hipotezę przebiega zająścia), przystąpił do pisania aktu oskarżenia.. W tej fazie śledztwa Wojtasik i Sojczyński szczerze opowiedzieli oficerom śledczym o .zys kich poprzednich wyprawach złodziejskich, w których brał również udział Zygmun Garbacki. Teraz i on już się nie wypierał. Pozostawione u Wojtasika i przechowywane w słoiku dowody rejestracyjne samochodów, blankiety legitymacji studenckich i inne dokumenty, skradzione w biurach, pokojach studenckich i szkołach, uniemożliwiały dalsze krętactwa.

— ■ Ale —■ tłumaczył z uporem przesłuchującemu go prokuratorowi — musi pan uwierzyć, że motywem zabójstwa Jana Gerharda nie była chęć osiągnięcia korzyści materialnych. Byłem przekonany, że pisarz będzie przeszkadzał mi w zawarciu małżeństwa z jego córką. Był do mnie wrogo nastawiony, a ja bardzo kochałem Małgorzatę. Chcieliśmy się połączyć i dlatego musialem usunąć tę przeszkodę...

Świadkowie, którzy słyszeli o małżeńskich planach Małgorzaty od jej ojca, odnosili jednak inne Ważenie. Na kilka tygodni przed napadem pisarz

179

wplacił na mieszkanie spółdzielcze dla młodej pary i zwierzył się kilku osobom, iż będzie miał za zięcia zdolnego, młodego architekta. Prokurator sądził, że Garbacki obawiał się zdemaskowania jego mifyfikacji jeszcze przed ślubem i to był decydujący motyw jego działania. Nie chciał rezygnować z wielkiego majątku, więc musiał usunąć przyszłego teścia.

Prokurator zebrał także dodatkowe materiały podważające motywy zbrodni wysuwane przez Garbackiego. Koledzy i znajomi oskarżonego stwierdzali, iż więź grubiąsko wyrażał się o „ukochanej, dla której gotów był zrobić wszystko”. Poza tym owa „wielka miłość” do córki pisarza nie przerwała serii włamań i kradzieży organizowanych przez Garbackiego. Małgorzatę Gerhard poznał latem 1969 roku, a 14 grudnia 1969 r. włamał się do budynku Technikum Budowlanego,

4 kwietnia 1970 r. do Stacji Obsługi Samochodów,

5 lipca ponownie do budynku Technikum, 12 października do Biblioteki Głównej Politechniki Warszawskiej, w sierpniu do kościoła w Nowosądeckiem... W roku 1971, kiedy jego „miłość” sięgała szczytu, wykonał kilkanaście kolejnych „skoków”.

W akcie oskarżenia prokurator wyliczył kradzieże i włamania dokonane przez Zygmunta Garbackiego wraz z Marianem Romanem Wojtasikiem i Stwierdził:

— Z tego, co wyżej przedstawiono, wynika w sposób dowodny, że oskarżeni Zygmunt Garbacki i Marian Wojtasik kierowali się w swych poczynaniach wyłącznie niskimi pobudkami zysku nia

180

terialnego. Bezwzględność, brutalność i cynizm, jakie przejawiali w swej zbrodniczej działalności, wskazują na ich zupełny upadek moralny. Zebrany w niniejszej sprawie materiał dowodowy pozwala na kategoryczne twierdzenie, że obaj zagrażają społeczeństwu w stopniu najwyższym.

Rozprawa przeciwko oskarżonym o zamordowanie Jana Gerharda rozpoczęła się 25 maja, a zakończyła 13 czerwca 1972 r. Jej przebieg relacjonowała prasa krajowa i zagraniczna.

Sprawozdawcy podkreślali niespotykany cynizm morderców, którzy jeszcze na ławie oskarżonych starali się motywować zbrodnię uczuciami przyjaźni i miłości. Wojtasik twierdził, iż zabił z przyjaźni do Garbackiego, Garbacki, że z wielkiej miłości do Małgorzaty.

Prokurator Krassowski w replice po wystąpieniach obrońców, którzy szukali częściowego usprawiedliwienia czynu Garbackiego w jego „szlachetnej miłości”, powiedział:

— Wysoki Sądzie, przyszło nam na tej sali słuchać o miłości i przyjaźni, a sprawa toczyła się o mord rabunkowy. Przez oskarżonych i ich obrońców podjęta została próba totalnego zaprzeczenia podstawowym pojęciom w życiu człowieka. Temida, wbrew mitom, nie ma — i nie może mieć — zawiązanych oczu (...) Można tu i trzeba mówić o zabitym uczuciu miłości. Garbacki pozostanie kryminalistycznym przypadkiem wyjątkowej zbrodni. Słyszeliście sędziowie, jak oskarżeni dzielili się majątkiem Gerhardów, a skoro go nie zdobyli, jakie Wojtasik i jego matka podjęli

181

zabiegi o zapłatę za udział w zabójstwie?! (...) Mogłaby ogarnąć nas zgroza, gdybyśmy uwierzyli, że przyjaźń i miłość rodzą zbrodnie, że rodzą podłość.

Morderców i rabować mogą tylko ci, którzy w me poza pieniędzmi nie wierzą, tacy jak ci dwaj: Garbacki i Wojtasik.

Sędziowie wydali wyrok skazujący — kard śmierci.

Do dowodów przyjętych po raz pierwszy w tak poważnym procesie zaliczono mikroślady włókien zabezpieczone na odzieży zamordowanego, a pochodzące z ubrań morderców. Zastąpiły one od ciski linii papdarnych Garbackiego i Wojtasika] którzy starali się nie pozostawić ich na miejscu] zbrodni.

Żulik, który chciał zorganizować sobie wygod-^ ne życie zabijając przyszłego teścia, i wynajął przez niego morderca nie uzyskali łaski Rady Pań siwa. Oba wyroki śmierci wykonano.

Pętlarz

Padła rześisty deszcz i ulice Ząbkowie Będzińskich, leżących przy linii kolejowej Katowice— Warszawa, tonęły nie tylko w wodzie, ale i w gęstniejącym mroku, kiedy Teresa D., młoda dwudziestoletnia dziewczyna, szybkim krokiem zdążyła z dworca PKP do domu. Początkowo szła w tłumie pasażerów. Później jednak rozdzielali się oni na kilkusobowe grupki i kierowali się do swoich domów. Na ulicy Armii Czerwonej dziewczyna zorientowała się, że jest sama. Co kilka kroków oglądała się dto tyłu; pamiętała przestrogi milicji, która od czterech lat poszukiwała groźnego zbrojnego, napadającego w miastach Śląska i Zagłębia na samotne kobiety!* Był 13 września 1970 roku, przez pół roku panował spokój, i patrole, w skład których wchodziły setki funkcjonariuszek i funkcjonariuszy MO, bezskutecznie szukały owego zwyrodniałego zbrodniarza. Po kilkadziesiąt krokach Teresa usłyszała za sobą tupot nóg. Obejrzała się, zobaczyła młodego mężczyznę, który wydawał się bardziej troszczyć o moknący garnitur aniżeli o przechodniów, pomyślała, że na pewno chce on jak najszybciej zna

183

leźć się we własnym domu, i nagle poczuła na swojej szyi sznur lub powróż. Straciła przytomność. Po chwili ocknęła się i stwierdziła, że napastnik ciągnie ją do pobliskiego lasu. •

Po kilku minutach znów pogrążyła się w niepamięci — sznur, który czuła na szyi zacisnął się po raz drugi. Kiedy ponownie odzyskała świadomość, zobaczyła nad sobą twarz młodego bruneta,

0 krótko przystrzyżonych włosach, i usłyszała, że pyta ją o imię.

— Teresa — odpowiedziała.

— Myślałem, że Wanda A teraz zamknij oczy

I licz do dwudziestu. Jak skończysz liczyć, możesz otworzyć oczy i wstać — powiedział.

Usłyszała oddalające się kroki i zaczęła wzywać ratunku. Po kilkunastu minutach znalazła się w komisariacie MO, gdzie złożyła relację z przebiegu wydarzeń. Prokurator, który od września 1066 roku prowadził śledztwo przeciwko zbrojcowi napadającemu kobiety w miastach Śląska i Zagłębia, w pierwszym odruchu zamarzał włączyć przekazane mu przez milicję materiały do wielotomowych akt „wampira”. Powstrzymał się jednak.

— Do tej pory nie mieliśmy takiego rysopisu napastnika — powiedział podczas odprawy z grupą śledczą. — Poza tym sposób działania przestępca, który wystąpił w Ząbkowicach, jest zupełnie odmienny od stosowanego przez jego poprzednika. Mamy chyba nową sprawę...

Nie wiedział, że ta nowa sprawa nie będzie wstępowała liczbą napadów tamtej, starej, jeszcze

184

przecież nie zamkniętej. Nikt z grupy śledczej nie przypuszczał, iż w tym samym czasie, na tych samych obszarach administracyjnych, pojawi się kolejny zbrojeniec, budzący przerażenie tysięcy rodzin, w których znajdowały się młode dziewczyny.

W trzydziści osiem dni później, 21 października 1970 roku, przestępca znów dał o sobie znać. Było to w niewielkiej odległości od Ząbkowic Będzińskich, w Klimontowie, przylegającym do Sosnowca. Tego dnia, około północy, wracała do domu Czesława G., zaledwie dwa lata starsza od Teresy D Nie spodziewała się napaści, gdyż mijają ją wielu przechodniów, a ulice były dość dobrze oświetlone. W pewnej chwili poczuła ucisk jakiegoś przedmiotu na szyi i straciła przytomność. Odzyskała ją kilkadziesiąt metrów dalej, na skarpie. Miała wówczas ręce zawiązane z tyłu sznurkiem konopnym, usta zaklejone plastrem opatrunkowym i była obnażona od połowy ciała w dół. Pochylający się nad nią mężczyzna miał chłopięcą twarz, włosy ciemne, krótko przystrzyżone, zaczesane na bok i ubrany był w kurtkę „szwedkę”.

Identyczny rysopis podali milicji i prokuratorowi przechodnie, którzy widzieli tego osobnika na ulicy tuż przed napadem na Czesławę G. Na podstawie ich zeznań można było odtworzyć sylwetkę zbrodniarza: miał około dwudziestu lat, był brunetem lub szatynem i liczył zaledwie 160 centymetrów wzrostu.

Na miejscu gwałtu udało się zabezpieczyć od

185

bicia obuwia w podłożu gliniasto-piaszczystym. Przywieziony w ciągu kilkadziesiąt minut do Klimontowa pies-tropiciel podjął ślad i zaprowadził swojego opiekuna do pobliskiego hotelu robotniczego.

Staruszka portierka nie była zaspana i prokurator nie miał wątpliwości, że odpowiedzi jej są prawdziwe. Tak, widziała, jak przed kilkadziesiąt minutami powrócił do hotelu jeden z jego mieszkańców. „Jak się nazywa, nie wie, nie pyta o takie sprawy. Do którego pokoju wszedł, też nie wie, ale na pewno go pozna, był czarny, niski”.

— Będziemy musieli przejrzeć wszystkie pokoje — postanowił prokurator. — Proszę wydać zapasowe klucze...

Obstawiono budynek i przeszukano wszystkie pomieszczenia hotelu robotniczego. W jednym z pokoiów znajdował się zapóźniony mieszkaniec, który wrócił po północy. Portierka potwierdziła,] że jest nim właśnie ten mężczyzna.

W komisariacie nastąpiło pierwsze rozczarowa-l nie. Napadnięta nie rozpoznała w doprowadzo-l nym mężczyźnie napastnika, a zabezpieczoną! odzież, która znajdowała się w jego pokoju, nił nosiła śladów zabrudzeń gliną i piaskiem. Żadn] z par obuwia również nie przylegała do pozosta-l wionyoh śladów zbrodniarza. Mimo to postanowkn" no zbadać dokładnie całą garderobę i przeprowadzić ekspertyzę identyfikującą ślady obuwia z obu-J wiem zatrzymanego. Wyniki okazały się negatywne.

— Byłem na małej wódce — wyjaśniał podejrzany. — W żadnym napadzie na kobiety nigdy nie brałem udziału. Pracuję uczciwie w kopalni.

Zwolniono go z aresztu. Prokurator otrzymał w tym czasie ekspertyzę określającą rodzaj obuwia odbitego w gliniasto-piaszczystym podłożu i pochodzenia sznurka konopnego, którym napastnik zawiązał ręce ofiary. Obuwie pochodziło z Bydgoskich Zakładów i należało do serii trampek i pół-trampek produkowanych w 1969 roku.

Przez pięć miesięcy panował spokój. „Pętlarz”, jak określano zbrodniarza, przestał się interesować dziewczynami samotnie wracającymi późną porą do domów.

Dopiero 21 marca dał znać o sobie. Obiektem ataku stała się siedemnastoletnia Krystyna G., która przyjechała do Będzina pociągiem i szła do domu. Tym razem napad nie udał się. Krystyna G. instynktownie wtuliła głowę w ramiona i pęta zamiast na szyi zatrzymała się na jej **brodzie** Wtedy chwyciła ona sznur obiema rękami i wyszarpnęła go zbrodniarzowi. Usłyszała głośne przekleństwo i, kiedy odwróciła się, ujrzała **niskiego**, szczupłego mężczyzny biegnącego w stronę najbliższej przecznicy. Przystępcę widziały także dwie dziewczyny, obok których przebiegł, uciekając z miejsca napadu.

Na komisariacie opisały one jego wygląd. Stwierdziły, że jest niski, szczupły, ma ciemne **włosy**, nosi kurtkę „**Szwedkę**” i wygląda młodo, niemal chłopięco. Prokurator przy poszukiwaniu „pętlarza” postanowił posłużyć się portretem pamięciowym **I** manekinem ubranym w strój, o jakim mówiły na

187

186

padnięte dziewczyny oraz przechodnie, obok których przebiegał lub przechodził przed popełnieniem przestępstwa lub po napadzie. Fotograficzne odbitki sylwetki i portretu przekazano setkom funkcjonariuszy MO. Jednak po trzech napadach, dokonanych dotychczas przez „pętlarza”, jedynym cennym dowodem rzeczowym, znajdującym się w rękach prokuratora, był przewód elektryczny, którym usiłował zadusić Krystynę G. Przewód ten wyrwała mu z rąk i przekazała prokuratorowi. Był to prawie metrowej długości kabel w izolacji z czarnego plastiku, ucięty prawdopodobnie kombinerkami. Pod mikroskopem wyraźnie rysowały się charakterystyczne smugi na powierzchni przecięcia. W takich wypadkach kryminalistyka doskonale sobie radzi z ustaleniem, które narzędzie zostało użyte do cięcia, każde bowiem ma indywidualne cechy, tak trwałe, jak linie papilarnie na palcach człowieka.

W niespełna miesiąc później, 18 kwietnia 1971 roku, komenda w Szczakowej powiadomiła prokuratora o pojawieniu się „pętlarza”. Ponieważ Szczakowa znajdowała się w województwie kra- kowskim, a zbroczeniec działał do tej pory w miastach Zagłębia Dąbrowskiego, chodziło o ustalenie, kto będzie prowadził śledztwo na tym terenie i czy rzeczywiście chodzi o tego samego zbroczeni- a.

Napad w Szczakowej miał identyczny przebieg jak w Żąbkowicach. Około jedenastej wieczorem trapałnik zaatakował wracającą do domu Urszulę P. Po zarzuceniu pętli przeciągnął ofiarę na skarpę i tam dokonał gwałtu. Na miejscu pozostawił dość wyraźny ślad obuwia, który zabezpieczono i wysłano do Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO.

Ekspert warszawskiego laboratorium zakomunikował prokuraturze, iż są to ślady obuwia gumowego, najprawdopodobniej tramppek lub półtramppek, produkowanego w Bydgoskich Zakładach w serii z 1969 roku.

Odlew pozostawionych śladów stóp „pętlarza” był więc drugim dowodem mającym w przyszłości wykazać winę podejrzanego. Na razie jednak przesłępca był nieuchwytny. U mężczyzn odpowiadających rysopisowi pizekazanemu przez napadnięte dziewczyny szukano kombinerek oraz tramppek pasujących do śladu ze Szczakowej. Kie odnaleziono jednak ani jednych, ani drugich. <

Prokurator tymczasem ustalił podstawowe warianty śledztwa, uwzględniające zwyczaje „pętlarza” i powtarzające się podczas napadów czynności. Przyjął, iż jest to mężczyzna jeżdzący pociągami”, w których upatruje sobie ofiarę napad- ci. Później podążył za nią do miejsca odludnego i tam dokonuje napadu. Nie wykluczał także możliwości zbrodniarza czyha w pobliżu dworców i wraz z tłumem podróżnych idzie za wybraną „ad hoc” ofiarą. Nie unika spotkań ze świadkami, co wskazywałoby, iż po napadzie zmienia osobowość i nie o' iwią się zdemaskowania

Penetracja najbardziej zagrożonych miejsc, zalecona przez prokuratora i kierownictwo grupy operacyjnej wydzielonej przez obie komendy wo

189

188

jewódzkie MO, nie przynosiła rezultatu. Nie zauważono, aby przebywał w tych miejscach mężczyzna o rysopisie podobnym do podanego przez pierwsze ofiary. Sprawdzono alibi osobników wykazujących przeróżne zbroczenia seksualne. Zainteresowano się nawet maniakami wydzwanianymi do central międzymiastowych, informacji telefonicznej i innych służb telekomunikacji, gdzie zatrudnione są kobiety. Ustalano, który abonent składa niedwuznaczną ofertę dziewczętom z „Poczty i Telegrafów”.

Rozmowy rozpoczynane przez osobników zwichniętych psychicznie denerwują telefonistki. Słyszac, że rozmówca nie jest służbowym klientem, wyłączają się. Teraz poproszono je, aby przedłużyły rozmowę, podejmowały „dialog” i umożliwiały w ten sposób ustalenie, kto telefonował.

Zajęto się także odrzuconymi konkurentami i wielbicielami napadniętych. Może któryś z nich stał się „pętlarzem”?

W dwa tygodnie po czwartym napadzie nastąpił piąty. Po raz drugi w województwie krakowskim, w Trzebini. Udająca się do pracy na nocną zmianę dwudziestosiedmioletnia Zofia B. zauważyła w ostatnim momencie, że miga przed jej oczami jakiś sznur. Zachowała się identycznie jak Krystyna G. i linka stałowa zatrzymała się na brodzie napadniętej. Wyszarpnęła ją „pętlarzowi”, a potem spojrzała do tyłu. On spokojnie odchodził w ciemność. Nie obawiał się widocznie pogoni, wzywania ratunku lub nawet ataku dziewczyny.

Kiedy **na** biurku prokuratora Henryka Solgi

190

znalazła się przemysłnie spleciona linka zakończona dwoma uchwytami, w które można było swobodnie włożyć dłonie (ułatwiało napastnikowi za-gardlenie napadniętych), musiał przyznać, że przypadek owego nieznanego zbroczeni- a jest szczególny, nie opisany do tej pory w kryminalistyce światowej. Sprawca nie tylko działał w jednakowy sposób i osiągał zaspokojenie bądź przy zagardle- niu lub przy próbie odbycia stosunku, ale przede wszystkim nie doprowadził ani razu do śmierci napadniętej. Wystarczyły mu chyba objawy, wskazujące, iż ofiara umiera, dostaje drgawek przedśmiertnych. Niestety, nie prowadzono dalej tych rozważań; mogły one pomóc w ustaleniu tożsamości obu zbroczeni- wców działających w tamtych latach w województwie katowickim i krakowskim.

W literaturze zajmującej się opisami zbroceń seksualnych wyszukiwano natomiast przychodzących elementów, które warunkują powstanie zbrodniczego zła:

nieszczęśliwy związek małżeński, niedorozwój fizyczny, wywołujący wstyd przed kobietami, poczucie upokorzenia, wyrządzone kiedyś krzywdy przez kobiety, wreszcie szczególnie upodobania do demonstracji samobójczych.

W okresie kiedy ścigający obu zbrodniarzy prowadzili rozmowy z seksuologami i psychiatrami (seksuologia jest zresztą działem psychiatrii), „pę- tlarz”

ponownie dał znać o sobie. W dzień po napadzie na Zofię B. „poddusił”, a następnie zgwałcił dwudziestopięcioletnią Stanisławę M. Wydarzyło się to w Trzebini, również w pobliżu dworca kolejowego.

191

Patrole milicyjne w województwie krakowskim zostały dodatkowo wzmocnione; we wszystkich miejscowościach poszukiwano osobnika odpowiadającego powielonemu portretowi pamięciowemu.

Gdy po dwóch latach prokurator położył obok narysowanej pod *zmy* „pętlarza” jego ówczesne zdjęcie, mógł stwierdzić, że podobieństwo było uderzające.

Jedynie w partii środkowej, w okolicach nosa, występowały różnice. Na portrecie pamięciowym nos „pętlarza” był szerszy i nieco krótszy od nosa na zdjęciu. Szczegół ten, zdawałoby się drobny, utrudnił jednak szybsze ujęcie zbrodniarza.

On tymczasem dokonał kolejnego napadu. Przed północą 13 maja 1971 roku wracającą ze stacji pomocnicza kuchenna Maria M. usłyszała za sobą szybkie kroki jakiegoś przechodnia i, chociaż wiedziała o powtarzających się napadach na dzie- wczyny, obejrzała się jedynie za siebie, a potem chciała ustąpić miejsca mijającemu ją mężczyźnie. Dalszych wypadków nie pamiętała, straciła bowiem przytomność.

Z prostego wyliczenia napadów „pętlarza” można było wyciągnąć także wnioski dotyczące dat napad- ci. Dokonywał ich bądź trzynastego (wrzesień 1970 rok i maj 1971), bądź dwudziestego pierwszego (październik 1970 i maj 1971 roku).

Ósmy napad nastąpił właśnie dwudziestego pierwszego! Było to w maju 1971 roku, późnym wieczorem, w Dąbrowie Górniczej, a ofiarą stała się wracająca z popołudniowej zmiany w Hucie

192

im. Feliksa Dzierżyńskiego dwudziestoletnia Lucyna M.

Ostatnie przestępstwo różniło się jednak od poprzednich. „Pętlarz” przywłaszczył sobie zegarek ofiary („czajka” nr 6164575, co udało się ustalić na podstawie przechowywanej w mieszkaniu Lucyny M. karty gwarancyjnej).

— Zegarek wcześniej czy później pojawi się na czarnym rynku — skomentował to wydarzenie jeden z oficerów śledczych. — Będziemy sprawdzali transakcje zawierane przez pokątnych handlarzy.

— Pod warunkiem, że nie otrzyma go w prezencie żona „pętlarza”, jego sympatia, koleżanka z pracy lub inna dziewczyna — sceptycznie zastrzegł prokurator.

Aparat ścigania, specjalnie wydzielony do ujęcia „pętlarza” i „wampira”, wykonywał heroiczną pracę. Studiowano kartoteki osób leczących się u psychiatrów (spodziewano się natrafici tam na jakąś nić ułatwiającą śledztwo), zatrzymywano mężczyzn podobnych do rysopisu sprawcy i dziwnie zachowujących się wobec najbliższego otoczenia (poddano dokładnemu badaniu ich odzież i obuwie), laboranci przeprowadzali tysiące ekspertyz, starając się z przedstawionego im materiału porównawczego wybrać ten, który odpowiadałby materiałowi dowodowemu.

Aresztowani mężczyźni protestowali, zapewniali b swojej niewinności, burzali się, ale poddawali się w końcu dokładnym badaniom. Nie przebywali

W — Zbrodniarz

193

zresztą długo w areszcie, bowiem każdy napad „pętlarza” dawał im trudne do podważenia alibi.

Zaledwie sześć tygodni po zgwałceniu Lucyny M. zameldowano o kolejnym napadzie w Oświęcimiu. Józefa S. zrelacjonowała przebieg wydarzeń w sposób następujący:

— Szłam ze stacji kolejowej, a że było późno, postanowiłam skrócić sobie drogę do domu. Poszłam wzdłuż torów. Tuż przy semaforze obejrzałam się, bo tam tory obniżają się i można przez nie przejść. Ponieważ żaden pociąg nie jechał, przeszłam przez tory i zbliżałam się do budki na-stawniczego. W pewnej chwili poczułam, że coś mi uciska szyję i tracę przytomność. Obudziłam się za zagonem owsa, w kartoflisku, niedaleko nastawni.

„Pętlarz” tym razem nie zgwałcił swojej ofiary, nie zrezygnował natomiast z zagarnięcia łupu. Zabrał zegarek, torebkę z kwotą tysiąca sześciuset złotych oraz składaną parasolkę, obciążoną zielonym materiałem w duże kwiaty.

Wywiadowcy otrzymali węc dodatkowe zadanie. Musieli zająć się odszukaniem zrabowanego zegarka i charakterystycznej parasolki. Ponieważ była pełnia lata (napadu dokonano 1 lipca) należało liczyć się z tym, że parasolka nieprędko pojawi się na ulicy kogoś z miast. Spoczywała prawdopodobnie w mieszkaniu „pętlarza” lub jego znajomych.

Przez pokoje przesłuchań szeregu komend przewijały się setki osób. Wzywano między innymi żony młodych brunetów, sprawdzano alibi tysięcy

194

cy mężczyzn, wykluczano ich z kręgu podejrzanych lub wzmacniano podejrzenia i prowadzono dyskretną obserwację.

— Mój mąż nigdy nie wychodzi wieczorem z mieszkania. Zawsze w nocy jest w domu — zapewniały z reguły wszystkie kobiety, których mężowie byli brunetami średniego wzrostu.

Jedną z przesłuchanych była także Krystyna Plewa, matka kilkuletniego syna, inwalidka mimo dwudziestu trzech lat, żona kierowcy Krzysztofa Plewy.

— Zyjemy zgodnie — powiedziała. — Mój mąż jest bardzo dobrym człowiekiem, nigdzie się nie waleśa, nie pije, jest spokojny, jeszcze ani razu mnie nie uderzył i nie pozwala bić dziecka...

— Nie wychodzi wieczorami na spacer?

— Nie, on lubi życie domowe.

— Ale zdarza się, że wraca później.

— Jeżeli ma długą trasę, to przychodzi trochę później, ale jak tylko zostawi samochód w bazie, zaraz wraca do domu.

Prokurator zakładał, że przesłuchiwane kobiety będą starały się przedstawić swoich mężów w jak najlepszym świetle, że będą zapewniały im nawet fałszywe alibi, aby tylko odsunąć podejrzenie o „wampiryzm”. Polecił sprawdzić niektóre zeznania żon podejrzanych i ustalić, czy rzeczywiście ich małżonkowie są tacy idealni, wyrozumiali, nie awanturują się, nie wyciągają pijackich burd oraz wracają przykładnie po zakończeniu pracy do swoich mieszkań.

Była to mozolna, nieefektywna praca, wykony

195

wana przez szereg miesięcy przez wywiadowców MO. W wielu wypadkach wydawało się, że już tylko krok dzieli ich od wykrycia przestępcy. Niestety „pętlarz” był nadal nieuchwytny.

Dziesiąty napad zanotowano w Sosnowcu. Drugiego sierpnia, około jedenastej w nocy, zawiadomiono kierownictwo grupy śledczej, że kilka minut temu „pętlarz” był na ulicy Grabowej. Meldunek porucznika Stefana Nowaka brzmiał następująco:

„W dniu 2.08.1971 roku o godzinie 22.55 oficer dyżurny Komendy Miasta MO w Sosnowcu, kpt. Zawalski, powiadomił pogotowie operacyjne, że przed kilkoma minutami w Sosnowcu, przy ulicy Grabowej, została napadnięta nieznaną kobietą. W związku z tym pogotowie operacyjne w pełnym składzie, plus sierżant Nocuń Marian, udalo się na miejsce zdarzenia, gdzie ustalono co następuje, obywatelka Marcinek Henryka, zamieszkała przy ulicy Słowieńskiej w Sosnowcu, około 22.50, oczekując na męża; wyglądała oknem na ulicę Grabową. Z odległości około 30 metrów zauważyła zbliżającą się kobietę i biegnącego za nią mężczyznę. Kiedy kobieta znalazła się przy wejściu do szkoły podstawowej nr 27, mężczyzna dogonił ją, zasłonił jej usta i siłą wciągnął w pobliskie krzaki. Ob. Marcinek, widząc to, zaczęła głośno krzyżeć: »puść ją, ty łobuzie«, »milicja«, »ratunku«. Po chwili poszkodowana wyszła z krzaków...”

Napadnięta dziewczyna, Krystyna K., opowiedziała o wydarzeniu bardziej szczegółowo. Jej relacja dotarła do „sztabu śledczego” kilkanaście

196

minut po meldunku porucznika Nowaka, bowiem napadnięta zgłosiła się do jednego z odległych komisariatów i zaczęła opowieść dopiero wtedy, gdy pogotowie operacyjne przeszukiwało okolice ulicy Grabowej, a zarządzona blokada Sosnowca była już szczelna. Funkcjonariusze MO obstawili wszystkie dworce w Sosnowcu i w Będzinie, zatrzymano wszystkie autobusy i tramwaje nocne. Użyto psów tropiących.

Krystyna K. powiedziała, że wracała z małego przyjęcia i obok szkoły w pobliskich zaroślach chciała załatwić potrzebę fizjologiczną. Kiedy zamierzała wejść w krzaki, poczuła na szyi ucisk sznura. W tej samej chwili ktoś zawołał „puść ją, ty łobuzie”, i napastnik przestał zaciskać ramię, a potem wypuścił go z ręki. Wtedy obejrzała się. Zobaczyła młodego bruneta o śniadej cerze z gładko uczesanymi włosami.

Blokadę miasta utrzymano przez następną dobę. „Pętlarz” nie mógł opuścić Sosnowca. Był w mieście i starano się go schwycić. Przeszukano pomieszczenia piwniczne, mogące dać schronienie ściganemu, altanki, klatki schodowe. Wszystko bez rezultatu.

Przebywa we własnym mieszkaniu albo w mieszkaniu bliskiej osoby — pomyślał prokurator. Jeżeli nie przyjechał na gościnny występ, jest związany z tym miastem...

Przypuszczenia te okazały się trafne. Zbrodniarz nie musiał wyjeżdżać tego dnia z Sosnowca. Dopiero po tygodniu pojawił się w pobliżu Krzeszowic, w Tenczynku, gdzie napadł na powracającą

197

ze stacji kolejowej (ponownie ten sam element występujący w meldunkach) dwudziestolletnią Irenę M. Kiedy dziewczyna odzyskała przytomność, ujrzala nad sobą twarz młodego mężczyzny z wąsami, okoloną ciemnymi włosami. Mógł to być szatyn lub brunet, powiedziała.

Do portretu pamięciowego dodano ten szczegół: wąsy przypominające zwisającą muszkę, i przekazano fotograficzne odbitki wszystkim funkcjonariuszom MO w obu województwach. Tymczasem „pętlarz” zaniechał napadów i przez półtora miesiąca było o nim cicho.

Czwartego października 1971 roku pojawił się w Łazach. Był wieczór, przed kilkoma minutami przestał padać deszcz, na ulicach pokazywali się tylko pojedynczy przechodnie, między innymi osiemnastoletnia Alfreda K. Zboczeniec zarzucił jej sznur na szyję i zaciągnął nieprzytomną na brzeg maleńkiego stawu. Kie ty odzyskała świadomość, zorientowała się, że leży w leriowatej wodzie.

Napad w Łazach był ostatnim wys:ępem przestępcy w 1971 roku Pizez całą zimę panował spokój. Nie zaprzestano jednak obserwacji podeirza-nych i sprawdzania alibi mężczyzn odpowiadających rysopisowi. Poszukiwania „pętlarza” i „wampira” obejmowały najgęściej zaludnione regiony kraju, gdzie ruch migracyjny jest znaczny, a sprawna komunikacja umożliwia szybkie przedostanie się z jednego kolosa urbanistycznego do drugiego.

Szóstego stycznia ■ 1972 roku aresztowano osobnika, który odpowiadał cechom „wampira”! Był

198

to czterdziestolletni robotnik, awanturnik i alkoholik, skłócony z żoną i mieszkający u swojej siostry. Znaleziono u niego kilka przedmiotów, które zabrał ofiarom (koral z kolczyka, resztki parasolki oraz pejecz, spełniający rolę narzędzia zbrodni), i włączono je do dowodów rzeczowych.

Początkowo prokurator miał zamiar przedstawić aresztowanemu zarzuty o zadławienie, a nie tylko o zabicie czteremastu kobiet. Odstąpił jednak od takiego zamiaru, gdyż 27 marca 1972 roku „pętlarz” napadł w Skawinie na trzynastoletnią uczennicę, Jadwigę W.

— Wracałam ze stacji do domu ■ — powiedziała w komisariacie. — Przeszłam przez kładkę nad Skawinką, i kiedy byłam obok ogródków działkowych, usłyszałam, że ktoś za mną biegnie...

Sposób popelnienia przestępstwa potwierdzał, że „pętlarz” znajduje się na wolności i nie ma nic wspólnego z aresztowanym „wampirem”. Wiadomość o napadzie na Jadwigę W. rozeszła się szybko po wszystkich miastach obu województw. Mieszkańcy zagrożonych regionów byli już zniecierpliwieni przewlekającym się śledztwem. Niektórzy uważali, że władze śledcze zbyt mało wysiłku i uwagi poświęcają tropieniu „pętlarza”. Pretensje te na pozór wydawały się uzasadnione. Napadnięte dziewczyny podawały przecież identyczny rysopis bandyty! Ale gdy pokazywano im setki podobnych mężczyzn, wahały się.

Niektóre wskazywały na mężczyzn nie mogą-eydh z wielu przyczyn wchodzić w teraż podejrzanych o napady — przebywali od dłuższego czasu

29

w zakładach karnych lub ich alibi zostało w pełni potwierdzone.

W niespełna miesiąc po napadzie w Skawinie „pętlarz” zaatakował szesnastoletnią Teresę W. Nastąpiło to w Wolbromiu 20 kwietnia, jeszcze przed dziewięcią wieczorem.

W prokuraturze zastanawiano się, jakiego klucza topograficznego należy użyć, aby wytypować następne miejsce występu przestępcy. Czy wybierał je sobie wcześniej, czy też decydował o tym przypadek? Skawina jest znacznie oddalona od Wolbromia i nie leży na szlaku, którym „pętlarz” do tej pory krążył. Ponownie zjawił się bliżej Śląska, w Chelmie Śląskim. I znowu udało mu się uniótiąć zasadzek oraz pogoni.

„Pętlarz” miał wyjątkowe szczęście albo umiejętnie zaciera! ślady. Zastanawiający był fakt, że psy tropiące, wprowadzane do akcji natychmiast po otrzymaniu meldunku o kolejnym „poddusze-niu” ofiary, nie potrafiły zaprowadzić swoich przewodników do jakichkolwiek zabudowań lub wyczuć kierunku ucieczki napastnika.

Jeden z lekarzy psychiatrów na pytanie prokuratora, wśród jakich osobników należy szukać „pętlarza”, odpowiedział:

— Przypuszczam, że jest to człowiek z kompleksem zrodzonym na tle małej wydolności seksualnej. Wstydzi się swojej niemocy i dlatego stara się wyłączyć

świadomość zniewalanych dziewcząt...

Piątego lipca 1972 roku zanotowano napad w Tarnowie. „Pętlarz” usiłował „poddusić” dwudzie

30

slotrzyletnią Barbarę B., ale napadnięta uchwyciła kabel i wyrwała mu go z rąk. Przestępca przebiegł kilkanaście metrów główną drogą, a potem skręcił w boczną, nie oświetloną ulicę. Wbrew swoim dotychczasowym nawykom dał znać o sobie w tym samym mieście już następnego dnia. Był to ostatni występ „pętlarza”. Na miejscu gwałtu znalezione kilka drobnych przedmiotów, które wypadły z kieszeni napastnika: trzpień do osadzania klamki W samochodzie warszawa lub syrena, skrawek karty campingowej i bilet autobusowy.

Do komisariatu zgłosił się również kilkunastoletni chłopiec, który przypomniał sobie, że przy drodze widział syrenkę bez kierowcy. Dla zabawy powtarzał sobie numer rejestracyjny samochodu i jest pewny, że były tam dwie jedynki, czwórka i ósemka, a na końcu litery „SP”. Najbardziej odpowiadała mu kombinacja cyfr 48-11 lub 41-18.

Litery „SP” widniejące na tablicy rejestracyjnej oznaczały Sosnowiec. W wydziale komunikacji przejrano dokumenty rejestracyjne i zainteresowano się właścicielem wozu o numerze 41-18 SP. Był nim Kazimierz Czub, który wyprowadził się z Sosnowca w 1970 roku i od tego czasu nie używał tablic z tymi numerami. Leżały one, co pokazał funkcjonariuszom MO, na strychu, zawinięte w papier pakunkowy. Zresztą nie miał on syreny a skodę.

Czyżby sprawca posługiwał się fałszywymi tablicami?

20*

Numer rejestracyjny syrenki otrzymali wszyscy funkcjonariusze służby ruchu. Otrzymał ją również plutonowy Jerzy Kótfis z Inspektoratu Ruchu Drogowego Komendy Powiatowej MO w Oświęcimiu, który nosił w swojej raportówce również fotograficzną odbitkę portretu pamięciowego przestępcy. We wtorek 1 sierpnia Kótfis wraz z członkiem ORM, Andrzejem Szczerbowski, pełnił służbę i wolno przemierzał służbowym wozem ulice miasta. O 22.10 dojechał samochód jadący z zapalonymi światłami drogowymi.

— Pirat ■— powiedział plutonowy. — Osłepia wszystkich kierowców.

Czerwonym światłem latarki dał znak niesfornemu kierowcy, by zatrzymał samochód. Ten jednak nie zareagował. Plutonowy Kótfis wyprzedził nieprawidłowo oświetlony pojazd i zmusił go do zatrzymania. Zażądał od kierowcy dokumentów rejestracyjnych, prawa jazdy i dowodu osobistego. Prawie jednocześnie skojarzył sobie numer rejestracyjny samochodu — 84-11 SP — z meldunkiem dotyczącym „pętlarza”. Twarz kierowcy również przypominała fragmenty portretu pamięciowego. Zajrzał do raportówki. To ten, pomyślał, bardzo podobny do „pętlarza”.

— Pojedziemy do komendy — powiedział. — Tam sprawdzimy ustawienie świateł i spisujemy protokół...

W komendzie kazano zatrzymanemu opróżnić kieszenie. Wyjął z nich żyłkę nylonową, kluczyki, chusteczkę i guzik perłowy. Postanowiono przeprowadzić wstępne przeszukanie odzieży kierowcy

302

cy i na prawej nodze, pod skarpetką, znaleziono owinięty wokół kostki długi sznur bawełniany.

Krzysztof Plewa takie nazwisko nosił zatrzymany kierowca syreny, nie potrafił ukryć zdenerwowania. Przez cały czas mówił o swojej niewinności, tłumaczył, że przecież nikomu nic złego nie zrobił, że jechał do teściów do Porąbki, a o światłach zapomniał. Może się to zdarzyć każdemu, wyjaśniał.

— Dlaczego obywatel ukrywał sznur pod skarpetką?

— Sznur? Więc powie prawdę. On jechał do teściów, ale w rzeczywistości chciał się dzisiaj powiesić na tym sznurze. A schował go, żeby żona niczego się nie domyśliła.

— Milicja zawsze bierze mnie za „pętlarza” — dodał — i stale mam z tego powodu nieprzyjemności...

Dyżurni funkcjonariusze z Komendy Powiatowej MO byli prawie pewni, że plutonowy Kótfis zatrzymał groźnego przestępcę. Wiele danych wymienionych w rysopisie zgadzało się (wzrost, wiek, sposób uczesania, kolor włosów), a w dodatku ta syrenka z rejestracją sosnowiecką i jedynkami, czwórką i ósemką.

Powiadomili kierownictwo ekipy śledczej w krakowskie; komendzie i tamtejszej prokuraturze. Następnego dnia przeprowadzono szereg działań sprawdzających. Prokurator wydał postanów enie o przeszukaniu mieszkania Krzysztofa Plewy. Zona Krzysztofa, Krystyna Plewa, kob eta, która przed rokiem zapewniała przesłuchującego ją oficera, że jej mąż jest wzorowym

203

małżonkiem i ojcem i że wszystkie wieczory spędza on w domu, nieco speszyła się rewizją. Nie życzyła sobie jednak żadnych świadków. Mimo to funkcjonariusze: Walczak, Sochański i Nurek poprosili sąsiadkę, aby przyglądała się prowadzonemu przeszukaniu i potwierdziła własnoręcznym podpisem protokół.

W kuchni znajdowało się łóżeczko dziecięce, kredens, stół i dwa taborety. Wyjęto szuflady z kredensu i stołu, a ich zawartość wysypano na przygotowany obrus. Spośród przeróżnych przedmiotów zauważono kilka rysunków pornograficznych, na których kobiety miały charakterystycznie zarysowane pasma Włosów (przypominało to sznur wokół szyi), kombinierki oraz parasolkę „juwel”. Nie wiadano jeszcze, iż jest to ta sama parasolka, którą zbrodniarz ukradł jednej z napadniętych dziewcząt, Józefie S.

W innych izbach i w komórce natrafiono na kilkanaście odcinków przeróżnych kabli, przewodów w oprawach igelitowych oraz sznurów konopnych i bawełnianych. Dla porównania mikrośladów zabezpieczono wszystkie garnitury Krzysztofa Plewy, ową „szwedkę”, kilka koszul polo oraz obuwie.

Kiedy Krzysztof Plewa nadal zapewniał przesłuchującego go prokuratora, że często biorą go z”, „pętlarza”, a on jest niewinny, znalezione w jego mieszkaniu przedmioty dostarczono pracownikom Instytutu Ekspertyz Sądowych oraz Zakładu Kryminalistyki. Tam miano dać odpowiedź na trzy pytania. Czy kombinierki znalezione u podejrzanego

204

go są tymi, którymi uciął kabel wyrwany przestępcy przez jedną z ofiar? Czy któryś ze sznurów lub kabli znalezionych w komórce Plewy może być fragmentem pętli pozostawionych przy innych ofiarach? Trzecie pytanie dotyczyło mikrośladów.

A Krzysztof Plewa przez parę dni podtrzymywał pierwszą wersję, jakoby miał zamiar popełnić samobójstwo i dlatego zabrał z domu sznur, którym okręcił nogę na wysokości kostki. Nie speszyło go nawet stwierdzenie przez przesłuchującego, że osiemdziesiąt centymetrów sznura to zbyt mało, aby zrobić pętlę, a przedtem przymocować ją do mocnej gałęzi.

Prokurator opierając się na wstępnym potwierdzeniu, otrzymanym z pracowni kryminalistycznych, podobieństwa Plewy do rysopisu napastnika (zgadzał się wzrost — 160 cm, kolor włosów, kształt twarzy, a także wiek — podejrzany urodził się w 1946 roku i podczas pierwszego napadu miał 24 lata, przy ostatnim — 26) oraz sprzecznościach występujących w jego zeznaniach postanowił przedstawić Krzysztofowi Plewie zarzut, „że w okresie od 13 września 1970 roku do 6 lipca 1972 roku, na terenie województw katowickiego i krakowskiego, systematycznie dopuszczał się napadów na kobiety i obezwładniał je za pomocą zarzucanej na szyję pętli, przy czym godził się na ich ewentualny zgon w wyniku doznanych przez nie obrażeń”.

— Nie przyznaję się do zarzucanych mi etanów — odpowiadał uparcie Krzysztof Plewa. —

30

Nigdy w życiu nie napadłem na żadną kobietę. Co do szóstego lipca tego roku, to na pewno nie wyjeżdżałem nigdzie z Sosnowca. Mogę to udoi wodnic.

Postanowiłem popełnić samobójstwo po wpływie ciężkich warunków materialnych i mi szkaniowych...

Powtarzał to wiele razy, nie zmieniając praw' żadnego słowa. Któregoś dnia jednak zaskock prokuratora wyznaniem:

— Prawdą jest, że byłem karany za gwałt osobie małoletniej, ale uważam, że zostałem sk zany niesprawiedliwie. Obydłem część kary, resztę darowano mi na podstawie amnestii...

Prokurator i oficerowie śledczy nie mieli i wątpliwości: wreszcie „w rękach sprawiedliwi” znalazł się poszukiwany od dwóch lat niebezpie”ny zbrojeniec — „pętlarz”. Ekspertyzy potwi dzały, iż kombinierki Plewy cięły jeden z k”. pozostawionych przy niedoszłej ofierze, a para-ka i plastikowy pierścionek (znaleziono go I mieszkaniu Plewy) należały kiedyś do jednej napadniętych dziewcząt. Teraz należało tyl cierpliwie czekać na przyznanie się przestępcy r winy i złożenie przez niego wiarygodnych wyj snień. Zbrojenicy zwani przestępcami z lubieżno, w zasadzie podczas śledztwa chęlni się swoi wyczynami.

Nie kojarzono wówczas faktów, które — j wykazała neurologia i psychiatria — mogły mi kapitalne znaczenie dla identyfikacji zbrojenie* takich jak „wampir będziański” i „pętlarz”. CY dzilo o padaczkę występującą u zony Zdzisia

30

Marchwickiego oraz u Krystyny Plewy. Padaczka wywołuje u chorych napady drgawek i sensacje erotyczne. Przyglądający się im zbrodniarze mogli szukać podobnych objawów wywoływanych przez siebie u innych kobiet. Drgawki podobne do padaczkowych występują u „podduszonych kobiet” i u osób śmiertelnie ugodzonych w okolicę ciemiemiową. Pierwszy sposób obrał „pętlarz”, drugi — „wampir”.

W późniejszym okresie śledztwa Krzysztof Plewa wyjaśnił, że jego narzeczona obawiała się, iż z powodu ataku padaczkowego, którego był świadkiem jeszcze przed ślubem, nie weźmie jej za żonę. On zapewnił jednak, że „to nie przeszkadza”, a kocha ją tak samo jak przedtem i chce być jej mężem.

Przez pierwszy tydzień po zatrzymaniu podejrzany zachowywał się jak osobnik niezrównoważony. Stawał w kącie pokoju na jednej nodze i wykrzykiwał „kukuryku”, strażnikowi powiedział, że broda i wąsy, których się pozbaWił, wyleniały mu przed zimą. Wreszcie zażądał wody święconej. Cały czas obserwował, czy jego wyczyny robią jakieś wrażenie na strażnikach, oficerach oraz na prokuratorze. W końcu doszedł do wniosku, że w ten sposób nie osiągnie

celu, jakim było widzenie się z żoną i dzieckiem. Ósmego sierpnia oświadczył przesłuchującemu go prokuratorowi, Henrykowi Soldze z Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie, i porucznikowi Zbigniewowi Gątarzowi z Komendy Wojewódzkiej MO .w Katowicach, „że będzie mówił prawdę, jeżeli pokażą mu żonę i dziecko”.

207

— Zobacysz się z żoną i synem, jeżeli opowiesz dokładnie o pierwszym napadzie. Gdzie to było, jak się zachowywałeś, jaki to był dzień, która godzina...

Przez kilka minut Krzysztof Plewa zastanawiał się, czy wyrazić zgodę na taką umowę. Upewnił się jeszcze raz:

— Pokażecie mi syna? Nie oszukacie mnie?

— Pokażemy...

— Pamiętam dokładnie pierwszy przypadek Byłem wtedy w Ząbkowicach, było ciemno, padaj deszcz, szedłem za dziewczyną, która przyjechała pociągiem.

Kiedy zostaliśmy sami, podbiegłem d<] niej, zarzuciłem kabel na szyję i „poddusiłem”

— I co dalej zrobiłeś?

— Kiedy zarzęziła, chwyciłem ją pod pachy i przeciągnąłem...

— Na lewą stronę czy na prawą?

— Na prawo, przez szosę. Jeszcze po drodze mu* siałem drugi raz „poddusić”, bo trzeźwiała. Poł tern wszystkiego mi się odechciało. Zapytałem, jak; ma na imię i kazałem jej liczyć do dwudziestu^ Jak zaczęła liczyć, ucieklem na dworzec. Przysz . 1 mi wtedy myśl, żeby się rzucić pod pociąg...

Władze śledcze dotrzymały umowy. Podejrzeni uspokoił się i zaczął składać szczegółowe wyjaśnię^ nia. Mimo to zdarzały się dni, w których był ban dzo podniecony. Kiedyś rzucił miskę z zupą i u łował ugryźć strażnika. W kilka dni później zaj proponował prokuratorowi, że będzie rysów ai „mapki napadów”, bo ma dobrą pamięć wzrokoi wą i „talent malarski”. Na szkicach zaznaczył dro>

31

gi, jakimi zmierzał na miejsce napadu, i kierunki ucieczek.

— W jaki sposób wpadłeś na pomysł, żeby zastosować pętlę?

— Wypróbowałem na sobie, jeszcze w młodości. Zamierzałem powiesić się i zrobiłem pętlę. Ona się urwała, ale ja na kilka minut straciłem przytomność.

Potem wszystko było zwyczajnie i nic mi się nie stało.

Z wyjaśnień Krzysztofa Plewy wyłaniał się obraz prymitywnego osobnika, wychowanego w pijackiej rodzinie, pojonego alkoholem od ósmego roku życia, kradnącego po piwnicach, fałszującego w sposób dziecinny świadectwa szkolne i przeżywającego głębokie zaburzenia psychiczne. Potwierdziły to późniejsze badania psychiatrów. Im to zwierzył się, że chociaż matka go nienawidziła, to on nigdy nie napadł na taką dziewczynę, która mogła być matką. Chciał uszanować macierzyństwo.

— Jestem romantykiem — wywoził podejrzanym. — Nienawidzę przymusu i dyscypliny. Mnie niesłusznie skazali za gwałt na nieletniej. Moje uczucie do kobiet jest inne. Ja wystędy się dziewczyn. One lubią, jak się je bije i zdobywa dla nich pieniądze. Ja jestem inny. Chyba się ze mnie śmiały...

Psychiatrzy ocenili, iż Krzysztof Plewa miał ograniczoną zdolność kierowania swoim postępowaniem.

Prokurator przesłuchując podejrzanego starał się wydobyc wszystkie momenty, które mogły rzucić światło na motyw jego postępowania.

W Zbrodniarz 900

Dlaczego nie działał w miesiącach jesienno-zi-mowych, czy nie odczuwał potrzeby „poddusza-nia”? — spytał podczas kolejnej rozmowy.

— W ziemie dziewczyny otulają się szalikami i podnoszą kołnierze palt — odpowiedział spokojnie przesłuchiwany. — Jak taką „poddusić”?

Logiczne i przekonujące. Czy Krzysztof Plewa rzeczywiście nie mógł kierować swoim postępowaniem, skoro nim faktycznie kierował? Notatki te sporządził

prokurator jeszcze przed uzyskaniem pełnej opinii biegłych.

W styczniu 1973 roku Krzysztof Plewa postanowił zmienić swoje zachowanie. Odmawiał uczestniczenia w spacerach po podwórku więziennym, rzucał się na

ziemię. Już poprzednio, 27 listopada 1972 roku, miał podobny okres. Przeżył wów-J czas szkło okularów i przeciął sobie naskórek szyi, aby, jak pow;edział,

„wpuścić szpilkę w żyłę”. Była to demonstracja, nie mogąca wyrazić mu żadnej krzywdy.

Cennym materiałem dla prokuratora stały się również listy pisane przez podejrzanego do najbliższych. Brzmiały one dziwnie i pisane były nie-ortograficznie.

Można było wnioskować, iż Plewa pragnie utwierdzić władze śledcze w przekonaniu, że jest psychicznie chory.

Grał wariata

List do brata Stanisława brzmiał następująco!

„Drogi Bracie Staszku piszę do ciebie ten list^ abyś nie zawiódł mnie i przyrzekł w duchu że spełnisz moją prośbę októrą .jarosze ciebie. Moja prośba jest trochę

dziwna ale spełnij ją pilnuj i

210

doglądaj Darka kupuj mó los i powiedz że jest to od taty który jest w szpitalu i więcej nic niemów Krystynie nie rób krzywdy załadw przy sprzedaży Syreny i

dopilnuj aby dostała pieniądze wszystkie za samochód.”

W innych listach rysował cieniowany krzyż, pod którym kłęczał człowiek, trzymający w dłoniach pętlę (co miało oznaczać różaniec).

Listy, w których widać było wyraźne dążenie do znieszczenia treści („októrą” „mó”, „załadw” itd.), włączono do akt sprawy. Prokurator miał już w tym

czasie wiele dowodów rzeczowych, świadczących niebicie o winie Krzysztofa Plewy. Poza kombinerkami zidentyfikowanymi przez ekspertów jako te,

którymi sprawca ciał przewody użyte przy „podduszaniu” Józefy S., parasolką „juwel” i pierścieniem plastikowym zrabowanymi ofiarom, oskarżenie mogło

przedstawić sądowi wyniki badań mikrośladów, odzyskany zegarek „czajka” nr 6164575 (nosiła go dziewczyna kolegi „pętlarza”), raport rewizorów PKP,

który 20 kwietnia 1972 roku (dzień napadu na Teresę W. w Wolbromiu) wylegitymowali Krzysztofa Plewę, gdyż jechał on bez biletu w pociągu Wolbrom—

Sędziszów—Olkusz—Katowice.

„Pętlarz” jeździł więc pociągami i „na trasie” mógł upatrywać przyszłe ofiary. Można by się zastanawiać, ile razy „wytypowana” dziewczyna uniknęła napadu

tylko dlatego, że szła do domu w towarzystwie innej osoby?

Od maja 1972 roku Plewa posługiwał się samochodem wygranym na loterii, a zarejestrowanym

211

na nazwisko Krystyny (przysługiwały jej ulgi jako inwalidce).

Po sprawdzeniu dokumentacji przedśledczej prokurator dowiedział się, że Krzysztof Plewa był legitymowany przez funkcjonariusza w Strzemieszycach. Ujęto

go po nieudanym napadzie na Helenę L. Dziewczyna widząc zbliżającego się do niej mężczyznę, który trzymał dziwnie złożone dłonie (jakby w nich coś

ukrywał), wezwała swoich braci i ci złapali Plewę. Zdażył on jednak wyrzucić pętlę i tłumaczył się, że miał zamiar „poderwać” dziewczynę, ale prosi, żeby nie

robiono z tego sprawy, bo mogłaby się o tym dowiedzieć żona.

Krystyna Plewa przyznała, że kłamstwami zapewniła alibi swojemu mężowi. Nie podejrzewała go o nic złego, a tym bardziej o napady na kobiety. Chciała go

uchronić przed przesłuchaniami.

Prokurator wniósł akt oskarżenia, przedstawiając w nim wszystkie obciążające przestępcę dowody. Jego zdaniem oskarżony w pełni odpowiadał za swoje

czyny, z których każdy mógł doprowadzić do śmierci przez zagardlenie.

Po ponownych badaniach psychiatrycznych i psychologicznych sąd przyjął, iż Krzysztof Plewa jest dotknięty ociężałością umysłową, głębokimi zaburzeniami

emocjonalnymi i popędowymi, a jego zdolność rozpoznawania czynów i kierowania postępowaniem jest w znacznym stopniu ograniczona (art. 25 § 2 kk).

Mimo iż oskarżony odwołał pierwotne przyznanie się do winy (podtrzymał je tylko co do jednego przypadku), został uznany przez sąd pierwszej

31

instancji za sprawcę siedemnastu napadów. Dowody przedstawione przez prokuratora, zdaniem sądu, nie budziły żadnych wątpliwości. Wyrok brzmiał:

dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności i dziesięć lat pozbawienia praw obywatelskich.

Obrońcy w rewizji (a przedtem w swoich mowach po zamknięciu przewodu sądowego) kładli nacisk na prymitywizm i chorobę psychiczną Krzysztofa Plewy

oraz podkreślali, iż przyznał się on do dokonania zaledwie jednego napadu. W^no-sili o uniewinnienie klienta.

Prokurator również nie zgadzał się z wyrokiem sądu pierwszej instancji. Domagał się podwyższenia wymiaru kary — do najwyższej. Wywodził, że biegli źle

ocenili poczytalność oskarżonego.

Sąd Najwyższy przygotował się do rozpatrzenia wniosków rewizyjnych, ale nie mógł rozpatrzyć sprawy. Krzysztof Plewa zmarł śmiercią naturalną 5 września

1975 r. w Zakładzie Karnym w Strzelcach Opolskich. Osiem dni przed piątą rocznicą pierwszego występu „pętlarza”.

Kryminalistyka, której przedmiotem zainteresowań jest sposób ujęcia sprawcy, a nie wymierzona mu kara, wpisała do kroniki największych przestępców

przypadek „pętlarza”. Jeszcze długo będą toczyć się spory, czy można było ująć go wcześniej, jeszcze długo będą rozważane wszystkie jego posunięcia i

kontrdziałanie organów ścigania. Ale już nigdy nie uda się ustalić, jak na psychikę tego zbrodniarza — i jego poprzednika, „wampira” — działały- ataki

padaczki ich partnerek.

Na straży praworządności

Z.B.: **Wyobrażenia przeciętnego obywatela o urzędzie prokuratorskim są. powiedzmy, jednokierunkowe. Jakie zmiany wprowadziła w organizację wymiaru sprawiedliwości ustawa powołująca BJ urząd Prokuratora Generalnego?**
Prokurator Generalny: **W ustroju socjalistycz-B nym rola prawa jako regulatora stosunków spo- II lecznych jest zasadniczo cdm enna od roli, jaką B spełnia prawo w warunkach ustrojów opartych n M wyzysku. Zadaniem socjalistycznych organów B kształtujących rzeczywistość prawną jest pełna B ochrona niesjirzecznych iniere.-uw mas pracują-B cych i państwa tak w znaczeniu interesu zbioro-B wego, jak i jedne ' wego. Taka rola prawa w flj naszym ustroju wymagała wyodrębnienia i nada-B J nia innych uprawnień urzędowi Prokuratora GeB ernalnego, pod porządków a - ' - g o Radzie Państwa (fl tym samym niezależnego od organów administra-B cji państwowej. Artykuł 3 ustawy z 20 lipca 1950B roku stanowił, iż „Generalny Prokurator RzeczyBJ pospolitej sprawuje nadzór nad ścisłym przestrzeBJ ganiem przepisów prawa, czuwa nad zgodności;BJ z przepisami prawa aktów i innych czynno.v il władz, otacza ochroną prawa obywateli, czuwa nad prawidłowym i jednolitym stosowaniem przepisów prawa przez sądy, a także wykonuje dotychczasowe swoje funkcje w zakresie ścigania sjiawców przestępstw."**

Z. B.: Jakim musiał stać się pracownik tej nowej prokuratury? Jego poprzednik był prawnikiem wyspecjalizowanym wyłącznie w prawie karnym i łączył funkcje śledcze z oskarżycielski-mi.

Prokurator Generalny: Realizacja nowych funkcji nadanych prokuraturze wymaga szczególnie pryncypialnych postaw prokuratorów, wyrażających się w jednoznacznym zaangażowaniu ideowo--politycznym. **W** tych warunkach prokuratorem może być tylko ten prawnik, który wiedzę zawodową łączy z pasją działacza politycznego i społecznego. Jednocześnie zakres zadań określa potrzebę dopływu do prokuratury specjalistów nie tylko z zakresu prawa karnego, ale również specjalistów prawa cywilnego i administracyjnego. Należało doprowadzić do ukształtowania się takiej właśnie kadry prokuratorskiej, gdyż w ostatecznym rachunku ona decydowała o prawidłowej realizacji tych doniosłych zadań. Ustawa, jak wiadomo, miała wyraźnie klasowy charakter, zabezpieczała interesy robotników i chłopów, czyli zadanie takie mogli wykonywać ludzie, którzy wyszli z tych klas, rozumieli ich interesy i potrzeby, a także zdecydowali się poświęcić ich obronie wszystkie swoje siły i umiejętności. **W** tworzeniu nowej kadry prokuratorskiej olbrzymią pomoc i

215

32

codzienną troskę okazywała nam Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

Z. B.: Panował dawniej pogląd, że stosowanie kary jest jedynym środkiem zapobiegania przestępczości. Kara miała odstraszać i przestrzegać potencjalnych przestępców. Represja przyjmowała funkcje prewencji szczególnej i zarazem prewencji ogólnej. Jak to obecnie wygląda?

Prokurator Generalny: Socjalistyczna koncepcja prawa zerwała z błędnym przekonaniem o wyłącznej skuteczności kary jako środka resocjalizacyjnego. Ustawa z 20 bpca 1950 roku po raz pierwszy nałożyła na organy ścigania obowiązek zapobiegania przestępstwom, w czym wyraża się jej humanistyczna treść.

Prokurator musi zajmować się działalnością profilaktyczną i wkraczać w sytuacje, w których mogłyby powstać przestępstwa. Jego znajomość życia, a także stanów faktycznych musi wyprzedzać powstanie zagrożeń dla porządku prawnego. Prokurator nie przyjmuje postawy oczekującej, lecz przeprowadza analizę warunków, w jakich przestępstwo może się zrodzić. Ta dziedzina działalności jest przez nas traktowana tak samo poważnie, jak ściganie popełnionych przestępstw. O przestępstwach, do których nie doszło, nie pisze się reportaży, ale działania, która im zapobiegały, są równie pasjonujące jak najciekawsze śledztwa. Sukcesem prokuratury w tej dziedzinie jest, moim zdaniem, wciągnięcie do współpracy wielu organizacji społecznych, instytucji i załóg robotniczych. Dbałość o stan praworządności w państwie staje się troską osobistą co

216

raz większej liczby obywateli, którym chcę podziękować za taką postawę.

Z. B.: Dziedziną działalności prokuratorów, która w opinii społecznej uznawana jest nadal za najważniejszą jest ściganie przestępstw. Jak ta sprawa wygląda w nowej prokuraturze, wzbogaconej o nowe formy i zakres pracy?

Prokurator Generalny: Stan bezpieczeństwa można mierzyć liczbami bezwzględными lub wskaźnikiem liczby przestępstw przypadających na 100 000 mieszkańców. Prawidłowy rozwój socjalistycznego budownictwa stwarza obiektywne przesłanki do ograniczenia przestępczości. Wzrost stopy życiowej, kultury, świadomości prawnej społeczeństwa, likwidacja charakterystycznych dla kapitalizmu zjawisk nierówności społecznej, nędzy, bezrobocia — to warunki, które musiały obiektywnie wpłynąć na zmniejszenie się przestępczości. Określony wpływ na obniżenie się wskaźnika przestępstw miała i ma prokuratorska i społeczna działalność profilaktyczna. Tym niemniej pozostały jeszcze pewne obszary, w których działają kryminogenne zjawiska, takie jak alkoholizm, pasożytnictwo społeczne, brutalność w stosunkach międzyludzkich, egoizm, nihilizm moralny i tym podobne. Niewątpliwie z każdym rokiem zmniejsza się zakres tych obszarów, ale ich całkowita likwi- ■ dacja jest procesem długotrwałym, wymagającym koncentracji uwagi i działania całego społeczeństwa. Wzmocnienie podstawowej komórki społeczeństwa, rodziny, w której każdy członek będzie

217

miał jednakowe obowiązki i prawa, będzie gwarantem nieodwracalnej, stałej poprawy stanu bezpieczeństwa i ładu społecznego. Z tego też względu prokuratura występuje z inicjatywami w sprawie wzmoczenia ochrony prawnej rodziny i młodzieży, czego wyrazem było m.in. zgłoszenie wniosku o uchwalenie przez Sąd Najwyższy wytycznych wymiaru sprawiedliwości i praktyki sądowej w sprawie karno-prawnej ochrony rodziny i kobiety. Wracając jednak do oceny stanu bezpieczeństwa w Polsce, należy stwierdzić, że liczba przestępstw wydatnie maleje. W roku 1971 wskaźnik ten wynosił 1447 przestępstw na 100 000 mieszkańców, w 1974 roku zanotowaliśmy już tylko 1023 przestępstwa, czyli spadek sięga 30 procent. Cieszyć może fakt, że spadek ten, choć nie w tak wysokich proporcjach, dotyczy również groźnych przestępstw, jak przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu, rozboje, gwałty. Niepokoi natomiast zbyt powolny spadek przestępczości gospodarczej, co jest wyraźnym sygnałem dla administracji państwowej. Te sprawy stanowią często temat prokuratorskich wystąpień do właściwych jednostek zarządu gospodarczego.

Z. B.: Przejdźmy do kolejnej dziedziny działalności prokuratury Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, do prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa. Kogo prokuratorzy kontrolują i jakie wyciągają konsekwencje wobec stwierdzonych naruszeń?

Prokurator Generalny: Powołując urząd Generalnego Prokuratora ustawa nałożyła na niego

218

obowiązek czuwania nad zgodnością z prawem działań wszystkich organów administracji państwowej i gospodarczej w terenie. Było to usankcjonowanie wypróbowanej już praktyki tego rodzaju działalności prokuratorów wojskowych, jak również prokuratorów przy sądach powszechnych. Funkcje te prokurator spełnia poprzez ingerencje przewidzianymi środkami prawnymi, takimi jak zaskarżenia i wystąpienia, w tę sferę działania tych organów, która ma istotny wpływ na eliminowanie negatywnych zjawisk społecznych, szczególnie dokuczliwych dla społeczeństwa. Wykonując te zadania prokurator ma na uwadze zarówno interes państwa, jak i interes obywateli. Nie może bowiem być usankcjonowana żadna decyzja godząca w interes społeczny, a korzystna dla jednostki, tak jak nie może ostać się ani jedna decyzja krzywdząca obywatela, jeśli nawet pozornie skorzystałby na tym zakład pracy lub instytucja. W pierwszym okresie działania ustawy o nowej prokuraturze, kiedy świadomość prawna społeczeństwa nie była tak wysoka jak obecnie, a kwalifikacje pracowników aparatu państwowego i gospodarczego nie zawsze gwarantowały w pełni prawidłowe stosowanie prawa, prokuratorską kontrolą przestrzegania prawa obejmowaliśmy wiele dziedzin życia i zakładów pracy. Obecnie zaistniały warunki do koncentracji uwagi na wybranych, najważniejszych problemach funkcjonowania administracji państwowej i gospodarczej, które mają decydujące znaczenie w zakresie eliminowania negatywnych zjawisk społecznych.

Zajmujemy się

32

stanem respektowania prawa w zakresie ochrony dzieci i młodzieży przed demoralizacją, ochrony rodziny, zwalczania alkoholizmu, pasożytnictwa oraz innych dziedzin, których lista byłaby bardzo długa.

Z. B.: Czy możliwe jest zaskarżenie przez prokuratora decyzji urzędu wojewódzkiego lub innego, który to urząd odmawia obywatelowi słusznie należnego mu odszkodowania. Czy prokurator wystąpi przeciwko instytucji, na przykład Skarbowi Państwa, broniąc obywatela?

Prokurator Generalny: Oczywiście, takie wystąpienie prokuratora jest nie tylko możliwe, ale w praktyce realizowane. Prokurator występuje przeciwko Skarbowi Państwa, jeżeli — jak to powiedziałem poprzednio — wskutek naruszenia prawa obywatel poniósł lub mógł ponieść straty. W takich wystąpieniach realizujemy w praktyce te humanistyczne treści ustawy o prokuraturze, które mówią o kójarzeniu i wzajemnym związku interesu społecznego z dobrem pojetnym interesem jednostki, czyli owego obywatela, któremu urząd odmawia należnej wypłaty.

Z. B.: Dotknęliśmy kolejnej dziedziny, częściej bardzo bolesnej, chodzi bowiem o ochronę pokrzywdzonych ludzi, którzy nie wiedzą jak postępować w trudnych sytuacjach życiowych. Jak włącza się prokuratura w zabezpieczenie interesów podstawowej komórki społeczeństwa, rodziny?

Prokurator Generalny: O krzywdzie obywatela prokurator dowiaduje się z bezpośredniej relacji zainteresowanego, który odwiedza w tym celu

32

prokuraturę, z listów kierowanych do prokuratury, z publikacji prasowych, w toku załatwiania różnych spraw, wreszcie z informacji przekazanych mu przez życzliwych pokrzywdzonym znajomych, którzy odnajdują drogę do prokuratora. Aparat prokuratorski jest uczulony na wszelką krzywdę ludzką i dysponuje środkami umożliwiającymi jej naprawienie. Ze szczególną uwagą traktujemy sprawy ludzi nieporadnych, nie przystosowanych, nie znających przepisów prawa. Wyjaśniamy im ich sytuację, udzielamy porad, a także dla ich dobra i w ich imieniu wszczynamy odpowiednie postępowanie. Może to być postępowanie interwencyjne, ale także sądowe w procesie cywilnym lub karnym. Prokuratorzy wnieśli wiele pozwów i rewizji na korzyść obywateli. Zanotowaliśmy postępowania o ubezwłasnowolnienie osób, które wymagały ochrony prawnej, w licznych przypadkach Prokurator Generalny wniósł również na korzyść obywateli rewizje nadzwyczajne w sprawach cywilnych. Te same środki stosujemy dla zabezpieczenia interesów rodziny. Nasi prokuratorzy podejmują natychmiastowe interwencje, niejednokrotnie osobiste, celem wyegzekwowania alimentów dla opuszczonych dzieci, kontrolują na co dzień przestrzeganie przepisów o funduszu alimentacyjnym i udzielają pełnej pomocy prawnej bezradnym kobietom.

Nowy podział administracyjny i powołanie prokuratur rejonowych jeszcze bardziej zbliży prokuratorów do codziennych problemów społeczności gmin, osiedli i małych miasteczek, co pozwoli zy-

221

wiej reagować na skargi i sygnały o naruszeniach prawa lub o potrzebie udzielenia pomocy obywatelowi. Chcę powiedzieć, że otrzymujemy wiele listów z podziękowaniami dla naszych prokuratorów pracujących w terenie za pomoc udzieloną pokrzywdzonym. Cenimy sobie te podziękowania, świadczą bowiem o pełnym i prawidłowym realizowaniu naszych zadań.

Z. B.: Jak ocenia Pan świadomość prawną naszego społeczeństwa w 1975 roku?

Prokurator Generalny: Świadomość prawna jest odbiciem ogólnego rozwoju ideowego, kulturalnego i cywilizacyjnego państwa. Dynamiczny społeczno-gospodarczy rozwój naszego kraju stworzył warunki do ciągłego podnoszenia poziomu tej świadomości. Obserwujemy to we wzmacniającej się więzi organów prokuratorskich ze społeczeństwem i w pomocy, jakiej udziela nam społeczeństwo w zapobieganiu i zwalczaniu przestępstw. Wzrosła także dyscyplina społeczna, która decyduje przeciwko o szybkości rozwoju społeczno-gospodarczego i (humanizacji wzajemnych stosunków w życiu codziennym, w pracy i w działalności społecznej. Nakreślając program dalszego dynamicznego rozwoju Polski Ludowej, tworzymy warunki i klimat polityczny do pogłębienia i utrwalenia pozytywnych cech współczesnego Polaka, co raz częściej utożsamiającego swoje cele z celami Ojczyzny. Istotnym elementem tego procesu będzie dalszy rozwój świadomości i kultury prawnej społeczeństwa.

SPIS TREŚCI

> *StC*;

Od autora ! : : : > : > > ? • : 5

v Zabijał w czasie burzy j ; ; s s i s s

Zbrodnia bez kary . ; ; : ; i s ; 39

Sprawcy nie wykryto i 65

Świadek powtarza zbrodnię 85

Błędy sztuki medycznej . j : i s ; t 101

Zbrodniarz szuka alibi i ; ; . i ; i 128

Śmierć pisarza i i 1 156

Pętlarzs : : ; s } 133

Na straży praworządności i « i l e I 214

Pięć tysięcy osiemset pięćdziesiąt publikacja Wydawnictwa. MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej Warszawa 1976 r. Wydanie I

Nakład 120.000 + 350 egz. Objętość 8,08 ark. wyd., 7,0 ark. druk. Papier druk. sat. V ki. 65 g, 61X86/32 z Włocławskich Zakładów Celulozy i Papieru. Oddano do składu 21.01.1976 r.

DTuk ukończono w czerwcu 1976 r. w Wojskowych Zakładach Graficznych w Warszawie. Zara, nr 104

Cena zł 15.—

J-120

d 15.—